

ARCYBISKUP GADECKI

Odwoływanie się do sił
zewnętrznych nas osłabia



Horubała mocno
o nowej książce
Gretkowskiej: To obciach

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 35/237 28 SIERPNIA-3 WRZEŚNIA 2017

WICEPREMIER GOWIN:
PIS ORAZ PREZYDENT
SĄ NA SIEBIE SKAZANI



Filip Memches odsłania
genezę antypolonizmu

HITLER BYŁ LEWAKIEM

Wbrew komunistycznej propagandzie
hitlerowcy nie mieli nic wspólnego z prawicą

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



Nakład: 105 tys. egzemplarzy



Adam Sandler

ROAMER

OF SWITZERLAND



SUPERIOR SAPPHERE ANTI-REFLECTION CRYSTAL SWISS MADE SINCE 1888



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

W krainie antyprawicowej histerii

Podczas wakacji kilkanaście godzin spędziłem we Frankfurcie – wiadomo, jest tam jedno z największych lotnisk w Europie. Mogłem pocho-
dząc po mieście i zatrzymać się w przypadkowej kawiarni, gdzie na stole leżał stos gazet – „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, „Frankfurter Rundschau”, „taž”. Rzuciłem okiem na tytuły, a potem z coraz większym zdumieniem zacząłem je wertować. We wszystkich dominowały teksty o zajściach w Charlottesville w stanie Wirginia. Doszło tam do starć prawicowych grup, broniących przed usunięciem z miejskiego parku posągu Roberta E. Lee, dowódcy sił Konfederacji, i ich lewicowych przeciwników. Do najbardziej dramatycznego zdarzenia doszło wtedy, gdy w tłum przeciwników prawicowego marszu wjechał samochód, kierowany przez 20-letniego Jamesa Fieldsa z Ohio, który zabił na miejscu 32-letnią kobietę.

Oczywiście o sprawie informowały też światowe media, także

polskie, jednak to, co potrafili z niej zrobić niemieccy dziennikarze, po prostu w głowie się nie mieściło. Sążniste artykuły, wielostronicowe analizy, ociekające oburzeniem i gniewem komentarze, których autorzy – tak z lewa, jak z prawa (zastanawiam się, czy te słowa w warunkach niemieckiej urawni-
łowki cokolwiek znaczą) – prześcigali się w potępianiu rasizmu oraz niedostatecznej, ich zdaniem, reakcji amerykańskiego prezydenta. Po zajściach Donald Trump stwierdził, że „wszyscy musimy być zjednoczeni i potępiać całą tę nienawiść”, co zdaniem niemieckich komentatorów było wyrazem tolerancji dla rasizmu, a może wręcz jego akceptacji.

Doprawdy, po przejrzeniu niemieckich gazet, tak niby różnych i tak bardzo niezależnych, które wszystkie pisały dokładnie to samo i na to samo kopyto, miałem wrażenie, jakbym znalazł się znowu gdzieś w głębokim PRL, gdzie prasa wypełniała jedynie słuszne wytyczne, a cała

różnica sprowadzała się do wyrażenia stopnia entuzjazmu lub wrogości, z jakimi poszczegól-
gólni redaktorzy realizowali linię ideologiczną partii. Tak było także w niemieckich mediach, „FAZ” była bardziej stonowana, „Frankfurter Rundschau” rozhisteryzowana, ale wszystkie pisma zawierały to samo przesłanie: Trump co najmniej lekceważy rasizm, Ameryka pod jego przywództwem zmierza ku wojnie domowej, radykalna prawica i populizm nacierają zewsząd, lada moment zdobędą świat, który coraz bardziej opłatan jest przez hydrę nacjonalistycznego szaleństwa z prezydentem USA na czele. Brr!

W pierwszym odruchu nawet zrobiło mi się Niemców żal. Do licha, to się nazywa żyć w stanie fałszywej świadomości! Biedacy są ofiarami rewolucji 1968 r., która doprowadziła do totalnego zwycięstwa lewicy w mediach i instytucjach kultury. Wszystkie największe ośrodki medialne reagują zatem jak pies Pawłowa, dostrzegając największe zagrożenie zawsze w prawicowym radykalizmie, fundamentalizmie, rasizmie itp., itd. Nic dziwnego zatem, że Niemcy, karmieni dzień po dniu i godzina po godzinie taką wszechobejmującą antyprawicową propagandą, żyjący w stanie antytrumpowej histerii podsycanej przez licznych ekspertów, również na Polskę i Polaków patrzą w jedyny dopuszczalny sposób, czyli jak na zamaskowanych rasistów i ksenofobów.

Trudno jednak o współczucie, skoro większość tych redaktorów i komentatorów sądzi, że zjedli wszystkie rozumy, i miast dostrzegać swoje ograniczenia oraz walczyć z własnymi obsesjami, woli z wyższością pouczać innych. ©©

RYSUNEK TYGODNIA



Smart gets real

Zasilany światłem CITIZEN Eco-Drive Bluetooth
łącząc się z telefonem przenosi elegancję klasycznego
zegarka na wyższy poziom funkcjonalności.

citizen.pl



Eco-Drive®



Bluetooth®



CITIZEN®

BETTER STARTS NOW

TEMAT TYGODNIA

16 PIOTR ZYCHOWICZ HITLER BYŁ LEWAKIEM

Wbicie ludziom do głowy poglądu, że ideologia III Rzeszy była „skrajnie prawicowa”, a sam Hitler był „prawicowcem”, to jeden z największych sukcesów lewicowej propagandy



KRAJ

22 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM GOWINEM
POTRZEBUJEMY NOWYCH IDEI
Wicepremier o tym, że prawdziwa przemiana kraju jeszcze nie nadeszła

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POLITYKA NIEUFNOŚCI

30 ROZMOWA Z GEN. SKRZYPCZAKIEM
ROSJA PRÓBUJE NAS ZASTRASZYĆ

32 ŁUKASZ WARZECHA
ZNIECIERPLIWIONY ELEKTORAT

34 KAMILA BARANOWSKA
BUSZUJĄCY W SIECI

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
CZY DISCYPLINA WRÓCI DO SZKÓŁ?

38 ROZMOWA Z SZYMONEM SIKORSKIM
W REKLAMIE GORZEJ NIŻ W SEJMIE

KULTURA

40 ANDRZEJ HORUBAŁA
CIENKA ZUPKA GRETKOWSKIEJ
Manuela Gretkowska, dyżurna skandalistka polskiej literatury, ongiś wielka nadzieja „brulionu”, promuje nową powieść

43 KRZYSZTOF MASŁOŃ O JANUSZU GŁOWACKIM
ROBIŁ TU ZA IRONISTĘ

46 WOJCIECH ENGELKING
MĘŻCZYŹNI SĄ ODRAŻAJĄCO BRUDNI I ŻLI

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY

OPINIE

54 ROZMOWA Z ABP. STANISŁAWEM GĄDECKIM
**ZBYT ŁATWO GODZIMY SIĘ,
BY W POLSKICH SPORACH ARBITREM BYŁ
CZYNNIK ZEWNĘTRZNY**

58 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
SPRAWIEDLIWA WOJNA Z ISLAMEM?

60 FILIP MEMCHES
IDEOLOG ANTYPOLONIZMU

HISTORIA

64 ROZMOWA Z BRYTYJSKIM WETERANEM
POD DUNKIERKĄ PRZEŻYŁEM PIEKŁO
Gary Wright z Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego wspomina słynną ewakuację

66 TOMASZ LENCZEWSKI
LEGENDY BARTOSZA-GŁOWACKIEGO



ŚWIAT

70 WITOLD REPETOWICZ
PRAWDA O TERRORYZMIE
Chaos wywołany kryzysem migracyjnym pozwolił wrócić do Europy „foreign fighters”

74 MAŁGORZATA WOŁCZYK
ZATRUTA BARCELONA

76 GRZEGORZ KUCHARCZYK
MOCARSTWO CHCE WIĘCEJ

79 SZEWACH WEISS
RACJONALNY TRUMP

EKONOMIA

80 JACEK PRZYBYLSKI
PRZECZYTRZYĆ HAKERÓW
Na cyberataki narażona jest dziś większość przedsiębiorstw

84 STEFAN SĘKOWSKI
MOSKIEWSKI ŁĄCZNIK?

ŻYCIE I NAUKA

88 KATARZYNA PINKOSZ
CHCEMY BYĆ LEPIEJ LECZENI
Czy prywatna służba zdrowia jest nam potrzebna?

WAKACJE Z „DO RZECZY”

90 PIOTR SEMKA
PRAGA ŚLADAMI VÁCLAVA HAVLA
Od praskich teatrzyków do pałacu prezydenckiego na Hradczanach

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZAŁSKI (52), ZALEWSKI, WOŁSKI (62), ZYCHOWICZ, KOPER (68), GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu fragmenty listu na temat dyskusji toczonych na naszych łamach.

„Pięć wyzwań prezydenta”

Rady, jakie Piotr Semka serwuje prezydentowi Dudzie („Do Rzeczy” 34/2017), brzmią przekonująco. Jednak główne przesłanie artykułu to kasandryczne krzanie, że tylko patrzeć, jak PiS się podzieli, na co tylko czekają totalna opozycja, unijni aparaczkowcy i europejskie lewactwo. Swoją prognozę ostrzegawczą łagodzi Semka końcową frazą. Że jest światełko w tunelu, bo oto dyskretnie, bez kamer i fleszy, prezydent spotyka się w Juracie z panią premier. Ważne: z panią premier, z którą ostatnio zrobiło mu się jakby nie po drodze. Wywód red. Semki cenny, ale jest coś, co mi w nim zazgrzytało.

To zapowiedź, że jeśli Andrzej Duda nie pogada ze Zbigniewem Ziobrą, to prezydencka ustawa w Sejmie nie przejdzie. No nie!!! Czy naprawdę efekt tego fundamentalnie ważnego sporu ma się sprowadzać do kwestii czysto ambicio-nalnych?! Czy Redaktor z góry wyklucza, że produkt dwumiesięcznego, twórczego trudu Andrzeja Dudy i jego ekspertów mógłby zadziwić PiS, a przy tym srodze rozczarować opozycję? Zaskoczyć PiS pozytywnie! Także pana ministra Ziobrę.

Redaktorze, nie bądźmy ludźmi małej wiary! Dodam tu, że taki pozytywny scenariusz, wprowadzić jako jeden z możliwych, ale jakże pożądany, niedawno przedstawiła (ostrożnie, ale intrygująco...) Pańska koleżanka – red. Kamila

Baranowska („Co dalej z sądami?”, „Do Rzeczy” 31/2017). Scenariusz marzenie!

Jest wątek, którego Piotr Semka nie dotknął. Co mam na myśli? Fundamentalnie ważny spór o ustawy sądowe zepchnął na margines kwestię w istocie jeszcze bardziej fundamentalną: zmianę samej USTAWY ZASADNICZEJ. Idea referendum konstytucyjnego, jak wiadomo – prezydencka, jest chyba (?) aktualna. Ma też wstępnie podany horyzont czasowy: dzień 100-lecia niepodległości. To już tylko 15 miesięcy, a jakże cicho na ten temat...

Dowodów na to, że nowa konstytucja, gruntownie przedyskutowana, i to przy szeroko otwartej kurtynie, jest bezwzględnie konieczna, jest już wystarczająco dużo. Po stokroć ma rację Piotr Gociek, gdy



wywodzi, że albo zmiany będą radykalne, albo żadne. Dotyczy to zarówno sądownictwa, jak i ustawy zasadniczej. Także wielu innych dziedzin czekających na zmiany. Jak choćby cała sfera nauki polskiej.

Uważam, że właśnie w „Do Rzeczy” tematyka konstytucyjna powinna mieć stałe miejsce i należy jej wigor w nadchodzących miesiącach.

Jako Wasz stały odbiorca – liczę na to!

Z pozdrowieniami z Jeleniej Góry

Jacek Jakubiec

KACZMARSKI UNDERGROUND

W Krakowie startuje 11. edycja festiwalu poświęconego Jackowi Kaczmarskiemu. W tym roku usłyszeć będzie można solistów, duety, tria, a nawet mały chór. Po polsku i po rosyjsku, bo tematem 11. edycji imprezy będzie jeden z mistrzów Jacka, Włodzimierz Wysocki. Wszystko zacznie się 1 września w Piwnicy pod Baranami, gdzie wystąpią: Vladimir Stockman, Aleksander Andriewski, Janusz Kasprowicz, Stanisław Marinczenko, Dominika Świątek, Kuba Mędrzycki oraz Paweł Konopacki. W nocy z soboty na niedzielę, w zabytkowym budynku dworca w Wieliczce, będzie miał miejsce wernisaż prac plastycznych Krzysztofa

Bagorskiego i Pauliny Dąbrowskiej-Dorożyńskiej. Potem, do rana, turnieje i quizy. Trwać będą one aż do południowego otwarcia sceny plenerowej z występami młodych artystów zainspirowanych twórczością Kaczmarskiego. Później, na Zamku Żupnym, wystawa prac ojca patrona festiwalu, Janusza Kaczmarskiego. Następnie Akademia Underground, podsumowanie konkursu „Lekcja historii i sztuki z Jackiem Kaczmarskim” i kolejny wieczór koncertowy. Po nim, aż do wypełnienia „maratońskich” 42 godzin, kolejne konkursy, pokazy i zabawy. Szczegóły na www.fundacjaunderground.pl.



(a) ©



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: Paweł Lisicki

I zastępca redaktora naczelnego: Piotr Gabryel

Zastępca redaktora naczelnego: Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz

Z ZESPÓŁEM:

Sekretariat redakcji: Jacek Przybylski (I sekretarz redakcji),

Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Tyśiak, Krzysztof Masłoń,

Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cendekiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela), Krzysztof Czałajski, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Łukasz Majchryk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkos, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torajski, Matthew Tyman, Paweł Wawrzynski, Szezech Weiss, Piotr Włoczek, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej)

z zespołem: Zofia Magdziak (zastępca), Anna M. Piotrowska,

Małgorzata Puzry, Damian Cygan, Karol Gac

Współpraca: Miłosz A. Ludowski

Studio graficzne: Mariusz Daruk-Skarbek (szef studia),

Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący),

Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wojtowicz, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk

Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska,

Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: Andrzej Krauze, Cezary Krzysztofa, Mirosław Owczarek

Okladka: Print Collector/Getty Images, NAC

oprac. graf.: MIDAS/JAN

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polska Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: Michał M. Lisiecki

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: Michał Staszewski (kierownik marketingu i sprzedaży)

reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: Anna Pawłowska-Pojawa (PR manager), pr@mpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@mpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 105 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum

Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803

– czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy

operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Bańka goni bańkę

Nie ma nic zabawniejszego od obserwowania, jak „Gazeta Wyborcza”, wskutek nagłej zmiany kursu, uzasadnia odstępowanie od swych niegdyśszych światłych zasad.

Oto redakcja na Czerskiej ogłasza, że prawo do umieszczania komentarzy pod internetową wersją tekstów mają tylko cyfrowi prenumeratorzy „GW”.

„Trzeba czytać, żeby pisać” – tym chwytliwym sloganem reklamuje nowy pomysł na łamach dziennika Mateusz Szaniewski, szef zespołu social media. Z jego tekstu dowiedzieliśmy się sporo o planach internetowych trolli, o żądaniach wyczyszczenia forum z bluźgów i nienawiści. „Chcemy rozmawiać z tymi, którzy są naszymi czytelnikami i znają nasze teksty” – wyjaśnia Szaniewski.

Nietrudno zgadnąć, że decyzja ma wymiar ekonomiczny. Ślabująca gazeta potrzebuje jak powietrza stałych prenumeratorów i kusi przynależnością do klubu najwerniejszych z wiernych. A przy okazji odgradza się od wszystkich innych.

Tyle że kiedyś pismo Adama Michnika szczyliło się chęcią organizowania debaty dla wszystkich.

Żeby było zabawniej, to właśnie redaktorom „Wyborczej” zdarzało się często pisać o problemie tzw. bańki informacyjnej, czyli okopywaniu się użytkowników Internetu o danych poglądach w grupie wyznawców podobnych idei i unikaniu kontaktu z osobami o niezgodnym ze swoim światopoglądem.

I znów szef działu social media otrzymał niewdzięczne zadanie wygrzebania się z tej sprzeczności: „Pojawiły się głosy, że zamykamy się w swojej bańce. Nieprawda, »Wyborcza« ma tak różnych od siebie publicystów jak Grzegorz Sroczyński i Witold Gadomski, nie może mieć więc czytelników o jednakowych poglądach” – pisze Szaniewski.

Zabawne jest dowodzenie, że spory między prospołecznym lewicowcem Sroczyńskim a liberałem Gadomskim wyczerpują limit różnic. Sroczyński i Gadomski tak samo uważają, że rządy PiS to aberracja, tyle że ten pierwszy sądzi, że z PiS-owskim wyborcą warto rozmawiać, a Gadomski woli walkę bez brania jeńców.

Decyzja o zamknięciu się „GW” w swoim świecie to przypomnienie dylematu środowiska

„komandosów”, które od lat 60. szarpie się między ideologiczną zwartością a wzniosłą chęcią niesienia w świat swoich idei. Pod tym względem „komandosi” zawsze różnili się od prawicy. Prawa strona chciała zazwyczaj prawa do uszanowania swoich opinii i równych praw w obozie opozycji, Solidarności czy na demokratycznej scenie politycznej po 1989 r.

„Wyborcza” zamyka się w swojej muszli, jej wybór. Gorzej, że na prawicy można wskazać bliźniacze tendencje. Obserwujemy to teraz w TVP, gdzie dyskusje niezwykle rzadko wychodzą poza paru prawniczych komentatorów, niekiedy z prowadzącym, który prześciga wszystkich swoich gości w urzędowym optymizmie. W sytuacji polaryzacji politycznej nie zawsze łatwo znaleźć kogoś z innego obozu, kto zechce przyjść do studia. Mam jednak dziwne podejrzenie, że redaktorzy z pl. Powstańców bardzo szybko rezygnują z szukania kogoś z obozu sympatyzującego z opozycją. W prawniczym Internecie bywa jeszcze gorzej. Zjawisko bańki informacyjnej hula po lewej i prawej stronie. I nie sposób się z tego cieszyć. ©©

CZARNA SERIA BOR

Cztery osoby, w tym dwoje policjantów, zostały ranne, gdy jeden z radiowozów eskortujących kolumnę przewożącą szefa NATO Jensa Stoltenberga zderzył się z samochodem dostawczym. Do wypadku doszło w czwartek w Warszawie. Siła uderzenia była tak duża, że policjantów z radiowozu musieli wycinać strażacy. Tego samego dnia w Gdańsku doszło do kolizji limuzyny BOR – którą podróżował Lech Wałęsa – z osobowym citroënem. Według policji winnym był kierowca tego ostatniego pojazdu. (jap) ©©



FOT. KRISTIAN DOBUSZYŃSKI/REPORTER

15 000 000

ODSŁON SERWISÓW INTERNETOWYCH

3 500 000

UŻYTKOWNIKÓW

SERWISÓW INTERNETOWYCH

WPROST.PL, DORZECZY.PL, SUPERHISTORIA.PL,
FILM.COM.PL

515 000

OBSERWUJĄCYCH NA TWITTERZE

370 000

FANÓW NA FACEBOOKU

200 000

CZYTELNIKÓW

DRUKOWANYCH I CYFROWYCH WYDAŃ TYGODNIKÓW
„WPROST” I „DO RZECZY”

3500

BEZPOŚREDNICH UCZESTNIKÓW

WYDARZEŃ ORGANIZOWANYCH POD MARKĄ
„WPROST” LUB „DO RZECZY”



**PMPG
POLSKIE
MEDIA SA**

**BIURO REKLAMY PMPG #POLSKIEMEDIA
NAPISZ DO NAS: REKLAMA@PMPG.PL**



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Rozliczacze ostatniej godziny

Ongiś, w czasach największych triumfów michnikowszczyzny, miała ona dwa ulubione bluzgi, za pomocą których uprawiała swój „dyskurs wykluczania”. Pierwszy to „frustraci”, drugi – „bohaterowie ostatniej godziny”. Wszyscy, którzy nie uznawali w Michniku arbitra elegancji i moralności albo w których kierunek „transformacji ustrojowej” budził jakiejkolwiek wątpliwości, przedstawiani byli w mediach (zgodnych wtedy w swym przekazie jak za czasów PRL)

Każde świństwo, jakie człowiek robi innym, prędzej czy później do niego wróci

jako zżerani niską złością z powodu tego, że nie zajmują wysokich stanowisk, nie zarabiają tyle, ile zapewne by chcieli, ani nie są słuchani przez

masy. A także jako tchórze, którzy za PRL nie walczyli z komuną, tak jak Michnik walczył, a zaczęli z nią walczyć dopiero teraz, kiedy niczym to nie grozi i w ogóle już jej nie ma. Dodam, że Michnikowe presytutki nie miały zahamowań, by traktować tymi obelgami nawet ludzi o tak niekwestionowanym dorobku jak Marek Nowakowski i tak wspinał się jak Zbigniew Romaszewski.

Moja śp. mama wyznawała taką metafizyczną teorię, że każde świństwo, jakie człowiek robi innym, prędzej czy później do niego wróci. Może to nazbyt optymistyczna wizja, by w nią wierzyć bez reszty, ale czasem rzeczywiście tak się dzieje. I w przypadku michnikowszczyzny tak się stało. Czyż nie frustracja właśnie, gorzka i wiodąca ku zachowaniom furiackim, jest dziś jedynym, co z niej zostało? Wredny naród okazał się mieć „autorytety”

w tyle, nikt się z nimi dziś nie liczy – żółć tryska z każdego wystąpienia, każdego artykułu i internetowego wpisu niedydysiejszych medialnych wyroczni.

Z „ostatnią godziną” jest jeszcze śmieszniej. Ostatnią nadzieją frustratów jest zemsta. Pławią się w marzeniach, jak to będą rozliczać PiS, jak wszystkich, ale to wszystkich powyrzucają z pracy, jaką zemstę wezmą na dziennikarzach państwowej telewizji... „Będziesz siedział, będziesz siedział” – skandują. A przecież mieli już czas do rozliczeń, mieli kogo rozliczać i za co. Za zniszczenie Polski, za skrytobójcze zbrodnie, za rozkradanie państwa – nic, tylko rozliczać!

Tylko jakoś wtedy, gdy było trzeba, rozliczanie było dla nich „polowaniem na czarownicę”, a zdrajcy i przestępcy byli „ludźmi honoru”. Teraz więc te zapowiedzi brzmią dość śmiesznie. Ot, mokre sny impotentów. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Wydrażeni ludzie 4.0

My, wydrażeni ludzie /
My, chochołowi ludzie /
Razem się kołyszemy /
Głowy napelnią nam słowa”. Ciekawe, jak T.S. Eliot pisałby swój poemat, jakich użyłby słów, jakie przywołałby obrazy, gdyby obejrzał porażające sceny z dyskoteki w Lloret de Mar w Hiszpanii 12 sierpnia tego roku?

Trzech osiłków pastwi się nad chłopakiem. Gdy ten bezwładnie osuwa się na podłogę i leży bez ruchu, zupełnie bezbronny, jeden z napastników kopie go z całą siłą w głowę, zadając, jak się potem okazało, śmiertelny cios. Od początku szarpaniny dziewczyna ofiary i jego

przyjaciół błagają dyskotekowiczów o pomoc, ale nikt nie reaguje. Młodzież jest zbyt zajęta filmowaniem brutalnej sceny telefonami komórkowymi. Chyba trudno upaść niżej. Ludzki odruch solidarności wyparło cyfrowe alter ego mieszkające w telefonie komórkowym, który stał się najlepszym przyjacielem nowoczesnego człowieka 4.0.

Nie na tym koniec opowieści. 22-letniego Włocha w Lloret de Mar zaatakowało trzech Czechenów. Byli pod wpływem alkoholu i narkotyków. Przybyli na gościnne występy do Hiszpanii z Francji. Za kratkami wylądował tylko bezpośredni sprawca śmierci, syn

czecheńskich imigrantów, który trenował sztuki walki w Strasburgu. Jego dwóch kolegów, starających się o polityczny azyl we Francji, hiszpański sędzia puścił wolno, zakazując im opuszczania strefy Schengen.

Gdy dodać, że kilka dni później w tej samej Katalonii po zamachu w Barcelonie ulicami miasta przeszedł pochód postępowców z transparentem-diagnozą: „Terroryzm faszystowski, owoc logiki międzynarodowego kapitalizmu”, przychodzi powtórzyć za Eliotem: „I tak właśnie kończy się świat. Nie hukiem, a skomleniem”. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Nie wychowujemy baranów

Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie” – te słowa kanclerza Jana Zamoyskiego chyba najczęściej pojawiają się jako przyczepione na ścianie motto na szkolnych uroczystościach rozpoczęcia roku. Niby oczywistość, ale warto o niej pamiętać, i to w dwie strony. Nie tylko dlatego, że jak sobie dzieci wychowamy, taką będziemy mieć republikę, ale też dlatego, że

to coraz wyraźniej – próbuje w sprawach wychowania historycznego i patriotycznego nadrobić stracony czas, instytucjonalizując najbardziej kanoniczną, bezkrytyczną, hurrapatriotyczną wersję opowieści o historii. Pół biedy, jeżeli dzieje się to na poziomie oficjalnych uroczystości (choć i to może w którymś momencie spowodować odbicie w drugą stronę). Gorzej, jeśli według tego samego schematu będzie przebiegało nauczanie historii.

Historia to bowiem nauka o faktach, a także – a może przede wszystkim – nauka krytycznego myślenia. A krytycznego myślenia nie da się uczyć tak, jak prof. Bładaczka uczył o Słowackim w „Ferdynardzie” – że „wielkim poetą był”. Nie da się uczyć krytycznego myślenia o historii, wpajając gotowe frazy: że Piłsudski był Wielki i Nieskazitelny, że w Teheranie i Jakcie zły Zachód zdradził Szlachetnych Polaków, że żołnierze niezlomni byli chodzącymi Aniołami i stanowią Najwyższy Wzór Cnoty do naśladowania, a Powstanie Warszawskie było Wielkim, Wspaniałym, Bohaterskim Zrywem.

Jak zarazem nauczyć krytycyzmu i sprawić, żeby młodzi Polacy byli ze swej historii dumni? A jest z czego! Ha, zadanie niełatwe, ale nikt nie mówi, że takie jest. Od rządzących oczekuję jednak, że zadbają, aby nie wychowywać baranów: zarówno baranów bez świadomości przeszłości, jak i baranów bez śladu refleksji. ©©

Jak zarazem nauczyć krytycyzmu i sprawić, żeby młodzi Polacy byli ze swej historii dumni

jaką kto chce mieć republikę, tak sobie dzieci wychowuje. W dzisiejszych czasach może nawet ta druga zależność jest ważniejsza.

Platforma redukowałą i wypaczała nauczanie historii po swojemu. Przeciw tym zabiegom podniósł się bunt wybitnych publicystów i historyków. Protestowali m.in. prof. Andrzej Nowak i Piotr Zaremba. Cóż, dla postnowoczesnej partii Tuska, zresztą z zawodu historyka, wiedza o przeszłości nie była konieczna, może nawet mogła być szkodliwa. (Nikt jeszcze wtedy nie przewidywał, że w polskiej polityce pojawi się ktoś taki jak Ryszard Petru – chodzące zaprzeczenie znajomości historii).

Nie żyjemy jednak w czasach rozsądku i zrównoważenia, ale w czasach emocji, krzyków i skrajności. PiS – widać

Polska bez imigrantów

Komisja Europejska nie zmniejsza presji w kwestii przyjmowania imigrantów. W ubiegłym tygodniu komisarz ds. migracji zapowiedział, że jeśli Polska, Czechy i Węgry nie zgodzą się na relokację uchodźców, to KE podejmie kolejny krok we wszczętej już procedurze w sprawie naruszenia unijnego prawa w tej

kwestii. Polskie MSZ wniosło o umorzenie tego postępowania, a premier zapowiedział, że stanowisko Polski w tej sprawie się nie zmieni. – Rząd pod moim kierownictwem nigdy nie zgodzi się na przyjęcie i narzucenie przez UE kwot relokacji imigrantów – powiedziała Beata Szydło w telewizji Republika. (luz) ©©

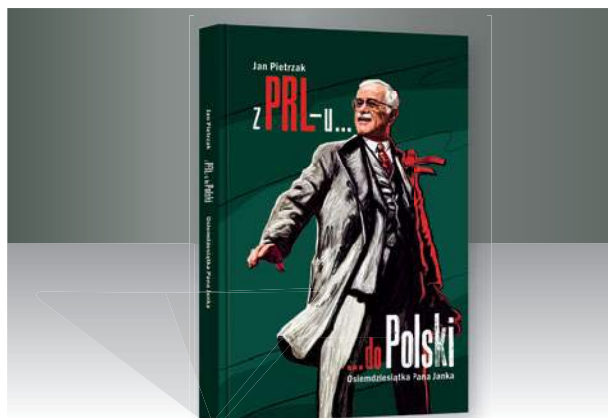
Falstart siatkarzy

Mimo gorącego dopingu ponad 60 tys. kibiców zgromadzonych na Stadionie Narodowym w Warszawie polscy siatkarze przegrali w czwartek mecz otwarcia mistrzostw Europy.

Biało-Czerwoni w fatalnym stylu ulegli reprezentacji Serbii 0:3.

Jubileuszowe, 30. mistrzostwa Europy w siatkówce potrwają do 3 września. (jap) ©©

REKLAMA



Czytajcie Pietrzaka, a będziecie mądrzejsi i weselsi!

Autobiografia artystyczna Jana Pietrzaka wydana z okazji 80. urodzin już w sprzedaży.

Do nabycia na:
www.lasksiazek.pl

Na hasło: **'Do Rzeczy'**
rabat 20% od ceny detalicznej
Ważny do 30.09.2017 r.

SZPAK CIĄGLE O PAZNOKCIACH

Wokalista Michał Szpak został jurorem nowej edycji muzycznego talent show „The Voice of Poland”. Jak dotąd najbardziej ekscytował się tym, w jakich kreacjach wystąpi w programie, co nie wszystkim się spodobało. Okazuje się, że pozostali jurorzy, którzy współpracują ze sobą już od kilku sezonów, nie są do końca zachwyceni Szpakiem. – Na początku nikt nie miał do niego uprzedzeń, ale okazało się, że Michał jest irytujący. Przerywa innym i zachowuje się hałaśliwie. Poza tym godzinami gada o paznokciach i ciuchach – mówi informator tabloidu. – Michał żali się, że nikt go nie lubi. Gdy kamery gasną, inni jurorzy odwracają się do niego plecami i uciekają. Przykro mu, że jest trzymany na dystans. Ma jednak nadzieję, że jeszcze wkupi się w łaski kolegów – dodaje. Nic dziwnego, że uciekają. Pewnie się boją, że od słów przejdzie do czynów i zechce umawiać się na manicure po pracy.

PRZEŁOMOWE SUKCESY

Luxuria Astaroth, czyli Kamila Smogulecka, zaślęnęła tym, że ubijała masło i odsłaniała piersi w teledysku Donatana o Słowiankach. Próbowwała później zaistnieć w show-biznesie, ale z marnym skutkiem – w kolorowych mediach pisano jedynie o jej nieudanej korekcji ust. Teraz Luxuria udzieliła wywiadu, w którym przekonuje, że odnosi wiele sukcesów w życiu. – Całe życie to jest pasmo sukcesów, cały czas zbieram doświadczenie i uczę się czegoś nowego – podkreśla. – Jestem ze wszystkiego zadowolona. Każdy sukces uważam za przełom – mówi. Największym jest chyba to, że ktoś zechciał zrobić z nią wywiad.

LUDZKIE DRAMATY

Kiedy gruchnęła wieść o tym, że TVP rezygnuje z teleturcji „Jaka to melodia?” w obecnej formule, w której prowadzącym jest Robert Janowski, na rynku medialnym ruszyły spekulacje o tym, kto mógłby go zastąpić w nowej odsłonie programu. Najczęściej w tym kontekście pojawiało się nazwisko wokalisty Rafała Brzozowskiego. Sprawa jednak przybrała nieoczekiwany obrót, bo kierownictwo stacji ostatecznie zdecydowało o kontynuacji programu w niezmienionej wersji. Czyli także z Janowskim w roli gospodarza. On sam opowiada dziś, że na to, by po całej awanturze jednak powrócić do prowadzenia programu, wpływ miały prośby i błagania widzów. – Wokół słyszałem różne opinie i rady typu: „Nie daj się!” czy „Honor jest najważniejszy”. Ale też głosy od „Oglądamy ten program od początku, proszę

nam tego nie robić” aż do: „Włączamy Jedynek tylko dla »Melodii«” – opowiada. – Wtedy, po rozmowach z ludźmi, zrozumiałem, że ten teleturcji jest i zawsze był dla wszystkich, bez względu na wiek, płeć i poglądy. W trakcie tych miesięcznych negocjacji miałem wyjątkową sytuację, której długo nie zapomnę. Podczas mojego koncertu podeszła do mnie starsza pani, wzięła moje ręce w swoje dłonie i ze łzami w oczach zapytała: „Panie Robertcie, i co ja teraz zrobię?” – wspomina. I wszystko jasne! To dziesiątki, a może setki albo tysiące dramatycznych próśb skłoniły Roberta Janowskiego do pozostania w tej okropnej, strasznej, reżimowej TVP. Bo przecież nie podwyżka honorarium, prawda?

TWORZYĆ. WRAŻENIE



Monika Mariotti, aktorka, znana głównie z ról drugoplanowych, wyznała, że ostatnimi czasy była tak zapracowana, że zaniedbała rodzinę i przyjaciół, dlatego postanowiła sobie zrobić krótką przerwę. Zwłaszcza od seriali i programów telewizyjnych,

na których ostatnio się skupiała. – Show-biznes wciąga. Nie miałam czasu dla nikogo, więc teraz robię sobie przerwę. Zawsze będę coś robiła, mogę robić wszystko, mogę się zmienić i zostać masażystką, ale jestem pewna, że nie mogłabym żyć bez twórczości. Nie oznacza to kariery, oznacza to, że cały czas będę tworzyć – stwierdziła. Na przykład tworzyć wrażenie, że jest wziętą aktorką, która robi karierę.

LATA LECA

Aktorka serialowa Olga Kalicka narzeka, że na niektóre role jest już dla niej późno. Ostatnio podczas jednego z castingów do serialu usłyszała, że jest za stara do roli, do której aspirowała. Celebrytka nie kryje, że trochę ją to ubodło. – Nie zawsze mogę grać 15-latkę. Usłyszałam: „Olga, przykro mi, ale jesteś za stara”. To się wydarzyło pierwszy raz – zwierza się. Już chcieliśmy się oburzać na ten skandal, seksizm, ageizm i dyskryminację, alarmować Magdalenę Środę, by zagrzała o ciemnogrodzie i patriarchacie, ale po chwili doczytaliśmy, ile aktorka Kalicka ma lat. Otóż ma 24 lata. I chce grać 15-latkę. Cóż, mentalnie świetnie się nadaje. ©©



FOT. PAMEL GROMADA

FOT. KRZYSZTOF JANDUSZ/FORUM

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Ehhh, kochani, idąc ostatnio do korpo, kupiliśmy sobie jarmużowe frappe „to go”, po drodze sprawdzaliśmy fejsikowe statusy na ajfonie i przekomarzaliśmy się, czy poprawnie mówi się Kaczafi czy Łukaczenko.

Przez chwilę nawet poczuliśmy się jak w wolnym tym kraju, aż do momentu, w którym przypomniał nam się, iż jesteśmy pod PiS-owską okupacją i to wszystko najpewniej nam się wydaje. Przytłoczeni tym dysonansem ontologicznym straciliśmy nawet ochotę na dokończenie frappe.

Tymczasem w tym kraju największym problemem w ostatnim czasie stała się biało-czerwona peleryna Kaczafiego, który poszedł w niej na jakąś górską wycieczkę.

Powodów do oburzenia widzimy w tym przypadku co najmniej kilka. Po pierwsze, Kaczafi ośmielił się wyjść z domu i spędzać wolny czas na łonie natury, która zapewne sobie Kaczafiego nie życzyła. Przyroda też ma bowiem z nim na – nomen omen – pieńku. Poza tym Kaczafiemu za dzielenie tego kraju powinno być wstyd tak sobie chodzić na widoku, no nie?

Kolejna sprawa to brutalne wykorzystanie symboli narodo-

wych. Mamy lekki fakap, kiedy widzimy, jak nasze czołowe autorytety gromią Łukaczenkę za nonszalanckie traktowanie barw narodowych. Nie wiemy, czy są one do nich przywiązane na serio, czy tylko w totalnej opozycji wobec Kaczafiego. Dla nas jednak większym problemem jest sam fakt, że krwawy dyktator eksponuje w leśnej przestrzeni publicznej symbole narodowe. A co, gdyby natknął się w lesie na naszą zaprzyjaźnioną leśną lesbijską feminowegekomunę? Byłoby mu przykro!!!

A ostatnia sprawa – Kaczafi już znajduje naśladowników i Nowy z Tarnowa od kilku dni przychodzi do korpo w takiej pelerynce i wytrwale spędza w niej cały dzień przed kompem. Zwariować można.

Na pewno znacie to uczucie, kiedy budzicie się rano i do tego stopnia jesteście genderfluid, iż nie wiecie, w jakim punkcie tożsamości płciowej sami się znajdujecie :/

Mieliśmy tak ostatnio i wówczas uświadomiliśmy sobie, jak bardzo dyskryminujące są dowody osobiste w tym kraju. Wyobraźcie sobie, iż w czasach, kiedy każdy może dowolnie kształtować swoją tożsamość, dowód nie odpowiada na żadne z naprawdę istotnych pytań

i – co więcej – jeśli na którekolwiek odpowiada, to w sposób ujemnie dynamiczny.

Kogo bowiem obchodzi, czy osoba urodziła się w Radomiu, Sieradzu czy Zbąszynku, skoro w głębi swojego ego nigdy nie

Kaczafi już znajduje naśladowników i Nowy z Tarnowa od kilku dni przychodzi do korpo w takiej pelerynce

wyszła z modnej knajpki na placu? Dlaczego nie ma tam informacji, czy jest się wege, skończyło się socjologię miasta lub jaki ma się model ajfona?

No i te przestarzałe: imię ojca i imię matki, co obecnie nie odpowiada na problemy niesione przez postęp, czy zupełnie wsteczne określenie dwóch płci zamiast interaktywnej skali, do której można byłoby przyłożyć palec i zaznaczyć swoją dzisiejszą tożsamość, tak aby nikogo nie urazić i nie dyskryminować. @@

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO



My w sprawie premier Bełaty oraz rekonstrukcji. Żli ludzie znów rozpowszechniają oszczerstwa: że premier Bełata nie rządzi, tylko zarządza, więc zostanie zmieniona. Tak mówią niecierpliwi źli ludzie. Cierpliwi źli ludzie dodają, że nie zmienia się premiera, kiedy w sondażach zwyczajka. Jedni i drudzy bardzo są na Bełatę zawzięci, a znaleźć ich można w okolicy Nowogrodzkiej. Jak zwykle ziewamy. Widzieliśmy bowiem sporo rekonstrukcji. Najwięcej takich, do których nie doszło.

Żli ludzie opowiadają też, że nie ma takiej dobroci, która nie zostałaaby wykorzystana do niecných celów. Dlatego stosowne organa przyjrzą się uważnie, jak to się stało, że niektórzy wójtowie walczący ze skutkami nawałnic pobrali tyle darmowego paliwa, iż wystarczyłoby do wysłania człowieka na Księżyc.

Odkryliśmy nowy podział w obozie Zjednoczonej Prawicy. Na wierzących i niewierzących. Wierzący są ci z pałacu prezydenta Andrzeja Sebastiana. Wierzą, że ustawy reformujące KRS i SN będą gotowe na pierwsze wrześniowe posiedzenie Sejmu. Ci z Sejmu są natomiast niewierzący.

Teraz o innym podziale, już wśród niewierzących. Otóż posłowie PiS są przez kukistów dzieleni na dwie grupy. Pierwsza z nich to biali posłowie. Są to ci, którzy choć głosują tak, jak matka partia zaleca, robią to z grymasami rozpacz i kryjąc twarz w dłoniach. Niektórzy nawet protestują przeciw co głupszym pomysłom. Tego, jak kukiści mówią na drugą grupę, możecie się domyślić. My tego nie napiszemy, bo byłoby to rasistowskie.

Trudna sprawa, musimy wymyślić nową ksywkę dla marszałka Senatu Staszka Karczewskiego. Niech będzie Doktor Mysterio. Wszystko dlatego, że po naszej informacji o tym, że będzie kandydował z ramienia PiS na nową Hankę w stolicy, postanowił zbudować nastrój tajemniczy i intrygujący. I nie potwierdza ani nie zaprzecza. Sami wiecie, co to oznacza.

Najbardziej podobało nam się, kiedy w ramach niepotwierdzania i niezaprzeczania Doktor Mysterio oświadczył, że kocha Warszawę, tu się urodził i uczył, a tak w ogóle to Warszawa potrzebuje zmian. Tak, pamiętamy, Paweł

Rabiej z Nowoczesnej też w ten sposób nie potwierdzał ani nie zaprzeczał.

Wiecie już zatem, dlaczego Staszek to Mysterio. A dlaczego Doktor? – ktoś zapyta. To proste, w końcu Staszek jest doktorem. Prawdziwym, który leczy ludzi, nie takim lewusem od filozofii czy politologii.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Przy okazji: mimo uśmiechów Małgośki Kidawy oraz podchodów Andrzeja Halickiego grupa trzymająca władzę na Nowogrodzkiej jest przekonana, że Pełto wystawi w Warszawie Rafała Mądralę Trzaskowskiego. Czyli fałszywego doktora, takiego lewusa od politologii. W starciu doktorów preferujemy prawdziwego. Przecież gardła nie da się wyleczyć politologią.

Borysław Budka znowu coś palnął. Skąd o tym wiemy? Ponieważ otworzył usta. Tym razem palnął dla „Zeit Online”, że wysokie notowania PiS to efekt „wyjątkowej propagandy” w mediach narodowych. Nie wiedzieli-

śmy, że TVN i Polsat to media narodowe, ale Borysław nie może się mylić.

Borysław zdefiniował też PRL. Powiedział, że był to kraj „z elementami gospodarki planowej”. Mamy prośbę do Borysława – o wyliczenie tych dziedzin, w których PRL był krajem gospodarki nieplanowej. Na pewno wie. W końcu przeżył w PRL najsmądrejsze lata swego życia: od zero do 11.

W każdym razie życzymy Borysławowi, by jak najszybciej sięgnął po wymarzone stanowisko szefa Pełto. Naszym zdaniem jest jedynym polskim politykiem zdolnym rzucić rękawicę Ryśkowi Petru, a nawet go prześcignąć.

À propos Ryśka Petru. W partii bardzo go chwala. Od czasu, jak zrezygnował z kierowania klubem parlamentarnym, wreszcie da się bowiem jakoś żyć. Wszystkim zarządza Kaśka Lubnauer, która niedługo zasłuży na nową ksywkę – Myszka Organizatorka. Pytaliśmy nowoczesne wiewiórki, dlaczego Rysiek gorzej sprawdzał się w tej roli. „Bo Rysiek nie za bardzo lubi rozmawiać z ludźmi” – padła zaskakująca odpowiedź.

Wracając do zagranicznych osiągnięć przeciwników dobrej zmiany. Sagi rodu Schnepfów ciąg dalszy. Otóż, jak się okazuje, były ambasador w USA mister Schnepf pobierał nie tylko dodatek na niepracującą żonę pracującą jako korespondentka TVP w Waszyngtonie. Państwo polskie wyposażyło niepracującą-pracującą dodatkowo w limuzynę na koszt podatnika. Państwo ambasadorowie jako jedyni mieli aż dwa służbowe samochody. Nawet najstarsi dyplomaci nie pamiętają aż takich numerów.

À propos placówek. Polskim ambasadorem przy ONZ ma zostać Joanna Wronecka, niegdyś bliska współpracowniczka Włodka Cimoszewicza. Wiele się musi zmienić, żeby wszystko zostało po staremu. Nas ten fakt martwi szczególnie – liczyliśmy, że do ONZ zostanie oddelegowany Srebrny Lis Dyplomacji. Waszczu zostaje jednak na Sucha.

Jesienne zapowiedzi wydawnicze – wkrótce ukaże się wywiad rzeka z TW „Bolkiem” znanym też niektórym jako Waleśa Lech. Tytuł książki: „Ja”. Czy ktoś dałby radę wymyślić lepszy?

Tymczasem rozwojowy charakter ma sprawa innej legendy z Trójmiasta. No, może legendki. Chodzi o Pawła „Budynia” Adamowicza, prezydenta Gdańska. Tego samego, który chciał na rocznicy podpisania porozumień sierpniowych zastąpić Solidarność KOD-em. Adamowicz, jak wiadomo, jest potentatem na rynku trójmiejskich nieruchomości, dzięki czemu funkcję prezydenta Gdańska może sprawować hobbystycznie. We Wrocławiu dobiega końca śledztwo w sprawie jego majątku. Faza ad rem ma przejść w fazę ad personam.

Zżycia Richarda Henry Czarneckiego. Okazuje się, że nie tylko my mamy z nim problem. Problem polega na tym, że trudno się z Richardem rozmawia w radiu, gdyż zwykły on podczas własnych odpowiedzi przysmykać oczy. Przez to może mówić głosem modulowanym ciągłym przez kwadrans i nie zauważać rozpaczliwych gestów prowadzących, którzy szukają szansy na zadanie pytania. Jeśli więc czasem zasypianie, słuchając Richarda, to już wiadomo dlaczego.



Wszystkiemu winien postęp technologiczny. Dawno, dawno temu niektorzy z prowadzących po prostu rzucali w takich sytuacjach papierowymi kuleczkami prosto w Richarda, uzyskując pożądane pauzy. Niestety, od czasu kiedy stacje radiowe wprowadziły obyczaj nagrywania rozmów politycznych na wideo i wrzucania ich na YouTube, rzucanie jest niemożliwe. Z zemstą zastanawiamy się nad nową ksywą dla Richarda. Może Richard Henry Kuleczka?

Sensacja! Znaleźliśmy coś, za co posłowie PełO chwalą reżim PiS-owski. Otóż w tej kadencji po raz pierwszy w dziejach, jeśli jest się parlamentarzystą,

to można na koszt Sejmu przywieźć na Wiejską wycieczkę spragnionych wrażeń wyborców. Nawet cały autokar, jeśli ktoś ma ochotę. Dotąd za takie brewerie trzeba było płacić z własnych poselskich funduszy. Trochę się boimy ujawnienia tej informacji. Nie wszyscy o tym wiedzieli, a teraz mogą spróbować ładować do autokarów aktywistów ruchu UB-ywatele RP.

Ponieważ są wakacje i nie mamy co robić, oglądamy stare filmy. Odkryliśmy dzięki temu ważne dzieło polskiej kinematografii z 1966 r. zatytułowane „Cierpkie głogi”. To absolutny rarytas, bo jedyną kinową rolę zagrał w nim nastoletni obiecujący aktor Konstanty Miodowicz, później pułkownik UOP i poseł PełO. Nie to jednak zwróciło naszą uwagę, lecz fabuła, zwłaszcza wątek Alinki, córki jedynego we wsi ateisty, szykanowanej za poglądy ojca. Na szczęście Alinkę udało się uratować przed katolicką tuszczą i umieścić w świeckiej szkole w Krakowie. Kto wie, może spotkała tam samego Jana Hartmana? W każdym razie domagamy się, by „Wyborcza” jak najszybciej dołożyła ten film do swojego weekendowego wydania jako darmowe DVD. ©©

REKLAMA

KOSMICZNA LEKKOŚĆ, NIEZIEMSKA TRWAŁOŚĆ

SUPER TITANIUM™ JEST SPECJALNYM MATERIAŁEM STWORZONYM PRZY UŻYCIU WYJĄTKOWEJ TECHNOLOGII PRZETWARZANIA TYTANU ORAZ UTWARDZANIA JEGO POWIERZCHNI. JEST BARDZIEJ ODPORNY NA ZARYSOWANIA, 5 RAZY TWARDSZY NIŻ STAL SZLACHETNA, LEKKI, HIPOALERGICZNY I NIEPODATNY NA RDZEWIENIE.

Technologia Super Titanium™ została zapoczątkowana ok. 1960 roku, kiedy misja kosmiczna Apollo pokazała potencjał tytanu jako materiału do produkcji przemysłowej, a inżynierowie CITIZEN zaczęli rozglądać się za możliwością zastosowania tego materiału w zegarkach. W 1970 CITIZEN wyprodukował pierwszy na świecie zegarek z tytanową kopertą: „X-8”. Od tego czasu udoskonalano technologię przetwarzania, w tym tłoczenia, cięcia i polerowania materiału, który był uważany za bardzo trudny do obróbki. Po pokonaniu wielu przeszkód, w 1987 roku, powstał pierwszy zegarek w pełni wykonany z tytanu. CITIZEN nie zaprzestaje prób ulepszenia tego rozwiązania. Dzięki zastosowaniu specjalnego, „kosmicznego” materiału zegarki CITIZEN Super Titanium™ są o 50% lżejsze od porównywalnych modeli wykonanych ze stali szlachetnej. Niewyczuwalnie spoczywają na nadgarstku, cokolwiek robi ich użytkownik. Koperty i bransolety wykonane z Super Titanium™ zapewniają wieloletnią radość noszenia zegarka CITIZEN, który nie zmienia swojego wyglądu mimo upływu czasu. Materiał ten jest 5 razy twardszy i bardziej odporny na zarysowania niż stal szlachetna. Super Titanium™ oferuje niesamowity komfort noszenia: lekkość, wytrzymałość, a także bezpieczeństwo: ten wyjątkowy materiał jest hipoalergiczny oraz odporny na rdzewienie.

Model CITIZEN Super Titanium™ CA0650-82F



citizen.pl
cena 1470 zł

Hitler był lewakiem



Piotr Zychowicz

Wbicie ludziom do głowy poglądu, że ideologia III Rzeszy była „skrajnie prawicowa”, a sam Hitler był „prawowcem”, to jeden z największych sukcesów lewicowej propagandy

Gdyby sam Führer tysiącletniej Rzeszy dowiedział się, jak będzie określany kilkadziesiąt lat po swojej śmierci, byłby pewnie szczerze zdumiony i rozbawiony. Hitler był bowiem zatwardziałym lewakiem. Postępowcem, socjalistą, radykałem i fanatycznym rewolucjonistą burzącym z nienawiścią stary konserwatywny ład oraz porządek.

Tak jak wielu Polaków walczyć z używaniem słowa „naziści”. Nie chodzi mi jednak tylko o to, że w ten sposób zacierają się narodowość sprawców zbrodni popełnionych w imię III Rzeszy. Dużo bardziej drażni mnie to, że termin „nazizm” służy do ukrywania prawdziwego ideologicznego oblicza ruchu stworzonego przez Hitlera.

Prawidłowe określenie, używane za czasów III Rzeszy, to oczywiście „narodowy socjalizm”. Trzeba zaś naprawdę wiele się nagimnastykować, żeby uznać socjalizm za ideologię prawicową. Zajrzyjmy zresztą do ułożonego w 1920 r.

programu Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotniczej (NSDAP):

13. Żądamy nacjonalizacji wszelkich przedsięwzięć, które dotychczas ukształtowały się w formie kompanii (trustów).

14. Żądamy rozdzielenia korzyści osiągniętych w drodze handlu hurtowego.

15. Żądamy wszechstronnego zabezpieczenia socjalnego dla ludzi w wieku emerytalnym.

17. Żądamy reformy własności ziemskiej...

I tak dalej w tym samym tonie.

NSDAP była typowym ludowym demokratycznym ugrupowaniem, któ-



re reprezentowało interesy niemieckiego proletariatu. A więc walczyła z „wyzyskiem kapitalistycznym i obszarniczym”. Nie przypadkiem śpiewany z nabożną czcią partyjny hymn NSDAP – „Horst-Wessel-Lied” – zawierał następujące strofy:

*Chorągiew wzniesi! Szeregi mocno zwarte!
SA to marsz: spokojny, równy krok.
A rozstrzelani przez komunę i reakcję
Są pośród nas, i dumny jest nasz wzrok. [...]
Na hakenkreuz z nadzieją patrzą już miliony
I dzień wolności wstaje nad nasz dom!.*

Swój radykalny socjalistyczny program gospodarczy narodowi socjaliści realizowali po dojściu do władzy. Czyli – jak sami to określali – w okresie narodowosocjalistycznej rewolucji.

Jeżeli chodzi o gospodarkę, to III Rzesza była państwem typowo lewicowym. Hitler zerwał z wolnym rynkiem i zastąpił go interwencjonizmem państwowym. Państwo zaczęło inwestować w gigantyczne przedsięwzięcia przemysłowe (głównie zbrojeniowe), regulować ceny i płace, rozdzielać surowce. Organizować roboty publiczne.

Pod kontrolą rządu znalazły się: handel zagraniczny, kredyty, a nawet wielkie fabryki. Stworzono – na wzór sowiecki – wielki gospodarczy plan czteroletni. Jednocześnie III Rzesza wprowadziła hojne programy socjalne, tworzyła rozmaite Fronty Pracy. Niemcy Hitlera były państwem opiekuńczym, które rościło sobie prawo do głębokiej ingerencji w życie obywateli.

WZOREM LENINA

Führer, który kreował się na rasowego antykomunistę, w prywatnych rozmowach nie ukrywał swojej fascynacji

cji ruchem bolszewickim. A także tego, że wiele pomysłów zaczerpnął właśnie od Sowietów.

Gestapo było kopią Czecha, a obozy koncentracyjne kopią łagrów. Tak jak w Związku Sowieckim świętem państwowym w III Rzeszy był dzień 1 maja. W obu krajach wprowadzono system monopartyjny. Niemal taka sama była również ich flaga – czerwony sztandar z partyjnym symbolem.

Bolszewicy wcielali młodzież do Komsomołu, a narodowi socjaliści do Hitlerjugend. Hitler, tak jak Stalin, lubował się w wielkich defiladach, widowiskach partyjnych i krzykliwej propagandzie. Sztuka niemiecka z okresu III Rzeszy niewiele się różniła od ordynarnego sowieckiego socrealizmu.

Członkowie NSDAP do końca istnienia III Rzeszy zwracali się do siebie per „towarzysz”. Nawet ubiór Hitlera, prosty mundur bez dystynkcji, był tylko małpowaniem ascetyzmu pierwszych bolszewików. Zarówno bolszewicy, jak i narodowi socjaliści byli również utopistami. Pierwsi snuli plany stworzenia idealnego bezklasowego społeczeństwa komunistycznego, drudzy marzyli o stworzeniu idealnej germańskiej Europy.

Wymieniać tak można by jeszcze długo. Oba systemy stanowiły niemal lustrzane odbicie i doprawdy trudno zrozumieć, jak można poważnie twierdzić, że jeden z nich był lewicowy, a drugi prawicowy. Na pytanie, na czym niby polegała ta „prawicowość” narodowego socjalizmu, oczywiście nikt nie potrafił odpowiedzieć.

Wróćmy do bolszewickich fascynacji Hitlera. W sierpniu 1942 r. Führer zwierzał się swoim współpracownikom:

Nie ma żadnej wątpliwości, że ogólny poziom życiowy w Sowietach się podniósł. Ludzie nie cierpieli głodu. Tam, gdzie przed dwoma laty były jeszcze nieznanne wsie, komuniści zbudowali fabryki tej wielkości co Hermann-Göring-Werke. Mam książkę o Stalinie; trzeba powiedzieć, że jest to niesłychana osobistość, prawdziwy asceta, który żelazną pięścią złączył w jedno to olbrzymie państwo. Człowiek, który potrafi zapytać: Czy utrata 13 milionów ludzi to za wiele dla wielkiej idei?

Joachim Ribbentrop w 1939 r. po powrocie z Moskwy mówił zaś z entuzjazmem, że wśród bolszewickich komisarzy, tych „mężczyzn o mocnych rysach”, czuł się znakomicie – „jak



FOT. PRINT COLLECTOR/GETTY IMAGES, OPR. GRAFIMAS/JAN

■ wśród starych towarzyszy partyjnych”. Żeby nie było wątpliwości, mówiąc to, Ribbentrop miał oczywiście na myśli partię narodowosocjalistyczną.

O tym, że konflikt między komunistami a narodowymi socjalistami był kłótnią w rewolucyjnej rodzinie, świadczy choćby to, jak wielu komunistów po przejęciu władzy przez Hitlera zmieniło barwy z czerwonych na brunatne i zgłosiło akces do NSDAP.

– Więcej wiąże nas z bolszewizmem, niż dzieli – mówił Hitler. – Mieszczański socjaldemokrata czy przywódca związkowy nigdy nie stanie się narodowym socjalistą, ale komunista – niezawodnie.

Hitlerowcy tak jak bolszewicy chcieli zbudować swój socjalistyczny, utopijny raj na gruzach starego świata. Aby to było możliwe, należało jednak usunąć całe grupy społeczne. Komuniści wyrzynali „burżuazję” i „kułaków”, a narodowi socjaliści Żydów, którzy mieli „pociągać

za sznurki międzynarodowej finansjery” i byli „siłą napędową kapitalistycznego wyzysku”.

Brzmi znajomo? Oczywiście w podobnym tonie mogliby się wypowiadać najbardziej zdeklarowani marksiści. To bowiem właśnie Karol Marks pierwszy ciskał gromy na Żydów jako głównych beneficjentów i kreatorów kapitalizmu.

Dzięki marksizmowi bardzo wiele się nauczyłem, czego nie waham się przyznać – mówił Hitler. – Różnica polega na tym, że ja rzeczywiście wprowadziłem w życie to wszystko, o czym ci kramarze i gryzipiórki nieśmiało napomykali. Cały narodowy socjalizm na tym się opiera.

Innym razem stwierdził: „Nasza rewolucja jest dokładnym odpowiednikiem rewolucji francuskiej”.

Podobnego zdania był Joseph Goebbels, zafascynowany Robespierre’em i jego gilotynami. W ciekawej analizie narodowego socjalizmu, „Rewolu-

cji nihilizmu”, Hermann Rauschning wskazywał, że III Rzesza była państwem permanentnej rewolucji społecznej i proletariackiej.

Główna różnica między socjalizmem komunistycznym a socjalizmem narodowym polegała na tym, że ten pierwszy miał charakter internacjonalistyczny, drugi zaś narodowy. Obie ideologie odwoływały się jednak – widać to było szczególnie podczas „walki o ulice” w czasach Republiki Weimarskiej – do „klasy robotniczej” jako do swojej naturalnej bazy społecznej.

Tak naprawdę bowiem komunizm nigdy nie był prawdziwym wrogiem narodowego socjalizmu. On był jego konkurentem. Prawdziwym wrogiem



narodowego socjalizmu była prawica – konserwatyzm i tradycjonalizm stojące na straży starego ładu.

HITLERYZM JAK TROCKIZM

Hitler nienawidził wszystkiego, co prawicowe. I była to nienawiść typowo hitlerowska. Czyli zjadła, pełna kompleksów i mściwości.

Przede wszystkim Hitler nienawidził więc katolicyzmu. Narodowi socjaliści odrzucali Boga na rzecz naukowego, materialistycznego światopoglądu. Führer nienawidził Watykanu i kleru, księży zwał pogardliwie „klechami” i „zboczeńcami”. W rozmowach ze współpracownikami wielokrotnie – zgodnie z leninowską maksymą, że „religia to opium mas” – zapowiadał, że po Żydach przyjdzie kolej na chrześcijan.

Kolejnym obiektem jego odrazy były arystokracja i ziemiaństwo. Gdy dowiedział się o kontaktach między Niemcami z arystokratami a przedstawicielami

klas wyższych w krajach okupowanych, z nienawiścią mówił o „międzynarodowce łowieckiej”, którą należy niezwłocznie rozprężyć.

Nienawidził wszystkiego, co „pachniało szlachtą”. A więc dworów, polowań, konserwatyizmu, własnego korpusu oficerskiego. Choć lubował się w defiladach, to za każdym razem, gdy przeciągały przed nim pułki kawalerii, z odrazą odwracał głowę.

Hitlera przepełniała nienawiść – pisał austriacki konserwatywny myśliciel Erik von Kuehnelt-Leddihn. – Żył i ję do wszystkich dobrze urodzonych i wyżej od niego stojących w hierarchii społecznej. O sobie zawsze mówił „proletariusz”. Od jego przyjaciela z młodości, Kubizka, wiemy, że gdy był już młodzieńcem i ubóstwiana przezeń dziewczyna wybrała się na spacer z pewnym oficerem, Hitler wpadł w niepomysłowy szał „nienawiści klasowej.”

Hitler był też oczywiście zaciętym wrogiem monarchii. Hohenzollernów



Reichstag w Berlinie
ok. 1900 r. FOT. WIKIPEDIA

KSIEGARNIA



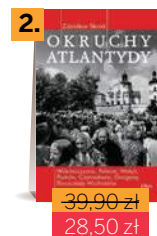
WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA

PREZENT



Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 3 września 2017 r.



ZAMÓW:

www.ksiegarniadorzeczy.pl

☎ 12 431 25 78

nie cierpiać, a liberalna dynastia Habsburgów panująca nad wielonarodowymi Austro-Węgrami budziła w nim wręcz obrzydzenie.

„Jedno dobre, co zrobili socjaldemokraci – rozwijał twórczo myśl wodza Joachim Ribbentrop – to zniesienie monarchii”.

„Zwiedziłem właśnie obozy koncentracyjne w Austrii. Siedzą w nich Żydzi i arystokraci. Jedni są brzydki i za ruchliwi, drudzy piękni i za nieudolni” – notował z kolei Heinrich Himmler w 1937 r.

Józef Mackiewicz – ku oburzeniu lewicowych intelektualistów – postulował, aby ideologię Hitlera nazywać nacjonalbolszewizmem. Według tego wybitnego pisarza Führer był dla Sowietów tylko konkurentem do „socjalistycznej chwały”. A wyznawców obu ideologii łączyła nade wszystko „zapiekła nienawiść do prawicy, do wszelkiej kontrrewolucji”.

Na tle deformacji prawdy historycznej – podkreślał Mackiewicz – powstało wiele legend, które się dziś utrwały. Choćby legenda o faszyzmie hitlerowskim jako „czarnej reakcji”.

Ta ostatnia zwłaszcza nie podlega żadnej dyskusji. Tymczasem wiadomo, że przywódcy hitlerowscy nienawidzili w głębi duszy bardziej konserwatystów niż bolszewików. Hitleryzm oparł się na systemie i terrorze typu niewątpliwie ogólnistycznego.

Także spisek antyhitlerowski w Niemczech miał niewątpliwie cechy klasycznej kontrrewolucji z prawa, jakkolwiek ze względu na obowiązujący dziś nastrój usiłuje mu się nadać ze strony niemieckiej charakter „demokratyczny”. Wśród 158 osób spisku, powieszonych, zamordowanych lub ratujących się przed torturami samobójstwem, znalazło się hrabiów i baronów – 25, szlachty rodowej z przydomkiem „von” – 31; razem 56, czyli ponad trzecią część ogólnie liczby straconych.

To naprawdę wielki paradoks, że po wojnie z Hitlera, lewicowego dyktatora, zrobiono prawicowca. A z jego prawicowych wrogów z korpusu oficerskiego Wehrmachtu, pruskiego ziemiaństwa i korpusu dyplomatycznego – miłośników demokracji i postępu. Jakież to typowe dla naszych załganych czasów!

Według Józefa Mackiewicza jedną z przyczyn niechęci Hitlera do walczących u boku Niemiec antybolszewickich jednostek wschodnich była właśnie jego lewicowość. Kozacy, rosyjscy generałowie, szlachcice i biali emigranci, wszystko to kojarzyło mu się z – tfu! – przebrzydłym caratem.

Żadnej kontrrewolucji! – pieklił się Hitler na jednej z narad ze swoimi generałami. – Żołnierz niemiecki nie po to wykrwawia się od Oceanu Lodowego po Morze Kaspijskie, żeby na tych terenach osadzać ksiązków, hrabiów i bankierów rosyjskich! Czy ułatwić powrót bandzie emigracyjnych darmozjadów?!

Spójrzmy zresztą na życie prywatne Hitlera:

- był żyjącym na kocią łapę perwersem,
 - przez większość czasu był pod wpływem narkotyków, którymi szprycował go jego nadworny lekarz Theodor Morell,
 - był wegetarianinem i zdeklarowanym obrońcą praw zwierząt,
 - był wojującym antyklerykałem,
 - był zwolennikiem aborcji i eutanazji.
- To zdumiewające, że człowieka o takim światopoglądzie ktoś na poważnie może nazywać prawicowcem.

NIWYGODNA PRAWDA

Jak więc to się mogło stać? Dlaczego tak absurdalny pogląd zakorzenił się tak głęboko w powszechnej świadomości?

Wszystko zaczęło się w dwudziestoleciu międzywojennym, gdy w Europie rozgorzała zacięta rywalizacja między dwoma socjalizmami – narodowym i międzynarodowym. A że bolszewicy mają – jak wiadomo – zwyczaj nazywania każdego swojego wroga „czarną reakcją”, zgodnie z wytycznymi z Moskwy „fasyzm” został postawiony w jednym szeregu z konserwatyzmem, katolicyzmem i wszystkim, czego komuniści nienawidzili i czego się bali.

Warto dodać, że „prawicowym” Moskwa okrzyknęła wówczas także trockizm...

Absurdalną sowiecką tezę o „reakcyjnym”

charakterze ugrupowania Adolfa Hitlera podchwyciły tabuny wpływowych lewicowych intelektualistów – użytecznych idiotów i płatnych sowieckich agentów. Tysiące napisanych przez nich artykułów i książek ukształtowały opinię Zachodu i wkrótce „prawicowość” Hitlera stała się oczywistą oczywistością. Niepodważalnym dogmatem politycznej poprawności.

Potrzeba osadzenia narodowego socjalizmu na prawej stronie politycznego spektrum wzrosła po II wojnie światowej. III Rzesza nie tylko bowiem walczyła ze Związkiem Sowieckim – co niejako automatycznie musiało oznaczać, że była „prawicowa” – lecz także, co gorsza, dopuściła się straszliwych masowych zbrodni.

W tym kontekście radykalizm społeczny Hitlera dla wielu środowisk był wyjątkowo niewygodny. Europejska lewica zrobiła wszystko, żeby podtrzymać mit o „prawicowości” III Rzeszy. A co za tym idzie – odsunąć od siebie odpowiedzialność za jej zbrodnicze „dokonania”. Hitler nie był jednym z nas! To był paskudny prawicowiec!

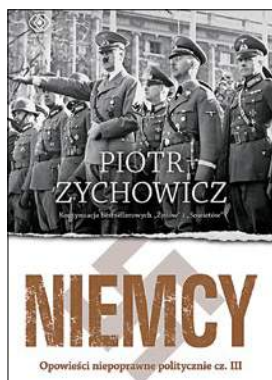
Pasowało to oczywiście ultrademokratycznym i postępowym Amerykanom oraz Brytyjczykom, którzy z kolei niechętnie mówili, że Hitler był zdeklarowanym zwolennikiem demokracji, arcydemokratą, jak sam siebie nazywał. Niechętnie przypominali również, że doszedł do władzy w wyniku powszechnego głosowania.

Znacznie łatwiej było go przedstawić jako „reakcjonistę”. A więc obrzucić tą samą inwektywą, którą on obrzucał swoich wrogów. To właśnie wtedy niebezpieczne, bo wskazujące na lewicową proveniencję, określenie „narodowy socjalizm” zastąpiono nic niemówiącym słowem „nazizm”.

I właśnie tak – jak przekonywał Joseph Goebbels – kłamstwo powtórzone tysiąc razy stało się prawdą. Hitlera uznano za „prawicowego ekstremistę”, a narodowych socjalistów za „skrajną prawicę”. Jest to jedna z największych manipulacji XX w. Rację miał cytowany już Erik von Kuehnelt-Leddihn, gdy pisał:

Trzy całkowite lewicowe rewolucje: francuska, bolszewicka i narodowosocjalistyczna ukształtowały historię ostatnich 200 lat i sprawiły, że były one „stuleciami G”: gilotyn, gazowych komór i Gułagu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Więcej o Adolfie Hitlerze i jego zbrodniach w nowej książce Piotra Zychowicza „Niemcy. Opowieści niepoprawnie politycznie cz. III” (wyd. REBIS)

SPORTOWY WEEKEND DLA CAŁEJ RODZINY



**8. PKO
FESTIWAL
BIEGOWY**

8 - 10 WRZEŚNIA
KRYNICA-ZDRÓJ, MUSZYNA



PULA NAGRÓD 500 000zł

PONAD 30 BIEGÓW - PONAD 300 km TRAS

KONCERTY • SPOTKANIA • STREFA DZIECI • TARGI - 150 WYSTAWCÓW

WWW.FESTIWALBIEGOW.PL

PARTNER TYTULARNY

PARTNERZY



Bank Polski



eprasa.pl dd796f7777

MARCIN MAKOWSKI: Sezon wakacyjny dobiega końca. Było o czym myśleć przez tych kilka dni poza polityką?

JAROSŁAW GOWIN: Było. Przez prawie tydzień odpoczywałem poza zasięgiem telefonów i właściwie do nikogo nie otwierałem ust. Przeczytałem natomiast wiele książek i dużo rzeczy przemyślałem na nowo. Po dwóch latach rządów potrzebujemy szeroko rozumianej prawicy nowych idei. Musimy sobie wszyscy uświadomić, że III RP to czaszka, która się już nie uśmiechnie. Żyliśmy w państwie, które było – jak chcieli i konserwatyści, i klasyczni liberałowie – ograniczone. Zarazem jednak było to państwo słabe. Dlatego wymaga wewnętrznej przebudowy. Musimy jednak uważać, aby słabego państwa ograniczonego nie zastąpić słabym państwem nieograniczonym. Rozumiem przez to twór, który głęboko ingeruje w życie rodzin, organizacji pozarządowych i samorządów, ale jest równie nieskuteczny jak III Rzeczpospolita. Naszym celem powinno być państwo gwarantujące maksymalne możliwe wolności obywatelskie, ale jednocześnie silne w dyplomacji, armii oraz w służbach gwarantujących bezpieczeństwo wewnętrzne, silne wsparciem polskich rodzin. A to oznacza, że trzeba polskie państwo wymyślić na nowo.

To bardzo mocne słowa.

Kiedy włączyłem się w propagowanie idei IV Rzeczypospolitej, nie byłem jeszcze politykiem. Wierzyłem w prawdziwą zmianę instytucjonalną, tymczasem ona jeszcze nie nadeszła. Nie możemy się zadowalać zmianami kadrowymi. One są oczywiście niezbędne, ale jeżeli nowe wino wlejemy w stare bukłaki, to ono spleśnieje.

Trudno nie odczytać w pana słowach aluzji do kształtu zawetowanych przez prezydenta reform wymiaru sprawiedliwości.

Nie mam wątpliwości, że dotychczasowa formuła funkcjonowania Trybunału Konstytucyjnego oraz całego wymiaru sprawiedliwości odchodzi w przeszłość. Jednak zmiany, które na tym polu wprowadzamy, mają charakter przejściowy. To nie jest krytyka tych rozwiązań, ale Polska potrzebuje dzisiaj czegoś więcej: nowego ładu ustrojowego, na czele z konstytucją. Wspominałem wcześniej o zmianach personalnych. Nie mam jednak na myśli czystek. W moim resorcie z siedmiu kluczowych urzędników, którzy pracowali nad ustawą o szkolnictwie wyższym, trzech było zatrudnionych w ministerstwie już

Z Jarosławem Gowinem (Polska Razem), wicepremierem oraz ministrem nauki i szkolnictwa wyższego



rozmawia Marcin Makowski

Potrzebujemy nowych idei

wcześniej. Starzy i nowi potrafią ze sobą świetnie współpracować. Ten propaństwowy potencjał – również wśród środowiska prawniczego i sędziowskiego – trzeba umieć wykorzystać przy proponowaniu głębokich reform.

Czy wśród wielu pańskich refleksji była i taka: „Gdybym mógł cofnąć czas, 12 lipca zagłosowałbym inaczej”?

Dzisiaj na pewno zadbałbym o to, aby przed głosowaniem lepiej wyjaśnić Polakom, dlaczego moja partia popiera ustawy, które są głęboko wadliwe.

To brzmi jak „za, a nawet przeciw”.

Wiem, że w epoce głębokich podziałów, gdy liczy się tylko bezkrytyczne „tak” lub bezkompromisowe „nie”, moją postawę trudno zrozumieć. W demokratycznej po-

lityce rzadko ma się jednak wybór między dobrem a złem. Zazwyczaj ogranicza się on do rozwiązań połowicznych, obarczonych jakąś skazą. Czasami zaś trzeba wybierać między rozwiązaniem złym a bardzo złym. Tym drugim było doprowadzenie do upadku rządu i przedterminowych wyborów, a jestem przekonany, że taki scenariusz by się sprawdził, gdybym wraz z moimi posłami zagłosował przeciw. Dlatego zdecydowaliśmy się na wariant zły, popierając ustawę obarczoną poważnymi wadami, równocześnie podejmując starania, żeby ta ustawa nie weszła w życie. Podzielałem natomiast wszystkie zastrzeżenia, które do ustawy zgłosił prezydent Andrzej Duda. Trzeba do jego weta odnieść się z szacunkiem i szukać takiego kształtu reformy, aby była ona wolna od wad konstytucyjnych. Przecież, jak powiedziała pani Zofia



FOT. MICHAŁ WODNIK/EAST NEWS

Romaszewska, nikt nie chce żyć w kraju, w którym prokurator wybiera sędziów.

Czy dotknęła pana decyzja wydawnictwa „Znak” o wypisaniu pana ze składu zespołu? Ponoć były naczelny nie jest już po linii z „imponderabiliami, którym środowisko »Znaku« było i pozostaje wiernie”.

Tę decyzję przyjąłem całkowicie beznamietnie. Obecny „Znak” składa się w większości z ludzi, których nawet nie znam, a pod względem ideowym jest to pismo kompletnie różne od tego, którym przed kilkunastu laty kierowałem. Oczywiście pod moim adresem padły również zarzuty ludzi, których głęboko cenię, ale obecne środowisko miesięcznika do tego grona nie należy. Generalnie zebrałem baty od środowiska tzw. elit, ale moimi politycznymi mistrzami od wczesnych lat młodości byli Margaret Thatcher oraz

Ronald Reagan. Wśród rzeczy, których się od nich nauczyłem, było to, aby nie przejmować się krytyką ze strony elit, dlatego że bardzo często kierują się one przemijającymi ideologiami lub swoimi egoistycznymi interesami.

Prezydent chce przygotować nową ustawę o wymiarze sprawiedliwości. Wierzy pan, że uda mu się pogodzić wodę z ogniem?

Andrzej Duda podjął niełatwą dla siebie decyzję, ale politycy obozu Zjednoczonej Prawicy powinni trzymać kciuki, aby taki projekt mógł jesienią wejść w życie. Nasi wyborcy oczekują od nas jednności w kryzysowych dla państwa sytuacjach.

A minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro twierdzi, że prezydent stoi dzisiaj przed wyborem groteski albo wielkości...

Gdy apeluje o jedność, te słowa w oczywisty sposób odnoszą się również do mnie. Nie byłoby to odpowiedzialne, gdybym zabrał się do recenzowania innych ministrów. Wystarczy już tych recenzji. Z każdej strony. To jest moment, w którym na prawicy powinniśmy nabrać głęboko powietrza w płuca i dwa razy pomyśleć, zanim nic nie powiemy. Nie wolno nam kolejny raz narażać wyborców na zgorszenie w postaci wewnętrznych sporów w obozie „dobrej zmiany”.

Spory jednak są – także ten między BBN i MON.

To kolejna sprawa, która nie przysparza nam wiarygodności, dlatego liczę, że konflikt o gen. Jarosława Kraszewskiego oraz o kształt reformy armii zniknie w jak najszybszym tempie. Kompetencje konstytucyjne pomiędzy ministrem a prezydentem momentami nakładają się na siebie, ale też konstytucja wyraźnie mówi, że zwierzchnikiem armii jest głowa państwa. Różnice zdań pomiędzy MON a BBN powinny być zatem rozwiązywane zgodnie z duchem ustawy zasadniczej. Jednak sam fakt, że w ogóle do takiego sporu kompetencyjnego może dojść, to kolejny argument za napisaniem konstytucji na nowo. W tym duchu czytam projekt Andrzeja Dudy pt. „Konstytucja dla obywateli, nie dla elit”, który otwiera pole do dyskusji o jej przyszłym kształcie.

A gdyby pojawiło się inne wyzwanie w postaci wieszczonoj od pewnego czasu „partii prezydenckiej”? Jak by się pan zachował?

Nie widzę żadnych przesłanek przemawiających za tym, aby prezydent zmierzał do stworzenia wokół siebie autonomicznego obozu politycznego. Nie sędzę również, aby to było możliwe. Mówienie dzisiaj o „partii prezydenckiej” to marzenia polityków, którzy chcieliby zerować na autorytecie głowy państwa i sami w ten sposób wzmocnić swoją pozycję. Pomijam już kwestię, że Andrzej Duda jest człowiekiem o przekonaniach na wskroś PiS-owskich. Nawet jeśli spojrzeć na chłodno z pozycji interesów, prezydent niewiele mógłby takim ruchem zyskać, a wiele stracić. Poza tym ośrodek prezydencki w Polsce nie ma narzędzi do budowania partii, czego dowiodły inicjatywy Aleksandra Kwaśniewskiego oraz Bronisława Komorowskiego. Czy to się komuś podoba, czy nie, Prawo i Sprawiedliwość oraz Andrzej Duda są na siebie skazani. Gdy czytam prawicowych komentatorów, którzy krytykując prezydenta za zawetowanie reformy sądow-

nictwa, sugerują, że PiS mógłby zamiast niego w następnych wyborach wystawić np. Beatę Szydło, wzruszam ramionami. To byłoby oddanie wyborów prezydenckich walkowerem. Dla nas natomiast druga kadencja Andrzeja Dudy będzie miała znaczenie kluczowe. Jeśli Zjednoczona Prawica wywalczy kolejne zwycięstwo, to bez życzliwości prezydenta nie będziemy przecież w stanie kontynuować reform. Jeżeli, odpukać, wybory byśmy przegrali, wówczas Andrzej Duda będzie tamą chroniącą nas przed rekonkwistą. Nie można o tym zapominać.

Wspomina pan o silnym państwie. Czy takim okazało się w obliczu nawałnicy, która przeszła głównie przez województwo pomorskie? A może zareagowano zbyt późno?

Tuż przed naszą rozmową spotkałem się z moim współpracownikiem z biura poselskiego, który przejeżdżał przez tereny dotknięte kataklizmem kilka godzin po nawałnicy. Podkreślał, że zarówno straż pożarna, policja, jak i inne służby działały w sposób imponująco sprawny. Czy wszyscy wywiązaliśmy się właściwie

Bez dwóch zdań Polska potrzebuje dekoncentracji mediów. Dzisiaj jesteśmy bliscy podzielenia przestrzeni medialnych pomiędzy kilka karteli. To jest stan niekorzystny zarówno dla gospodarki, jak i obywateli, ponieważ realnie ogranicza wolność słowa. W imię pluralizmu i wolności mediów dekoncentracja powinna zostać przeprowadzona. W jakim kształcie, o tym nie chcę w tej chwili przesądzać. Czekam na ustawę, którą już niedługo przedstawi Ministerstwo Kultury. Na pewno nie dojdzie do żadnej przymusowej nacjonalizacji, ale można natomiast – tak jak w wielu państwach zachodnioeuropejskich – uruchomić mechanizmy rynkowe. Pana pytanie o otwieranie frontów lepiej pasuje natomiast do drugiej kwestii, czyli ewentualnych reparacji wojennych.

Słyszę, że wypowiadając te słowa, wyraźnie się pan waha.

W sprawach międzynarodowych kieruję się filozofią realizmu geopolitycznego. Namysł nad polityką zagraniczną powinien się zacząć od studiowania map. Polska jest położona między Niemca-

To może warto – w polityce krajowej – otworzyć nie tyle front, ile pole, na którym będziemy dociekać sprawiedliwości w sprawie wyłudzenia VAT. Wzrosty ze ściągalskości podatku o 20 mld zł nie mogą się przecieć brać z niczego.

W tej materii nie mam żadnych wątpliwości, że sejmowa komisja jest potrzebna. Premier Morawiecki oraz były minister Paweł Szałamacha zasługują na ogromne gratulacje, ponieważ zaczęli rozsypywać ten węzeł gordyjski. Jednak nadal nie mamy pewności, kto go stworzył, a nie da się budować silnego państwa, o którym mówiłem, jeśli nie znajdziemy odpowiedzi na to pytanie. Domyślam się, że na świadka znowu trzeba będzie wezwać Donalda Tuska oraz ministrów poprzedniego rządu, ale w tak wielowątkowej sprawie nie mamy innego wyboru. Nawet jeśli szef Rady Europejskiej znowu będzie się kreował na ofiarę prześladowań politycznych i będzie próbował wykorzystać obrady komisji do wzmocnienia swojego wizerunku. Skoro jednak sam mówiłem, że jako były minister sprawiedliwości powinienem stanąć przed komisją ds. Amber Gold, analogicznej uczciwości oczekuję od byłego premiera.

Polska potrzebuje dekoncentracji mediów. Dzisiaj jesteśmy bliscy podzielenia przestrzeni medialnych między kilka karteli

z naszych zadań? Przyjdzie pora, aby wyborcy to ocenili. Uważam, że zarzuty, jakoby rząd nie wykazał się odpowiednią wrażliwością czy refleksem, są naprawdę krzywdzące.

Wojewoda pomorski, który powinien wezwać wojsko do pomocy lokalnej ludności, stwierdził, że nie ma sensu angażować armii do sprzątania liści. Może ktoś inny niż rząd jest tutaj jednak pokrzywdzony?

Nie chcę komentować wyrwanych z kontekstu słów. Jeszcze raz podkreślę: wyborcy rozliczą nas przy urnach wyborczych w 2019 r. Wojewoda pomorski zostanie natomiast rozliczony przez swojego przełożonego, czyli ministra Błaszczaka, znacznie wcześniej. Mam zaufanie do pana ministra. W tej chwili skupmy się na niesieniu pomocy, później będziemy wyciągać ewentualne konsekwencje.

Polityczny wrzesień zapowiada się niezwykle gorąco. Na tapecie m.in. projekt ustawy o dekoncentracji mediów oraz reparacje wojenne od Niemiec. Sprawa z mediami oznaczać będzie kolejny otwarty front, a może pole minowe?

mi a Rosją. Ta druga jest z trzech stron zabezpieczona przed atakiem, ponieważ ma naturalne granice, które utrudniają ewentualną napaść, tj. Kaukaz, Syberię i ocean. Tylko od strony Niziny Środkowo-europejskiej Moskwa może spodziewać się realnego zagrożenia, dlatego geografia skazuje nas na fatalizm wrogości Rosji, która w imię bezpieczeństwa chce uczynić z Polski strefę wpływów. Jeżeli przyjmujemy, że tak jest, czy możemy sobie pozwolić na równoczesne zaognianie stosunków z Niemcami? Berlin jest, patrząc dalekosiężnie, strategicznym sojusznikiem Warszawy. Sprawa reparacji powinna być zatem otwarta od strony formalnej, ponieważ mogą być takie sytuacje w przyszłości, gdy po ten oręż trzeba będzie sięgnąć jak w roku 2004, gdy ziomkostwa niemieckie podniosły kwestię odszkodowań dla Niemców wysiedlonych z ziem odzyskanych. Ta strzelba powinna wisieć na ścianie gotowa do wypalenia, ale czy powinniśmy po nią sięgać w tym momencie? Mam poważne wątpliwości.

Ogląda pan czasami „Wiadomości”? A jeśli tak, to jak pan znajduje ostatnie przetasowania personalne w telewizji publicznej? Złośliwi mówią, że rewolucja pożera własne dzieci.

Cóż, z ręką na sercu mogę powiedzieć, że praktycznie nie mam czasu na oglądanie jakichkolwiek programów informacyjnych. Jeśli jakiś minister może to robić, to premier Szydło powinna przyjrzeć się efektom jego pracy. Oczywiście wiem, co się dzieje w TVP i w tej materii mogę się podpisać pod słowami Bronisława Wildsteina, że nawet największe dokonania można za-przepaścić zbyt toporną propagandą.

Na Twittera pan znajduje czas. Widział pan np. tweety posła Tarczyńskiego, który chwali się napisaniem „Won!” do dziennikarza „Newsweeka” albo zdjęciami z wakacji? Czy część „dobrej zmiany” nie za-bardzo popuściła pasa?

Proszę mnie nie pytać o tego posła. Mogę jednak na koniec powiedzieć, że Polacy żadnej władzy nie wybaczyli dwóch rzeczy. Lepkich rąk i arogancji. Jeżeli dostrzegą w nas jedno bądź drugie, to żadne osiągnięcia w zwalczaniu afery VAT-owskiej czy we wspieraniu polskich rodzin nie nam nie pomogą. Trzeba zakasać rękawy, wyznaczyć fronty, na których możemy skutecznie prowadzić wojny, otwierać się na nowe środowiska i wystrzegać pychy.

Szybki internet – wygoda i rozwój

Obejrzeć skrót nocnego meczu koszykówki. Zamówić pralkę. Zapłacić podatek od nieruchomości. Jeszcze do niedawna wykonanie tych czynności mogło nam zająć naprawdę dużo czasu i wysiłku. Rewolucję przyniósł internet, bez którego dziś trudno sobie wyobrazić szybkie załatwienie wielu prostych spraw.

Rozwój cyfrowy kraju to jeden z 5 kluczowych obszarów, na które kierowane są fundusze europejskie. Na lata 2014-2020 przeznaczono na ten cel pulę aż 9,2 mld zł, z czego już wykorzystano 52% - wartość podpisanych umów o dofinansowanie projektów to ponad 4,8 mld zł. Program Polska Cyfrowa realizowany jest przede wszystkim poprzez zapewnienie jak najszerzego technicznego dostępu do sieci, rozwój przyjaznych i dostępnych dla obywateli usług e-administracji, a także zwiększenie kompetencji cyfrowych społeczeństwa, czyli umiejętności posługiwania się narzędziami, oferowanymi przez współczesny poziom techniki komputerowej.

Dostęp do internetu to obecnie dla wielu osób coś oczywistego i potrzebnego, narzędzie pracy, nauki, rozwoju.

Firmy, urzędy, szkoły czy uczelnie coraz większą część swojej działalności opierają na usługach internetowych. Jedną z najdynamiczniej rozwijających się branż jest e-handel, rynek jest wart dziś 36 mld złotych i ciągle rośnie.

Wzrost liczby użytkowników, rosnący ruch w Internecie i potrzeba coraz szybszych łączy wymusza nowe inwestycje. Bez nowoczesnej i szybszej infrastruktury telekomunikacyjnej wzrost gospodarczy byłby wolniejszy, a korzystanie z usług internetowych

uciążliwe (np. wolno ładujące się strony). Program Polska Cyfrowa oferuje przedsiębiorcom telekomunikacyjnym wsparcie na doprowadzenie sieci szerokopasmowych, dostarczających szybki internet do miejsc dotychczas pozbawionych takiego dostępu. Z drugiej strony wspierane są inwestycje w poprawę jakości już istniejącej infrastruktury technicznej, tak by zapewnić użytkownikom jak najwyższy poziom usług. Aktualnie z dostępu do internetu korzysta 80% gospodarstw domowych, a w kolejnych latach dołączy do nich pozostałe 20%.

Ogromny nacisk położony został na wzrost efektywności kontaktów obywateli i firm z urzędami, poprzez cyfryzację urzędów i stale zwiększającej się liczby usług dostępnych przez internet. Dzięki temu możemy odwiedzić urząd nie wychodząc z domu - np. złożyć wniosek o dowód osobisty, rejestrację firmy czy wysłać pismo przez platformę e-upap, która dziś ma już milion użytkowników.

Więcej informacji dostępnych jest w punktach informacyjnych: www.funduszeuropejskie.gov.pl/punkty oraz na stronie Centrum Projektów Polska Cyfrowa: www.cppc.gov.pl. ©©

Agnieszka Lewandowska

Program Polska Cyfrowa – osiągnięcia i liczby

- podpisano 200 umów na kwotę 4,5 mld zł;
- wg podpisanych umów umożliwiające zostanie podłączenie do sieci szerokopasmowej dla ponad 1,3 mln gospodarstw domowych;
- wg podpisanych umów udostępnionych on-line zostanie 78 usług publicznych o poziomie dojrzałości co najmniej 3 (dwustronna interakcja).

Fundusze Europejskie na cyfryzację – skorzystaj i ty!

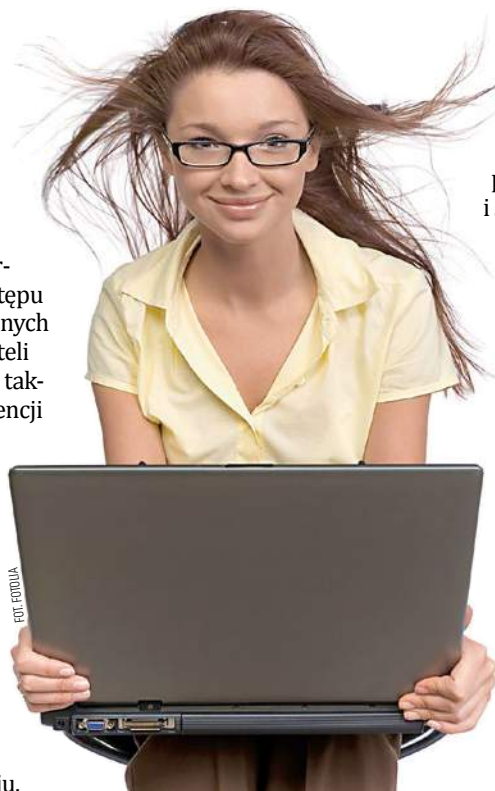
- Sprawdź, czy w twojej okolicy nie doprowadzono szybkich łączy – może i w twoim domu już wkrótce zagości szybki internet?

Załatw zdalnie sprawę urzędową, np.

- zarejestruj firmę
- sprawdź historię szkód komunikacyjnych kupowanego auta
- złóż wniosek o dowód osobisty
- prześlij zeznanie podatkowe

Poznaj inne e-usługi – odwiedź strony

- Obywatel.gov.pl
- Biznes.gov.pl



PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPÓJNOŚCI UNII EUROPEJSKIEJ



Unia Europejska
Europejskie Fundusze
Strukturalne i Inwestycyjne





Rafał A. Ziemkiewicz

PiS-owska rewolucja gróźnie, bo po dwóch latach PiS wciąż bierze odwet za doznane wcześniej krzywdy, zamiast budować stabilną przyszłość

Zaufanie jest dobre, ale kontrola jest lepsza – choć wszystko wydaje się dzielić PiS od autora tych słów, to jego filozofię zarządzania partia ta zdaje się w całej rozciągłości podzielać. I to właśnie jest przyczyną jej kłopotów. Najwyższy czas, by liderzy PiS napisali sobie nad lustrami i biurkami, a przede wszystkim zapisali sobie w głowach, że w demokracji recepta na sukces brzmi dokładnie odwrotnie: kontrola jest dobra, ale lepsze jest zaufanie.

Łatwo dać się zwieść własnej propagandzie sukcesu: sondażowe poparcie nie słabnie, a nawet rośnie, wyniki gospodarcze są znakomite, opozycja jest skłócona i niezdolna do zaproponowania wyborcom alternatywnej wizji. Można powtórzyć za sanacyjnymi pułkownikami: „Byczo jest!”. A jednak po dwóch latach PiS-owska rewolucja wyraźnie gróźnie. Obiecane obłożenie podatkiem sklepów wielkopowierzchniowych i banków, zapobieżenie wyprowadzaniu zysków spod polskiego opodatkowania przez wielkie korporacje, reforma mediów publicznych, reforma sądownictwa – nic się nie udaje. Łatwiej było wskazywać problemy i zdiagnozować ich przyczyny, pozostając odsuniętą od wszelkiego wpływu na państwo opozycją, niż je naprawić, nawet mając w ręku wszystkie narzędzia władzy.

Śmiesznie łatwa do obejścia przez korporacje, za to psująca krew rodzimym rolnikom ustawa o obrocie ziemią, kolejne wyrzucane do kosza pomysły zapewnienia finansowania państwowym mediom, a zwłaszcza zawetowane przez prezydenta ustawy o sądownictwie – to chyba wystarczające dowody na to, że PiS nie potrafi znaleźć fachowców zdolnych napisać ustawy skuteczne i zarazem zgodne z konstytucją oraz prawem wspólnotowym.

KADRY ZAMIAST ZMIAN

Nie potrafi? Raczej nie chce, zakładając, że wszyscy tacy specjaliści, którzy



Polityka

znaleźli się w jego orbicie, byli „z układu”. Mając ograniczone zasoby, partia rządząca woli robić wszystko sama, powierzając nawet kluczowe sprawy ludziom, o których Andrzej Waligórski pisał jeszcze w czasach PRL: „Prochu nie wymyśli, ale w razie czego nie zawiedzie”. W czasach, gdy partia Jarosława Kaczyńskiego była atakowaną zewsząd opozycją, może rzeczywiście potrzebowała przede wszystkim ludzi, którzy „w razie czego nie zawiodą”, ale teraz najważniejsze to mieć fachowców.

Niestety, w tej kwestii kieruje się PiS doświadczeniem, o którym Jarosław Kaczyński mówił otwarcie: w czasie poprzednich rządów staraliśmy się kierować do spółek Skarbu Państwa ludzi nowych, młodych, kierując się tylko kryteriami merytorycznymi, ale oni szybko wsiąkali w układ i stawali się jego częścią. Założmy, że istotnie tak to wyglądało i ludzie dobrani pod kątem

kwalifikacji rzeczywiście się korumpowali (bo można podejrzewać, że po prostu nie chcieli się podporządkowywać oczekiwaniom partii). Jeśli tak, to prezes wyciągnął z tej sytuacji wnioski odwrotne do właściwych. Rozsądek podpowiada bowiem, że jeśli „układy” mają taką siłę deprawowania urzędników i menedżerów, to mamy do czynienia z chorym, korupcjogennym systemem, potrzeba więc zmian systemowych, a nie tylko personalnych. Tymczasem „PiS-owski rozum” (jeśli można tak sparafrazować wprowadzone kiedyś do publicystyki pojęcie „solidarnościowego rozumu”) recepty szuka w nominowaniu lepiej sprawdzonych pod kątem lojalności. W oczywisty sposób prowadzi to do polityki personalnej, o której też powiedział kiedyś prezes Kaczyński z rozbijającą szczerością: mianowaliśmy człowieka, który się nie zna, bo wszyscy, którzy się znają, są z „układu”.



Nieufność obozu władzy jest odwieczną chorobą rewolucjonistów przywykłych przez lata żyć w obłęzieniu i odpierać ataki FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

nieufności

Najgorsze jednak, że ci, którzy wydają się „nasi”, oddani, także czasem zdradzają. Trzeba więc tak poustawić sprawy, żeby także na własnych nominatów mieć w razie czego bata.

NIEMOŻNOŚĆ

Takie zapewnianie sobie posłuchu bywa skuteczne w pewnych konkretnych, wąskich obszarach państwa, gdzie istotnie lojalność i karność są niezbędne – dajmy na to w służbach. PiS jednak próbuje w ten sposób zarządzać całymi dziedzinami życia publicznego. A to skończyć się musi popadnięciem w niemożność. Doskonałym przykładem jest kluczowa dla partii rządzącej reforma wymiaru sprawiedliwości. Pierwotnie oparto ją na założeniu ze wszech miar rozsądnym: jeśli problemem jest opanowanie go przez wąską grupę „krewnych i znajomych”, którzy „niezawisłość” zinterpretowali tak, że wybierają się nawzajem we własnym gronie i tylko

sami przed sobą odpowiadają (czyli nie odpowiadają przez nikim), to należy rozerwać ten łańcuch samowybieralności, oddając np. kompetencję wyboru członków Krajowej Rady Sądownictwa, dotąd zarezerwowaną dla prezesów sądów, ogółowi sędziów. Jest ich w Polsce ok. 10 tys., w większości młodych, z natury rzeczy zainteresowanych zawodowym rozwojem, który obecny establishment i środowiskowe układy blokują.

Ta propozycja nagle jednak zniknęła. Niemal można sobie wyobrazić, w jakiej atmosferze to się działo. Puścić sprawę tak, na żywioł? Na pewno znowu wybiorą jakichś „poumaczanych”! – i pierwotny postulat, zgodny z oczekiwaniami środowiska, zmienił się we wskazywanie KRS bezpośrednio przez partię rządzącą. Nieskrywana chęć wzięcia całego środowiska na polityczną smycz oczywiście musiała się spotkać z reakcją – zamiast wykorzystać naturalne antagonizmy, PiS zjednoczył je

przeciwko sobie. Zaburzył też poczucie bezpieczeństwa zwykłych wyborców, którzy generalnie mają obecnego wymiaru sprawiedliwości dosyć, ale widząc karkołomne przepychanie „reformy” kolanem, bez dopuszczania do dyskusji na jej temat, zaczęli być skłonni do opowiedzenia się jednak po stronie „kasty”. Odpowiedzią PiS był propagandowy atak na sędziów jako takich, szermujący przykładami patologii, które oczywiście są prawdziwe, ale takie ich wykorzystanie przypomina retorykę antyklerykalów, którzy stawiając znak równości między Kościołem a pedofilią, też posługują się przypadkami niewyssanymi z palca.

PiS raz już „przegrzał” swą propagandę, przegrywając sprawę, wydawałoby się, oczywistą – nagranie ze spotkania w hotelu Marriott. Pokazane raz na specjalnej konferencji prasowej wstrząsnęło Polakami, ale kiedy w następnych dniach zaczęto okładać nim telewizorów po

■ głowach jeszcze raz i jeszcze raz, obudzono w nich podejrzliwość: „Pewnie to prawda, ale oni tą prawdą ewidentnie grają”. Nie wyciągnięto z tamtej porażki wniosków.

CHOROBA REWOLUCYONISTÓW

Niefuność obozu władzy wynika nie tylko z takiej, a nie innej interpretacji dotychczasowych doświadczeń. Jest ona odwieczną chorobą rewolucjonistów przywykłych przez lata żyć w obłęzieniu i odpierać ataki. To, co spotykało działaczy i stronników PiS pod rządami PO, PSL i salonu III RP, niezwykle rozbastwionych przekonaniem, że nigdy nie przegrają ani nigdy nie będą musieli się z tradycjonalistami niczym dzielić, o oddawaniu władzy nie mówiąc (by przypomnieć sławne powiedzenie Michnika o zakonnicach), było istotnie obrzydliwe, oparte na skrajnej pogardzie i utracie elementarnych hamulców przyzwoitości, zwłaszcza po tragedii w Smoleńsku. Jednak to, że po dwóch latach władzy PiS wciąż przeżywa doznane wtedy upokorzenia i bierze za nie odwet, zamiast zajmować się budowaniem stabilnej przyszłości, jest po prostu aberracją.

Ta aberracja nie jest niczym nieznanym historii. Taka jest po prostu logika rewolucji: ci, którzy ją przeprowadzają, wiedzą wszystko lepiej, więc nie muszą konsultować, uzgadniać, pozyskiwać poparcia. Nawet ze strony prezydenta, którego sami na poprzednim etapie wypromowali. Mają 100 proc. racji moralnych, więc mogą działać „w żadnym trybie” – po czasie historia i sami rządzi przyznają im rację. Nie nic innego, ale właśnie dokładnie takie samo przekonanie zrodziło ćwierć wieku temu michnikowszczyznę, by doprowadzić ją po latach do dzisiejszego upadku.

Można w wypowiedziach i działaniach osób reprezentatywnych dla PiS zauważyć postępujące z czasem rewolucyjne zapętlenie. Każde niepowodzenie interpretowane jest w kategoriach zdrady, sabotażu. Stąd odpowiedzią na nie jest pęd do dyskredytowania osób i środowisk nie dość sprawdzonych, nie dość pewnych. Jest tylko jeden problem: PiS dostał od wyborców przyzwolenie na zmiany, ale nie na rewolucję. Wybory wygrał przecież nie dzięki retoryce Macierewicza i Ziobry, ale dzięki temu, że ich słuchał, a w przypadku pierwszego wręcz obiecał wyborcom, że nie zrobi go ministrem.

Teraz natomiast z każdym miesiącem staje się zakładnikiem swoich radykałów. Wybuch hysterii po prezydenckich wetach



i po odmowie przyznania nieuzgodnionych z prezydentem nominacji generalskich (reformatorska determinacja Antoniego Macierewicza ma tę samą naturę co i Ziobry, tylko ten pierwszy z racji dłuższego „stażu” uznaje się za jeszcze bardziej zwolnionego z dbałości o procedury czy zasady), łatwość, z jaką media Tomasza Sakiewicza i braci Karnowskich, w tym przypadku wyjątkowo zgodne, zaczęły demaskować Andrzeja Dudę jako zdrajcę, obrońcę komunizmu, marionetkę Angeli Merkel i WSI, są dla tej władzy fatalnym prognostykiem.

Im bardziej rządzący winią za swe niepowodzenia ciemne siły – patologiczne elity i kasty, Sorosa i jego NGO, Niemców, „Ucho Prezesa” etc., im bardziej reakcjami na problemy są dalsza radykalizacja i otwieranie coraz to nowych frontów, tym mniejsza staje się szansa na znalezienie właściwych rozwiązań, na wypracowanie zmian systemowych i zyskanie dla nich akceptacji ogółu.

TOTALNE ODRZUCENIE

Poza niekończącym się odwetem PiS zapędził się także w totalne odrzucenie elit jako takich. O ile w diagnozie, że korporacją prawniczą rządzi wciąż stare układy i kolesiostwo, był sens, o tyle decyzja (być może instynktowna), by szukać poprawy w stawianiu pod ścianą prawników en bloc, jest samobójcza. Mityczni „zwykli Polacy”, w imię których w swoim przekonaniu działa PiS, nie stworzą dobrych sądów – muszą to zrobić prawnicy. PiS jednak nie jest zdolny ograniczyć się do stworzenia im szansy poradenia sobie z patologiami własnym wysiłkiem, ewentualnie stworzenia mechanizmów kontroli obywatelskiej,

co prowadziłyby do uzdrowienia może późniejszego, ale trwałego. Zwyciężyło przekonanie, że trzeba poddać środowisko kontroli przez „swoich” prawników. Ze „swoimi” prawnikami ma już jednak PiS negatywne doświadczenia – takimi byli przecież w pewnym momencie prok. Kaczmarek i prok. Kapusta. Myślenie ministra poszło więc w kierunku stworzenia mechanizmu pozwalającego wziąć sędziów na krótką smycz i karać ich za nieposłuszeństwo. To uruchomiło opisaną już reakcję po myśli „totalnej opozycji” – na razie dalsze zacieśnianie spirali powstrzymały prezydenckie weta.

Reakcja na sprzeciwienie się temu obłędowi przez prezydenta wydaje się wejściem na równię pochyłą. Dalsze wyszukiwanie wrogów, dalsze zaostrzanie kursu to może dobry sposób, aby swojemu żelaznemu elektoratowi wyjaśnić w przyszłości, dlaczego po raz kolejny się nie udało i dlaczego to nie wina twarogowych PiS-owców, tylko zdrajców i „rozkraczonych”. Z całą pewnością nie jest to jednak sposób na pozyskanie zaufania Polaków.

Polacy widzą przecież, że PiS nie ufa nikomu, nawet tym, których wczoraj wychwalał, i naturalną reakcją jest odwzajemnianie się tym samym. Brak wzajemnego zaufania, a szczególnie zaufania do władzy, to i tak ogromny polski problem uwarunkowany naszą historią, dlatego szczególnie tu władza powinna zabiegać o odbudowywanie zaufania do państwa, zamiast frontalnie atakować wszystkie elity i głośno zapowiadać budowę nowych; głośno, bo w taki sposób się ich nie zbuduje. A bez poparcia zawodowych elit, tylko za pomocą jednostek, które udało się zastraszyć lub przekupić, trudno na dłuższą metę czymkolwiek zarządzać.

Ulegając swoim radykałom, dążącym do pacyfikowania i obejmowania kontrolą kolejnych środowisk, PiS sam kręci bat na własne plecy. Jeśli dalej będzie lekceważył badania pokazujące, jak odwraca się od PiS – i w ogóle od potocznie pojmowanej „prawicowości” – młode pokolenie, dalej będzie brnąć w szukanie spisków, a wszystkim, którzy nie rozumieją, że PiS chce wszystko kontrolować tylko dla dobra Polski i Polaków, dalej będzie ubliżać i wyzywać od ubeckich wdów i płatnych zdrajców, to w końcu pomimo wszystkich starań PO, Nowoczesnej, lewicy i salonu zdoła wyborców do siebie zniechęcić.

Rosyjskie wojska przy naszej granicy

Przeprowadzane od 21 sierpnia, na razie na niewielką skalę, wspólne białorusko-rosyjskie ćwiczenia przygotowawcze z zakresu m.in. ewakuacji jednostek z pola bitwy oraz symulacje wojskowe to dopiero wstęp do działań zakrojonych na naprawdę dużą skalę, czyli manewrów „Zapad 2017”, które zaplanowano na połowę września. W ich trakcie na teren sąsiadującej z Polską Białorusi przemieszczonych zostanie co najmniej kilka tysięcy rosyjskich żołnierzy.

Oficjalnie Mińsk i Moskwa mówią, że w manewrach weźmie udział ok. 13 tys. żołnierzy, w tym ok. 3 tys. Rosjan. Nieoficjalne źródła mówią jednak, że w manewry zaangażowanych zostanie blisko 100 tys. wojaków – w tym niedawno sformowana od nowa, dozbrojona i zmodernizowana 1. Gwardyjska Armia Pancerna, której główne siły stacjonują w Kaliningradzie i są przygotowywane do użycia na wypadek ewentualnego konfliktu np. z Polską. W wojskowych ćwiczeniach wezmą też udział załogi formacji powietrzno-desantowych stacjonujących w okolicach Pskowa – ich możliwości techniczne i logistyczne w praktyce stwarzają perspektywę desantu na większość stolic republik bałtyckich.

Co będą ćwiczyć Rosjanie? Według nieoficjalnych informacji obok „uderzenia na Gotlandię” również szybkie przerzuty wojska pozostające w pełnej gotowości bojowej na duże odległości, wspólną z Białorusią obronę powietrzną, zmasowane uderzenie lotniczo-rakietowe, współdziałanie wojsk lądowych i powietrzno-desantowych, elementy wojny informacyjnej i wojny w cyberprzestrzeni.



Wojciech Wybranowski

Zaczęły się wspólne ćwiczenia wojsk Rosji i Białorusi przed zaplanowanymi na połowę września wielkimi manewrami „Zapad 2017”. Eksperci nie wykluczają, że mogą być one pretekstem do pozostania części wojsk Rosji na Białorusi



FOT. MAXIMA BLINOV/SPUTNIK EAST NEWS

Wojskowi eksperci i analitycy nie wykluczają, że Rosja zarówno manewry, jak i fakt przemieszczania swoich wojsk wzdłuż granicy Polski, Ukrainy i krajów bałtyckich wykorzysta do przeprowadzenia kontrolowanych prowokacji.

– Możliwość prowokacji podczas rosyjsko-białoruskich ćwiczeń „Zapad 2017” i brak przejrzystości w przygotowaniach do tych manewrów wzbudzają niepokój na Litwie – mówił niedawno dyrektor litewskiego Centrum Studiów Europy Wschodniej Linas Kojala w rozmowie z TVP Info.

Część analityków zwraca również uwagę na możliwość wykorzystania ruchów rosyjskich wojsk do wsparcia prorosyjskich rebeliantów walczących obecnie na terytorium Ukrainy, wreszcie wywarcia presji na prezydenta Białorusi Łukaszenkę i pozostawienie na terenie tego kraju, w pobli-

żu granicy z Polską, licznych jednostek wojska, które miałyby nie tylko zabezpieczać rosyjskie wpływy, lecz także być przygotowane do natychmiastowego użycia w przypadku konfliktu z Polską i krajami NATO, na co zwracał uwagę m.in. dowódca US Army Europe gen. Ben Hodges.

Na ewentualne rosyjskie prowokacje szczególnie mocno przygotowuje się Szwecja – co nie może dziwić, bo jednym z elementów rosyjskich manewrów będzie symulowany atak na Gotlandię (podczas wcześniejszych manewrów „Zapad”, m.in. w 2009 r., Rosjanie szkolili się w zakresie nuklearnego ataku na Warszawę). Dlatego też władze szwedzkie również na wrzesień zaplanowały największe w tym kraju od 20 lat manewry wojskowe, będące doskonałą okazją do mobilizacji znacznych sił. Szwedzkie

manewry o kryptonimie Aurora, w których wezmą również udział żołnierze USA, Francji, Norwegii, Danii i Estonii, a mające być odpowiedzią na rosyjski „Zapad”, będą koncentrowały się w rejonie: Mälardalen, Sztokholmu i Gotlandii. Z kolei polskie władze przeprowadzą jesienią – o czym jako pierwsze informowało w ubiegłym tygodniu „Do Rzeczy” – ćwiczenia systemu kierowania obronnością państwa, sprawdzające sposób funkcjonowania władz i administracji państwa w warunkach kryzysu militarnego.

Czy to wyłącznie teorie spiskowe i element rosyjskiej wojny informacyjnej, której celem ma być – jak twierdzi w obszernym wywiadzie dla „Do Rzeczy” generał broni Waldemar Skrzypczak, były dowódca Wojsk Lądowych – zastraszenie Polski oraz NATO? Na pewno tak, jeśli chodzi o wojnę informacyjną i element propagandowy, ale zdaniem wielu ekspertów elementów prowokacji nie można też wykluczyć. Tylko w pierwszych tygodniach sierpnia myśliwce NATO pełniące dyżury w ramach Baltic Air Policing były już ponad ośmiokrotnie podrywane w powietrze z powodu naruszenia przez rosyjskie samoloty, w tym bojowe myśliwce typu: Su-27, Su-33 i MiG-31, międzynarodowej przestrzeni powietrznej nad Bałtykiem.

Według informacji, jakie napływają od rosyjskich i białoruskich opozycjonistów, równoległe z prowadzonymi wspólnie z Białorusią manewrami „Zapad 2017”, będącymi pod baczną obserwacją wywiadów NATO, Rosja planuje przeprowadzić pod takim samym kryptonimem ci- che manewry wojsk na terenie swojego kraju.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Panie generale, w połowie września na terenie Białorusi wojska rosyjskie przeprowadzą zakrojone na szeroką skalę manewry wojskowe „Zapad 2017”, w których – według różnych źródeł, bo informacje napływające z Rosji nie są zbyt jasne – weźmie udział od kilkunastu tysięcy nawet do stu tysięcy żołnierzy. Czy istnieje, pana zdaniem, ryzyko prowokacji wymierzonej w Polskę?

GEN. WALDEMAR SKRZYPCZAK: Trzeba pamiętać o dwóch rzeczach. Po pierwsze, ćwiczenia w pobliżu naszej granicy są rosyjską odpowiedzią na rozmieszczanie sił NATO na wschodniej flance Unii Europejskiej, w tym w Polsce. Przypomnę, że Rosjanie deklarowali już w kwietniu, że stanowczo odpowiedzą na takie działania NATO. I tu nie powinno być żadnego zaskoczenia, bo rosyjskie działania nie są niczym nowym. W ostatnich latach, od 2013 r., za naszą wschodnią granicą utworzyli nową 1. Armię Pancerną Gwardii. Zreformowali – poprzez wzmocnienie – 20. Armię. Obie stacjonują przy granicach z Ukrainą i Białorusią. Oficjalnie Rosjanie twierdzą, że są one tam po to, by odeprzeć agresję NATO. Podkreślam, że to tylko oficjalne stanowisko, bo przecież oczywistością jest, że NATO nie wejdzie w konflikt militarny z Rosją, jeżeli Federacja Rosyjska wcześniej nie dokona agresji na któreś z państw członkowskich. To rzecz, o której Rosjanie doskonale wiedzą. I wreszcie druga związana z tym sprawa: Moskwy i Władimira Putina nie stać teraz, w mojej ocenie, na wojnę z NATO, bo każdy taki konflikt militarny pogrążyłby Rosję w poważnym chaosie. Po takim starciu państwo rosyjskie nie odrodziłoby się już według modelu Putina. I to też na Kremlu doskonale wiedzą. Reasumując, jeśli ktokolwiek może obawiać się ćwiczeń „Zapad 2017” – tego, że mogą przeobrazić się w otwarty konflikt lub zbrojną prowokację – to jedynie Ukraina i Białoruś. Dlaczego? Ukraina, bo istnieje ryzyko, że Rosja wykorzysta okazję, by wspólnie z separatystami rozbić rosnący potencjał bojowy ukraińskiej armii. Z kolei Białoruś, bo Łukaszenko – jak się uważa w Moskwie – za bardzo ulega „czarowi” Unii Europejskiej, co z kolei niepokoi Kreml.

Mówi pan, generale, że Rosja wojny z NATO nie chce, natomiast część amerykańskich i NATO-wskich dowódców, m.in. gen. Richard Shirreff, uważa, że państwo Putina szuka pretekstu, by doprowadzić do konfrontacji, która „przetestuje” zdolność reagowania państw NATO i rzeczywisty potencjał paktu.



Z generałem broni w stanie spoczynku Waldemarem Skrzypczakiem, byłym dowódcą Wojsk Lądowych rozmawia Wojciech Wybranowski

Rosja próbuje nas zastraszyć



FOT. JERZY DUDK/ORBIM

Od dawna twierdzą, że Rosja nie chce wojny z NATO, i to z bardzo prozaicznych przyczyn. Taki konflikt byłby długotrwały i wyniszczający, szczególnie dla państwa rosyjskiego. Rosja nie byłaby już w stanie podnieść się po takiej wojnie, a przecież wiele państw wokół Federacji Rosyjskiej czeka i liczy na chwilę jej słabości, by uwolnić się spod jej wpływów. W dodatku Rosja ma wiele własnych kłopotów w Azji, z których Putin doskonale zdaje sobie sprawę, podobnie jak z tego, o czym wspominałem – że nie musi obawiać się agresji ze strony NATO. Większy niepokój Putina budzą amerykańskie sankcje i deklaracje nowych władz Stanów Zjednoczonych, że zastąpią rosyjski gaz w Europie amerykańskim. To jednak obszar wojny ekonomicznej, która już trwa i będzie trwać. A co do pańskiego pytania o konfrontacyjne porównanie wartości militarnych Rosji i NATO – żeby porównywać siły, nie trzeba żadnej konfrontacji. Wystarczy oszacować potencjały. Owszem, w rosyjskich mediach propagandowych pojawiają się deklaracje realnego sprawdzenia potencjałów, ale należy traktować je jako kolejny element wojny informacyjnej i propagandy rosyjskiej. I to bardziej realizowanej na potrzeby społeczeństwa rosyjskiego aniżeli dla rzeczywistych porównań. Rosjanie i Putin budują mit Wielkiej Armii Rosji.

A jednak Stany Zjednoczone planują przerzucić do Estonii spadochroniarzy na czas wrześniowych manewrów Białorusi i Rosji „Zapad 2017”. NATO zwiększa też liczbę swoich samolotów w misji nad krajami bałtyckimi, a na Bałtyku planuje serię ćwiczeń.

Działania czy ćwiczenia NATO są prowadzone z dużą częstotliwością i pokazują wolę oraz determinację NATO do obrony każdego partnera z sojuszu. Naturalnie każde ćwiczenie w pobliżu granic przeciwników nosi w sobie pierwiastki zaognienia sytuacji. Sądzę jednak, że żadnej ze stron nie zależy na szukaniu okazji do konfrontacji. Zbyt wiele dzieje się w Azji, aby teraz wiązać się w wojnę w Europie.

Wróćmy zatem do Polski i naszych problemów z Rosją oraz jej manewrami opodal naszej granicy. Jak pan ocenia, z czego wynika tak wielka skala manewrów? Co Rosja chce w ten sposób osiągnąć?

Rozmach ćwiczeń i ich skala to przede wszystkim chęć zademonstrowania zdolności „nowej” armii rosyjskiej. Przez ostatnie kilka lat Putin zadbał o swoje wojsko. Stworzył nowy znaczący potencjał bojowy. Zreorganizował struktury na poziomie brygad i dywizji, tworząc z nich swoiste

narzędzie terroru polityczno-militarnego wobec sąsiadów. W takiej sytuacji bez wątplenia „Zapad 2017” będzie dla Rosji okazją do pokazania zdolności i gotowości Rosjan do wojny. To pokaz siły, który ma nie odstraszyć, ale zastraszyć nas i innych sąsiadów Rosji. Takie działanie w połączeniu z siłą propagandy rosyjskiej jest narzędziem niezwykle skutecznym. Forma manewrów jest typowa dla Rosjan. Ogólnie: manewr wojskami do wyznaczonych rejonów, gdzie osiągną zdolność do walki. I ćwiczenie według scenariusza, który znamy od lat. Najpierw Rosjanie się bronią przed „wredną i niesprawiedliwą” agresją NATO, po czym kontratakują i zamierzają dojść np. do Odry. To jeden z typowych scenariuszy. A tak na marginesie – ćwiczenia zawsze przygotowują wojska do wojny.

Panie generale, czy pod pozorem tych ćwiczeń Rosja przeprowadza lub może przeprowadzić mobilizację swoich sił zbrojnych? Jakiej Rosja stosuje tu metody?

Rosjanie to wytrawni żołnierze. Nie można ich lekceważyć. Problematyka mobilizacji w armii rosyjskiej ma wysoką rangę, a dokumenty rosyjskie w tym zakresie są bardzo precyzyjne. Rosjanie mogą mobilizację przeprowadzić na kilka sposobów. W odniesieniu do ww. ćwiczeń „Zapad” mogą to zrobić pod pozorem powołania rezerwistów na ćwiczenia do wybranych jednostek dla ich pełnego ukończenia, i to głównie do pierwszego rzutu operacyjnego, którym będą zdolni pobić wojska NATO zaskakującym uderzeniem. Mogą część jednostek zmobilizować skrycie poprzez indywidualne powołanie rezerwistów do wyznaczonych rejonów, gdzie mogą oczekiwać na swoje jednostki. Mogą też prowadzić pozorne powołania rezerwistów w innych rejonach dla zmylenia nas co do zamiaru swojego działania. Mogą chcieć pokazać, dla odwrócenia naszej uwagi, że mobilizują wojska np. w Naddniestrzu.

Zalóżmy jednak hipotetycznie, że „Zapad” będzie rosyjską prowokacją, której celem może być Polska...

W odpowiedzi na „Zapad” powinniśmy nie dać się sprowokować. Nie ulec sile propagandy rosyjskiej. Zachować zimną krew. Obserwować, szczególnie poprzez agenturalny wywiad i satelitę, czy Rosjanie gromadzą poza wojskiem duże zapasy środków walki, tzn. paliwo, amunicję itp. Tego na wojnę potrzeba dużo więcej niż na ćwiczenia. I tego ukryć się nie uda. Panie redaktorze, proszę pamiętać o jeszcze

jednej ważnej sprawie. Ćwiczenia „Zapad” zawsze były elementem wojny informacyjnej, niestety, skwapliwie wykorzystywane przez nasze media i naszych polityków do straszenia Polaków. Rosjanie doskonale to wiedzą i to jest jeden z celów ich wojny informacyjnej z NATO.

Jesienią w Polsce mają odbyć się ćwiczenia Systemu Kierowania Obronnością Państwa. Może powinniśmy je przyspieszyć i również zorganizować je we wrześniu?

Uważam, że nasze ćwiczenia powinny odbyć się zgodnie z planem. Z trzech powodów. Po pierwsze, są one narodowe, nie sojusznicze. Po drugie, bez udziału znaczących sił naszych wojsk. Po trzecie, warto zobaczyć, co Rosjanie będą ćwiczyć, aby to w konsekwencji również wziąć pod uwagę i uwzględnić w naszych scenariuszach do ćwiczenia.

Rosjanom nie podoba się planowany przekop Mierzei Wiślanej. Czy pana zdaniem należy się wówczas liczyć z możliwością ewentualnych prowokacji, uaktywnienia „zielonych ludzików”, jakichś aktów sabotażu?

Przekop Mierzei Wiślanej jest sprawą Polski. My nie ingerujemy w to, co Rosja robi u siebie. Zalew Wiślany się degeneruje, słyca. Żegluga na zalewie jest poprzez Rosjan ograniczana. Wierzę, że przekop udrożni szlaki wodne do Elbląga i mniejszych portów chociażby turystycznie. Zgodnie z prawem międzynarodowym Rosjanie nie mogą nic zrobić, aby te inwestycje zatrzymać. A jakiegokolwiek działania terrorystyczne Rosji byłyby bezowocne. My się „zielonych ludzików” nie boimy.

Wspomniał pan w związku z ćwiczeniami „Zapad” o ewentualnym zagrożeniu dla Ukrainy i Białorusi. Niektóre środowiska w Mińsku przebąkują, że „Zapad” może być pretekstem do odsunięcia od władzy Łukaszenki i jeszcze większego podporządkowania Białorusi Moskwie.

Wykluczam możliwość przeprowadzenia zamachu stanu na Białorusi, natomiast widzę możliwość próby pokojowego odsunięcia Łukaszenki od władzy. Przecież armia białoruska i jej dowódcy są, moim zdaniem, nadal częścią armii rosyjskiej i gdyby Kreml uznał, że Łukaszenko przeszkadza, to żeby go odsunąć, nie potrzeba im wcale ćwiczeń „Zapad 2017”. Natomiast nie wykluczam, że Rosjanie mogą ograniczone siły pozostawić w rejonie białoruskich poligonów. Jeśli jednak tak zrobią, to tylko w celach demonstracji siły i na użytek propagandowy.

Liderzy opozycji totalnej sprawiają ogromny kłopot nie tylko swoim ugrupowaniom, lecz także publicystom piszącym o polityce.

Z próżnego bowiem i Salomon nie należy. A w partiach Schetyny i Petru próżnia aż dudni. Nie ma w zasadzie, o czym pisać.

Zaczynają to dostrzegać także wyborcy Platformy i Nowoczesnej, czego wyrazem był niedawny sondaż na temat liderów tychże partii. Rezultaty nie były korzystne dla przywódców. Pytanie brzmiało: „Kto byłby najlepszym liderem?”.

Wśród wyborców Platformy Grzegorz Schetyna zajął dopiero czwarte miejsce z 13 proc. Wygrał Borys Budka z 28 proc. wskazań, za nim był Rafał Trzaskowski (25 proc.), potem Ewa Kopacz (23 proc.). Nie lepiej było z Nowoczesną. Ryszard Petru wylądował co prawda na trzecim miejscu, ale za to z wyjątkowo podłym wynikiem. Pierwsze miejsce zajęła Katarzyna Lubnauer z 38 proc., drugie Kamila Gasiuk-Pihowicz z 36 proc., Petru zyskał zaledwie 13 proc., a zatem niemal trzykrotnie mniej niż zwycięzca ankiety. To już nie porażka, to klęska.

ŁUDZIE CZEKAJĄ NA NOWE

Do tego doszła odpowiedź na pytanie, czy wyborcy chcieliby w Polsce nowej partii politycznej (jakiegokolwiek). Najwięcej twierdzących odpowiedzi było w elektoracie Nowoczesnej – aż 80 proc. – co może wskazywać na największy odsetek zawiedzionych tym ugrupowaniem wśród jego wyborców. Spośród głosujących na PO nowej partii chciałoby 63 proc. Dla porównania: „tak” odpowiedziało jedynie 30 proc. wśród wyborców PiS.

Co ważne, sondaż przeprowadzono na zlecenie serwisu OKO.Press, będącego medialnym zapleczem opozycji. Jego wyniki omówiła szczegółowo „Gazeta Wyborcza”. Wszystko to wpisuje się w wątek coraz wyraźniejszego zawodu słabością tej części opozycji (trzeba tu wyłączyć ugrupowanie Pawła Kukiza), w której elita III RP pokłada lub – może należałoby użyć czasu przeszłego – pokładała nadzieję na obalenie nowego porządku.

W styczniu tego roku w „Rzeczpospolitej” pojawił się inny frapujący sondaż. Respondentów pytano, kto zasługuje na miano przywódcy opozycji. Tutaj warto przypomnieć, że swego czasu, mocno na wyrost, sam mianował się nim Ryszard Petru. Sondaż, przeprowadzony pod koniec sejmowej okupacji zorganizowanej przez opozycję totalną, pokazywał miarę

Zniecierpliwiony elektorat



Łukasz Warzecha

Z badań przeprowadzonych wśród popierających Nowoczesną i Platformę wyłania się druzgocący dla tych partii obraz: ich wyborcy nie wierzą w liderów oraz czekają na nową partię w Polsce

porażki „ciamajdanu”. Petru i Schetyna uzyskali odpowiednio 14 i 13 proc. wskazań. Wyprzedził ich wyraźnie niebiorący udziału w sejmowych ekscesach Paweł Kukiz z 24 proc. W grupie elektoratów partii nie było lepiej: Schetynę wskazało tylko 24 proc. wyborców PO, a Petru 43 proc. wyborców Nowoczesnej.

PODWÓJNA PORAŻKA

Po dwóch latach rządów PiS widać, że największą porażką jest projekt Ryszarda Petru. I to w dwóch znaczeniach: zarówno jako partia, jak i jako sam Petru w roli lidera. W kolejnych sondażach ugrupowanie Pawła Kukiza regularnie dogania Nowoczesną lub wyprzedza ją o kilka punktów. Fatalne notowania Petru wśród wyborców jego ugrupowania pokazują, jak wielkie jest rozczarowanie liderem, którego znakiem firmowym stały się wpadki, wskazujące albo na kompletne rozkojarzenie, albo na podstawowe braki w ogólnej wiedzy. Nie licząc wypadu na Maderę (która tak naprawdę Maderą nie była, ale właśnie jako Madera utrwalała się w pamięci odbiorców).

Katarzyna Lubnauer to w dużej mierze kontrast z Petru: skupiona, raczej spokojna, niekojarzona z większymi lapusami. Fakt, że wyborcy Nowoczesnej wskazywali na nią jako na lidera niemal trzy razy częściej niż na założyciela partii, może oznaczać, że mają nadzieję na bardziej rzeczowe punktowanie rządu.

Tyle że mówimy tylko o odczuciach. Lubnauer faktycznie wizerunkowo sprawia wrażenie znacznie bardziej merytorycznej niż jej szef, ale w Nowoczesnej próżno szukać substancji i treści. Ugrupowanie, które miało zająć liberalną niszę, jest całkowicie bierne, gdy chodzi o antyliberalne posunięcia rządu. Jeżeli porównać aktywność Nowoczesnej z aktywnością gospodarczych think tanków, takich jak np. Warsaw Enterprise Institute w sprawach takich jak „apteka dla aptekarza”, plany ograniczenia handlu w niedzielę czy problemy przedsiębiorców ze zwrotem VAT – po stronie partii Petru nie dzieje się nic. Partia nigdy nie podjęła klasycznych liberalnych postulatów również w innych dziedzinach. Gdy trwa spór o reformę oświaty, Nowoczesna szermuje argumentem o zwalnianiu nauczycieli, zamiast promować ideę bonu oświatowego i kontroli rodziców nad szkołami. Nie ma u Petru ani krzty prawdziwie liberalnego myślenia – jest wyłącznie antyrządowy populizm.

Tak jak choćby w sprawie imigrantów. Po zamachu w Barcelonie Paulina Hennig-Kloska próbowała w TVP Info porównywać rajd dżihadysty po promenadzie La Rambla do przejazdu niepoczytalnego kierowcy po sopockim bulwarze Monte Cassino w lutym 2014 r. Wszystkie badania pokazują sprzeciw zdecydowanej większości Polaków wobec idei przyjmowania imigrantów – w sondażu CBOS z maja przeciwko było

aż 70 proc. Tymczasem wśród wyborców Nowoczesnej za ich przyjmowaniem opowiadała się większość – 67 proc., przy czym zdecydowanie „za” była jedna trzecia.

Całościowy pogląd Nowoczesnej na państwo jest niemożliwy do odtworzenia na podstawie wypowiedzi jej polityków. Ale – palicho! – nie jest to konieczne, żeby partia dobrze sobie radziła. Potrzebna jest jasna, skuteczna, mocna i – co ważne – pozytywna narracja, którą można przeciwstawić rządowej. Liderzy Nowoczesnej i Platformy nie są w stanie jej stworzyć – są zafiksowani na negacji, a to o wiele za mało w starciu z partią, która chwali się faktycznym spełnianiem przynajmniej części wyborczych obietnic.

Gdyby jednak za punkt odniesienia przyjąć oczekiwania, być może Grzegorz Schetyna byłby większym rozczarowaniem od Petru. Twardy zakulisowy gracz z PO okazał się liderem niemal całkowicie pozbawionym charyzmy, niezdolnym nawet do spacyfikowania swojej rozbrykanej partyjnej młodzieży. A przecież Platforma miała – mimo fatalnych ośmiu lat, rozczarowujących dla wielu własnych wyborców – lepszy punkt startowy jako opozycja niż stworzona na chybcika Nowoczesna. Miała pieniądze, struktury, doświadczonych polityków i – jak się zdawało – sprawnego Schetynę na czele. O skali jego porażki w oczach własnych wyborców świadczy fakt, że w cytowanym badaniu zdystansowała go nawet skrajnie nieudolna była premier Ewa Kopacz. Być może w oczach wyborców PO Kopacz, namaszczonego swego czasu przez samego Tuska, występuje niejako w zastępstwie tego ostatniego. Trudno bowiem mieć wątpliwości, że wyborcy PO tęsknią za Tuskową charyzmą, sprawnością, luzem i teflonowością. Być może także za wygodnym – niezależnie od tego, że obłudnym – wizerunkiem Platformy jako partii statecznego, może nawet lekko konserwatywnego centrum. Tymczasem PO Schetyny poszła w stronę nieodpowiedzialnego awanturnictwa, na co duet Tusk-Ostachowicz nigdy nie pozwalał.

NIESKUTECZNOŚĆ

Przed wszystkim jednak słabe notowania liderów partii totalnej opozycji należy czytać jako wyraz zniecierpliwienia elektoratu brakiem skuteczności. Przez niemal dwa lata rządów PiS klientela totalnej opozycji słyszała od jej przywódców,

że lada moment nowy system się zawali, że załamanie się pod wpływem wewnętrznego oporu i nacisków różnych ważnych zagranicznych organów. Zorganizowano niezliczone demonstracje. Działacze PO i Nowoczesnej objeżdżali kraj, a swoje wojaże dokumentowali w mediach społecznościowych. Skarżono się na rząd w Brukseli – i nic. „Reżim” jak trwał, tak trwa. Ba, cieszy się niesłabnącym poparciem. Napięcie pomiędzy zwykłymi obywatelami, krytycznymi wobec obecnej władzy, a liderami dwóch partii opozycyjnych najwyraźniej dało o sobie znać podczas protestów przeciwko ustawom reformującym sądownictwo, gdy na przywódców PO i Nowoczesnej nie czekano ani ich specjalnie nie fetowano.

Jest w tym wszystkim duża dawka desperacji, bo przecież, myśląc trzeźwo, trudno oczekiwać, żeby Katarzyna Lubnauer, Kamila Gasiuk-Pihowicz, Borys Budka czy Ewa Kopacz wznieśli partię totalnej opozycji na nowy poziom i wykazali się skutecznością zdecydowanie większą niż obecni przywódcy.

Jest i pozostanie dokładnie tak jak w jednym z lepszych odcinków „Ucha

prezesa” – tym, w którym do Kaczyńskiego przychodzą Schetyna, Petru i inni przywódcy partii opozycyjnych. Kończy się to karczemną kłótnią wszystkich ze wszystkimi, której prezes przysłuchuje się z lubością i ukojeniem przez uchylone drzwi, kładąc się spać. Nawet jeśli zmienią się aktorzy, nic nie wskazuje na to, żeby ten wygodny dla partii rządzącej układ miał się w najbliższym czasie zmienić. ©

FOT. RAFAŁ CIEŚMICKI / REPORTER



Co jakiś czas robi się o nim głośno za sprawą kolejnej ostrej wypowiedzi. Tym razem poszło o dziennikarza tygodnika „Newsweek”, który pisząc o nim tekst, zwrócił się z prośbą o kontakt. Poseł Dominik Tarczyński odpisał mu, że „zdzwonić to się mogą Tomasz Lis z Kingą Rusin”, po czym dodał, że z „Newsweekiem” nie rozmawia. I zakończył: „Won!”. A potem esemesem pochwalił się na Twitterze. Internet jak zwykle podzielił się na dwie grupy: zachwyconych tym, jak poseł potraktował dziennikarza tytułu znienawidzonego na prawicy, oraz na tych zniesmaczonych stylem, w jakim poseł na Sejm zwraca się do przedstawiciela mediów.

GRA NA EMOCJACH

I tak jest za każdym razem. W mediach społecznościowych ludzie posła Tarczyńskiego albo nienawidzą, albo kochają. Z punktu widzenia marketingu politycznego wzbudzanie emocji, nawet skrajnych, jest pożądane. Dzięki temu polityk buduje swoją popularność wśród potencjalnych wyborców. I na tę grupę twardego elektoratu PiS ewidentnie gra poseł Tarczyński.

On sam w rozmowie z „Do Rzeczy” nie zgadza się jednak z takim stawianiem sprawy. Mówi, że niczego nie udaje, nie kalkuluje, jest autentyczny i zawsze pisze i mówi to, co myśli. – Jestem sobą i nie mam zamiaru zmieniać się pod wpływem Tomasza Lisa czy Beaty Tadli, którym nie podobają się moje komentarze. Proszę sobie zobaczyć, jak wyglądał mój Facebook osiem lat temu, nie zmieniłem się, kiedy znalazłem się w Sejmie, niczego nie udaję, zawsze pisałem to, co myślę, i tak zostanie – mówi Tarczyński. Zapytany, czy nie ma poczucia, że pisanie „won” do kogokolwiek jest przekroczeniem granicy, odpowiada: – Za to, jak ten dziennikarz pisał o mamie Jarosława Kaczyńskiego, nie mam do niego szacunku. Dla mnie jest na równi z Urbanem. O dziwo, gdy podobnie wyrażałem się o Urbanie, jakoś nikogo to nie raziło. „Newsweek” i jego dziennikarze w niczym nie różnią się od Urbana.

Emocje budzą nie tylko wypowiedzi i wpisy posła Tarczyńskiego, lecz także zdjęcia, które często zamieszcza na Facebooku i Twitterze. Zwłaszcza te, w których pokazuje, jak dobrze i luksusowo mu się żyje. I tak mogliśmy zobaczyć posła w jacuzzi z widokiem na Pałac Kultury, pozującego w futrze z jeno-

Buszujący w sieci



Kamila Baranowska

Dla jednych skandalista i arogant, uosabiający pychę władzy, dla innych bohater, który w sieci „orze lewaków”. Dokąd ta strategia zaprowadzi posła Dominika Tarczyńskiego?

tów, pijącego szampana na jachcie, a ostatnio relację z wakacji, której głównym punktem były zdjęcia jego partnerki w bikini.

PRAWICA JEST BOGATA

Jak to epatowanie luksusem ma się do wizerunku PiS, który od lat kreuje się na partię zwykłych ludzi w kontrze do Platformy (a teraz i Nowoczesnej), przedstawianej jako partia beneficjentów III RP? Poseł Tarczyński nie zgadza się z takim stawianiem sprawy.

– Nie dam się wpuścić w kanał, w którym od lat wyborców PiS próbuje umieścić salon, że każdy, kto głosuje na PiS, musi być biedny, niewykształcony, że wsi, nie może nosić dobrych garniturów i jeździć na dobre wakacje – mówi „Do Rzeczy” parlamentarzysta. – To próba wmówienia prawicy, że ktoś, komu się udało, i kto dobrze sobie radzi w życiu, do niej nie pasuje. A ja twierdzę, że jest wręcz przeciwnie. Wielu wyborców PiS to ludzie sukcesu i trzeba o tym mówić, i to pokazywać. Nie wolno dać



FOT. STEFAN MASZYSKI/REPORTER

sobie narzucić wizerunku, jaki PiS ma w oczach salonowych autorytetów, nie wolno dać się zepchnąć do katakumb – podkreśla.

Zarzeką się także, że porównywanie go do zjadających się ośmiorniczkami polityków Platformy jest krzywdzące. – Różnica między nami jest taka, że ja płacę swoimi prywatnymi pieniędzmi, a nie publicznymi. Nie będę się tłumaczyć z tego, jak żyję, bo tłumaczenie się byłoby przyznaniem się do winy, a ja się nie mam do czego przyznawać – denerwuje się. – Mam udawać pod publiczność, pod wyborców, pod dziennikarzy? To by dopiero była hipokryzja!

OD EGZORCYZMÓW DO PiS

Zanim zajął się na dobre polityką, Tarczyński był zaangażowany w promowanie ruchów charyzmatycznych. Mieszkając w Londynie przez rok, był świeckim asystentem szefa egzorcystów angielskich, któremu pomagał podczas egzorcyzmów. O swoich doświadczeniach z tamtego okresu opowiadał w mediach.

W Polsce założył katolickie stowarzyszenie Charyzmaty.pl. Zajmował się produkcją filmów religijnych (m.in. wyreżyserował film „Kolumbia – świadectwo dla świata”), a także organizacją konferencji, spotkań i rekolekcji z udziałem charyzmatyków i mistyków, m.in. z ojcem Johnem Bashoborą czy ze stygmatyczką Myrną Nazzour z Syrii. Media, opisując tę część jego życia, powołują się często na pojawiające się na forach internetowych gorzkie opinie uczestników organizowanych przez niego pielgrzymek do miejsc świętych, którzy piszą, że czują się oszukani, i twierdzą, że jego działalność miała podłoże głównie biznesowe, a nie duchowe. Tarczyński odpowiada, że cała akcja została zainspirowana i zorganizowana przez konkurencję, a teraz jest co jakiś czas przypominana, by mu szkodzić. Jako argument podaje, że żaden z rzekomo oszukanych uczestników pielgrzymek nigdy nie podjął żadnych kroków prawnych przeciwko niemu.

Dzisiejszy poseł od niedawna jest formalnie związany z PiS, do partii wstąpił dopiero po wyborach w 2015 r.



Dwukrotnie, w 2010 i 2014 r., bez powodzenia kandydował z list PiS do sejmiku świętokrzyskiego. W międzyczasie romansował z innymi ugrupowaniami na prawicy – budował kieleckie struktury PJN, a później do 2014 r. działał w Solidarnej Polsce. A na czele kieleckiego oddziału TVP w 2009 r. stanął jako człowiek LPR – a konkretnie Piotra Farfała, ówczesnego prezesa TVP z nadania LPR. Wtedy też poznał Przemysława Gosiewskiego, który pomógł mu zacząć się w centrali TVP w Warszawie. – Nie da się ocenić tego, jak wiele nauczyłem się od Przemysława Gosiewskiego. Bardzo często spotykaliśmy się wieczorami na długich rozmowach o Polsce. Był moim mistrzem, wzorem polityka i człowieka pracy. Moje życie bardzo się zmieniło właśnie dzięki Przemysławowi Gosiewskiemu – opowiadał portalowi Prawy.pl.

Pracując w telewizji, myślał był już jednak w polityce. Po katastrofie smoleńskiej zbliżył się do środowiska „Gazety Polskiej” i zaangażował w działalność obozu Solidarnych 2010. Media rozpisywały się, jak przebywając na zwolnieniu lekarskim, przesiadywał w namiocie Solidarnych 2010 przed Pałacem Prezydenckim. W efekcie musiał rozstać się z TVP.

Polityczny sukces przyszedł w 2015 r., gdy niespodziewanie zdobył mandat posła. Niespodziewanie, bo kandydował z 11. miejsca na liście w okręgu kieleckim. Uzyskał czwarty wynik (zdobywając 7475 głosów). Na liście umieścił go Krzysztof Lipiec, szef świętokrzyskich struktur PiS, ale

Dominik Tarczyński miał się cieszyć także wsparciem Ryszarda Czarneckiego. Na temat jego kampanii i tego, ile kosztowała, krążą legendy. Jego plakaty i billboardy zdobyły całe województwo. – Sporo zainwestował, ale i sprawnie ją poprowadził. Do dziś widać, że ma zmysł PR-owski. Z nowego i mało znanego polityka w kilka miesięcy po wyborach stał się niemalże twarzą PiS – mówi nam jeden z polityków PiS.

W partii opinie na jego temat są podzielone prawie tak samo jak w mediach społecznościowych. Jedni uważają, że szkodzi wizerunkowi PiS, inni wręcz przeciwnie, że świetnie radzi sobie w mediach, także tych zagranicznych, bo jest pewny siebie, sprawny i wygadany. Nieźle wypadł też podczas debat w Radzie Europy, co budzi liczne wewnątrzpartyjne spekulacje o jego ambicjach w polityce zagranicznej – europarlamentem lub MSZ. Publicznie reprimendę od partii dostał tylko raz, gdy wyzwał Lecha Wałęsę od bydlaków („Zapraszam cię na solo, bydlaku” – zwrócił się do byłego prezydenta, gdy ten zapowiedział, że trzeba wyrwać PiS-owców z korzeniami „od sołtysa do ministra”). – To skandaliczna wypowiedź. My nie akceptujemy takiego języka, takich form reagowania nawet na ostre wypowiedzi innych polityków – ocenił wówczas szef klubu Ryszard Terlecki. Tarczyński za swoje słowa przeprosił.

– Od dwóch lat Tarczyński robi to, co robi, i mówi to, co mówi. Gdyby nie miał przyzwolenia kierownictwa klubu czy partii, jego aktywność zostałaaby szybko ukrócona. Tymczasem on jest cały czas świadomie wysyłany do programów telewizyjnych. PiS nie ma wcale tak wielu posłów, którzy rozumieją Internet i dobrze sobie radzą w mediach, partia potrzebuje młodych, energicznych bulterierów – tłumaczy jeden z polityków PiS. – No tak, z jednej strony spełnia funkcję polityka, który ostrym językiem i kategorycznymi wypowiedziami dopieszcza nasz twardy elektorat, ale z drugiej – nie wiem, czy ten sam twardy elektorat, do którego kieruje swój przekaz, jest zachwycony, widząc zdjęcia z jacuzzi czy jachtu – zastanawia się inny z naszych rozmówców. I przewiduje, że poseł Tarczyński, któremu nie sposób odmówić zdolności politycznych, albo zajdzie wysoko, albo kiedyś przedobrzy i źle się to wszystko skończy. – I dla niego, i dla partii – konkluduje.



Łukasz Zboralski

Polska szkoła nie ma narzędzi pomagających wychowywać dzieci, a coraz bardziej ich potrzebuje. Reforma PiS tego nie zauważyła

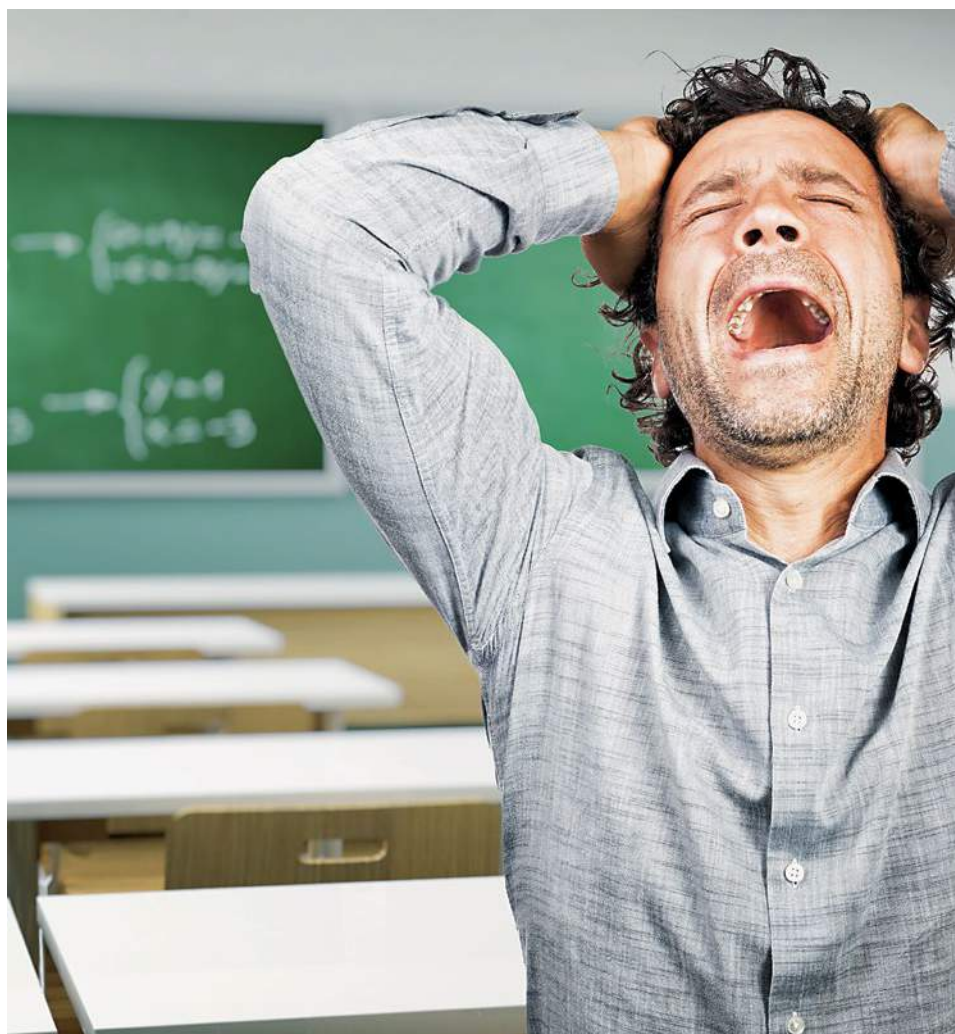
Od września uczniowie pójdą do zupełnie odmienionych szkół. Zamiast do gimnazjów zaczną chodzić do ośmioklasowych podstawówek, w których w miejsce przemieszanych wątków na różnych przedmiotach uczyć będą się oddzielnie chemii, fizyki czy biologii. Wracają też czteroletnie licea ogólnokształcące.

Aż do pierwszego dzwonka toczy się spór o ten nowy kształt szkół. Spór coraz bardziej jałowy. Bo narodowa debata o kanonie lektur taka jak obecnie rozpętuje się co kilka lat – gdy tymczasem ważniejsze jest, jak nauczyciele zachęca do czytania książek w ogóle. Efekty takiego podejścia widzimy w badaniach – 63 proc. Polaków nie czyta ani jednej książki w całym roku. Trwają też kłótnie o nauczanie historii. Kilka dni temu partia Razem straszyła, że kurs tego przedmiotu w IV klasie szkoły podstawowej zacznie się od historii Polski (pomijając to, że historię powszechną uczniowie zaczną rok później i ona ich nie ominie) oraz że uczniowie będą się uczyć o żołnierzach wyklętych.

Ani rząd, ani opozycja, ani nawet tak „broniący” nauczycieli ZNP pod wodzą Sławomira Broniarza nie powiedziały ani słowa o tym, że nauczyciele rozpaczliwie potrzebują pomocy i nie mają żadnych narzędzi do wychowywania dzieci oraz utrzymywania dyscypliny w klasie.

OBYŚ CUDZE DZIECI UCZYŁ

Sytuacja wychowawcza w szkołach co roku stawała się coraz trudniejsza. Nauczyciele nigdy nie mieli bowiem dobrych narzędzi do dyscyplinowania podopiecznych i pomagał im w tym głównie autorytet. Jednak przez dekady prestiż tego zawodu erodował. Zwłaszcza od przełomu w 1989 r., gdy sukces częściej zaczęliśmy postrzegać przez poziom zarobków i zamożność. Nauczyciele, wówczas zarabiający naprawdę marne pieniądze, postrzegani zaczęli być jako żywcem nieudacznicy, a miejsce ich pracy – jako mało atrakcyjne. To – oraz



Czy dyscyplina wróci do szkół?

fatalna jakość kształcenia przyszłych nauczycieli, zresztą utrzymująca się do dziś – spowodowało tylko pogłębienie problemu. Na kierunki nauczycielskie i potem do szkół trafiać zaczęli coraz gorsi kandydaci. Przez lata selekcja do tego zawodu była negatywna.

I oto dziś nauczyciele pozbawieni jedynej broni stają naprzeciw coraz większym wyzwaniom. Bo współcześni rodzice poświęcają na wychowanie swoich dzieci coraz mniej czasu. Z badania TNS

z 2014 r. wynikało, że mniej niż połowa rodziców rozmawia ze swoim dzieckiem codziennie (przez dekadę spadek o 14 punktów procentowych), zaledwie połowa jada razem posiłki (spadek o 30 proc.), a jedna trzecia odrabia lekcje.

Zagonieni rodzice to nie wszystko – stają się też coraz bardziej roszczeniowi. Nierzadko ich zdaniem to szkoła ma wychowywać. Sami swoich błędów dostrzegać nie chcą. I znów nie pomaga w tym utracony autorytet nauczyciela.



wówkach karykaturą znaną nam kiedyś jedynie z serialu „Miasteczko South Park”.

A do tego ostatnie dekady to epidemia dzieci z dysfunkcjami, a czasem może nawet i inflacja zaświadczeń o ADHD czy zespole Aspergera (pomińmy już nierozwiązany od lat problem z koniecznością uzyskania zgód rodzica na badanie w poradni, a nawet obowiązkowej zgody rodzica na przeniesienie do szkoły specjalnej w sytuacji, gdy radzi to orzeczenie specjalistów).

CHULIGAN WAŻNIEJSZY NIŻ KLASA

Wielu nauczycieli staje na wysokości zadania i naprawdę wkłada wiele serca w to, by dotrzeć jakoś do krnąbrnych uczniów i im pomóc. Są jednak przypadki, w których wszelkie zabiegi nie odnoszą skutku. Miękką pedagogiką staje się wówczas pułapką. To poważny problem szkół, zwłaszcza w czasach, gdy samo mówienie o stawianiu dzieciom barier stało się politycznie niepoprawne. Jedną z nielicznych osób, które zdecydowały się publicznie o tym mówić, była psychiatra dr hab. Justyna Pełka ze Szczecina, która w ubiegłym roku przyznała w mediach, że na leczenie psychiatryczne trafia właśnie pierwsza fala ludzi, których jako dzieci „wychowywano bezstresowo” (nie znają granic, nie mają wpojonych norm społecznych, są agresywni i trudno im funkcjonować w społeczeństwie).

I nie chodzi oczywiście, by wrócić do lat 70. czy 80., gdy w polskiej szkole nie dziwiło i nie było karygodnym bicie uczniów linijką po rękach czy ciągnięcie za włosy. Chociaż nie wszyscy uważają, że kary cielesne w szkołach były czymś nagannym, i np. prawie połowa Brytyjczyków chciałaby, żeby do szkół wróciły (badanie „Times Educational Supplement” z 2011 r.).

Chodzi bardziej o wsparcie pedagogów w nierozwiązywalnych dziś sytuacjach z agresywnymi i niepodporządkowującymi się uczniami w szkołach podstawowych (z ponadpodstawowych można ich relegować). Jeden uczeń skutecznie rozbijający zajęcia to bowiem kłopot nie tylko nauczyciela, lecz także wymierna strata edukacyjna dla wszystkich pozostałych dzieci w klasie.

GIERTYCH I NIKT INNY?

Dzisiaj widać, że jedynym ministrem, który w jakikolwiek sposób próbował w tym pomóc polskim szkołom, był Roman Giertych. To on jako szef MEN prze-

forsował zmiany w Karcie nauczyciela i od 2007 r. nauczyciel jako funkcjonariusz publiczny jest chroniony z urzędu. To pomaga w tych najbardziej skrajnych przypadkach, gdy pedagog doświadcza agresji cielesnej lub słownej. Wówczas wystarczy, że dyrektor lub samorząd zawiadomią o sprawie policję.

Pozostali ministrowie edukacji problemu nie zauważali albo uznawali go za zbyt niepoprawny politycznie, by próbować się z nim zmagać. Za czasów rządów PO-PSL agresję w szkołach sprowadzano jedynie do sytuacji pomiędzy uczniami. Zresztą i systemowe rozwiązanie tego problemu suflowano kuriozalne (i powtórzone po Giertychu) – ówczesna minister edukacji Joanna Kluzik-Rostkowska proponowała program „Bezpieczna+” wart 90 mln zł i zakładający dofinansowanie na instalowanie monitoringu w szkołach. To rozwiązałoby zapewne finansowe apetyty firm dostarczających kamery i oprogramowanie, ale nie problem przemocy rówieśniczej, który coraz rzadziej sprowadza się do agresji fizycznej, a coraz częściej do nękania psychicznego, głównie w Internecie.

**Jeden uczeń skutecznie
rozbijający zajęcia to
wymierna strata edukacyjna
dla wszystkich pozostałych
dzieci w klasie**

Prezes PiS w 2013 r. mówił, że nie da się dobrze uczyć młodzieży w warunkach, kiedy całkowicie brakuje dyscypliny. A przed wyborami w 2015 r. współautorka programu edukacyjnego partii – posłanka Elżbieta Witek – zapowiadała m.in. stworzenie nauczycielom instrumentów do egzekwowania dyscypliny. Twierdziła także, że „utrzymanie elementarnej porządku na lekcji jest warunkiem przekazywania wiedzy. A przyzwyczajanie do elementarnej społecznej dyscypliny, także do radzenia sobie ze stresem, to wręcz obowiązek szkoły”.

Dlaczego Prawo i Sprawiedliwość zapomniało o ważnej części swojego programu? I czy potrafimy w Polsce podjąć rzetelną dyskusję – bez partyjnych przepychanek – o tym, jak pomóc szkole w tej sprawie?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Rodzice często skłonni są bardziej zaufać swoim dzieciom niż pedagogowi relacjonującemu kłopoty, jakie sprawiają swoim zachowaniem.

Obrazu tego dopełnia pedagogika, która – mimo słusznych, korczakowskich tradycji – od dekad stawia nauczycieli w tej kwestii pod ścianą. By w myśl tej pedagogiki winą obciążany jest zawsze pedagog. Dzieci rozrabiały? To widocznie nauczyciel nie umie przeprowadzić ciekawej lekcji, która je zajmie. Wstawia uwagę? Widocznie nie umiał dotrzeć do ucznia. Wzywa rodziców? Nie potrafi znaleźć odpowiedniego podejścia do dziecka.

Nawet gdy nauczyciel kładzie na szali podważenie swoich predyspozycji i decyduje się z problemem pójść do dyrektora, to i tam nie znajduje rozwiązania. Pozycja dyrektora szkoły wybranego w konkursie zależy od rady rodziców. Trudno wymagać, by narażał posadę, stając w obronie swojego pracownika.

Sytuacji nie ratują pedagodzy szkolni. Wyprawy do nich stają się już w podsta-

AGNIESZKA NIEWIŃSKA: Producent Tigera przeprosił za baner z okazji 1 sierpnia ze środkowym palcem w obraźliwym geście, wpłacił 500 tys. zł na konto Światowego Związku Żołnierzy AK, zwolnił agencję reklamową. Sprawa wydaje się zamknięta, ale nie dla pana. Dlaczego?

SZYMON SIKORSKI: Dlatego że to, co się wydarzyło przy Tigerze, to nie jest odosobniony przypadek. To obraz tego, jak rozwija się polski rynek komunikacji marketingowej. Takie historie będą się powtarzać, ponieważ na tym rynku forma przeważa nad treścią. Brakuje odpowiednio intelektualnie przygotowanych ludzi. I idei. Reklama, czy komunikacja marketingowa w ogóle, to nie jest zabawa – odpowiada za kształtowanie postaw nie tylko konsumentów, lecz także obywatelskich. Ten środkowy palec zaprezentowany przez Tigera obrazuje to, gdzie dzisiaj jest polska reklama, i odpowiedzialność za komunikowanie publiczne.

Reklama ma kształtować postawy? Przecież chodzi o to, żebyśmy kupili reklamowany produkt.

Tak, podstawową funkcją reklamy jest wywieranie wpływu, zbudowanie poczucia potrzeby, a także informowanie o dostępności produktu. Tym bardziej ludzie, którzy tworzą reklamy, powinni zdawać sobie sprawę z tego, że kształtują postawy. Przekazy, które budujemy, trafiają dzięki mediom do opinii publicznej. Wpływa to na zachowania odbiorcy, na to, jaki mają stosunek do bliźniego, do wartości, idei, autorytetów. Dlatego ślepe uderzanie – zapewne „dla beki” – w wartości, celem zyskania widoczności, jest sprzeczne nie tylko z etyką reklamy, lecz także z normami współżycia społecznego. Mówimy, że to, co dzieje się w Sejmie, to „wiocha”. Tymczasem w reklamie nie tylko nie jest lepiej, jest wręcz gorzej. Nie zwracamy na to uwagi, bo skupiamy się na polityce. A to naczynia połączone.

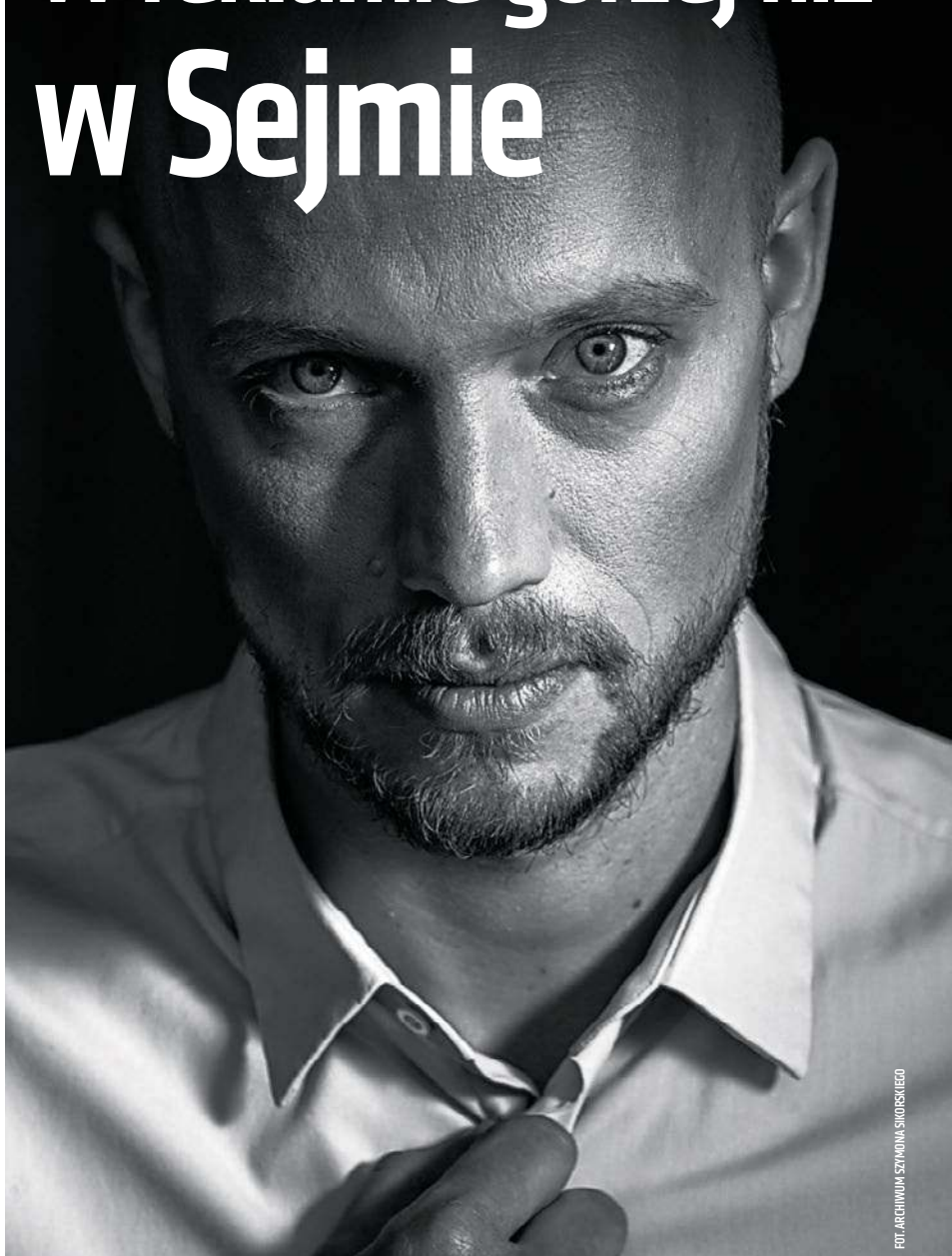
Może kampania Tigera miała mały zasięg? O banerze z 1 sierpnia dowiedzieliśmy się po dziewięciu dniach.

To nie dotarło ani do mnie, ani do pani, bo nie jesteśmy „targetem” tej marki. Media internetowe mają tę zaletę, że pozwalają w prosty sposób trafić do grupy docelowej. Grono odbiorców Tigera to w znakomitej większości nastolatki w wieku 16–20 lat, a może nawet młodszy. Profil Tigera już po skandalu związanym z reklamą śledziło 402 tys. osób. 1 sierpnia ci ludzie nie zwrócili uwagi, że Tiger przekroczył wszelkie granice. I to jest również symptomatyczny



Z Szymonem Sikorskim,
dyrektorem agencji PR Publicon
rozmawia Agnieszka Niewińska

W reklamie gorzej niż w Sejmie



FOT. ARCHIWUM SZYMONA SIKORSKIEGO

ne – że najmłodszy użytkownicy mediów społecznościowych nie czują dysonansu, niestosowności szargania symboli. Trudno się jednak temu dziwić, skoro marka komunikowała się z nimi, używając hasztagu „#rozpiardl”. Taki przekaz kierowała do

ludzi, którzy dopiero budują swój pogląd na świat. Ręce opadają.

Firmy szukają sposobów, by się wyróżnić w reklamowym gąszczu. Pan by chciał, żeby reklama była inteligentna. Może już się nie da takiej robić?

Wierzę, że się da. Zresztą nie każda reklama musi być inteligentna. Niektóre reklamy mogą po prostu sprzedawać, uczciwie komunikować o produkcie X o parametrach Y. Można konkurować ceną, podkreślać cechy produktu, walczyć na polu nośników reklamy. Jedną z metod jest budowanie kontrowersyjnego, wyróżniającego się przekazu, ale to nie zwalnia autorów z odpowiedzialności za słowo. Przesłałem pani treść przemówienia prezydenta Stanów Zjednoczonych Thomasa Wodrowa Wilsona do reklamiarzy z 1916 r.

W której podkreśla wagę patriotyzmu w biznesie reklamowym.

Mówi o idei. Przypomina pracownikom branży reklamowej, by brali odpowiedzialność za swoje słowa, bo mają duży wpływ na obywateli, na opinię publiczną. Jednocześnie podkreśla, że naczelną wartością powinna być Ameryka, to, w co wierzą Amerykanie, ich symbole. Kiedy z tymi słowami zestawiam kampanię Tigera, mam dysonans poznawczy. Wartości, które powinny stać u podstaw każdej kampanii komunikacyjnej, zaginęły.

To przemówienie Wilson wygłosił 100 lat temu, w USA. Wyobraża pan sobie Andrzeja Dudę apelującego w ten sposób do pracowników reklamy? Frans Timmermans udowodniałby, że Polska ogranicza wolność wypowiedzi w reklamie.

A czy wolność słowa zwalnia z odpowiedzialności za nie? Jeśli tak, to ja się nie godzę na taką wolność słowa. Na uderzaniu w wartości wyższego rzędu marki nie powinny budować swojej popularności. Niech wywołują dyskusję, ale nie w taki prosty sposób.

Kto dzisiaj pracuje w reklamie? Tiger to przecież nie pierwsza w ostatnim czasie wpadka. Producent wódki Extra Żytniej użył zdjęcia ofiar stanu wojennego na Facebooku w roli fotki z zakrapianej imprezy. Hel na obchody rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego zapraszał plakatem, na którym zamiast zdjęcia Kamila Baczyńskiego pojawił młody Stalin.

Można nie wiedzieć, jak wyglądał Baczyński czy jak w młodości wyglądał Stalin, choć wypadałoby to sprawdzić. Bardziej zdziwiło mnie zdjęcie dokumentujące zbrodnię lubińską w reklamie wódki. To bardzo znana fotografia. Prawda jest jednak taka, że zwłaszcza w agencjach mediów społecznościowych pracują ludzie bardzo młodzi – 20- czy 25-latkami. Nazywam ich „pokoleniem lol-kontentu”. Na rynku panuje

przekonanie, że skoro wychowywali się z telefonem i Internetem, to lepiej poprowadzą kampanie w mediach społecznościowych. Wiedzą, jak przygotować strategię, potrafią zaplanować blog, śledzą Instagram, ale brakuje im wiedzy ogólnej, podstawowego przygotowania intelektualnego. Prowadzę zajęcia na uczelniach wyższych i widzę, że wiedza ogólna młodych ludzi jest na bardzo niskim poziomie, a mimo to pozwala się im kształtować opinię publiczną.

Może klient nie jest wymagający, więc agencje nie szukają ludzi z wysokimi kompetencjami.

Rynek pokochał statystyki i badania. Klienci uważają, że im więcej jest kliknięć, im więcej odsłon i lajków, tym lepsza jest kampania. A wskaźniki w reklamie nakerca się tak jak w tabloidach. Im bardziej krwisty tytuł, tym większa liczba kliknięć. Agencje chcą zarabiać pieniądze, więc idą w to jak w dym. W dodatku organizacje branżowe rynku reklamy są słabe i rzadko zabierają głos na temat jakości kampanii. Inna kwestia to to, że klient ma bardzo wysokie wymagania, ale chce zapłacić jak najmniej. Ostatnio międzynarodowa firma budowlana szukała kogoś, kto prowadziłby jej działania komunikacyjne. Chciała za to zapłacić 5 tys. zł. Za taką kwotę mogę zatrudnić kogoś za 2,5 tys. zł na rękę, bo dla mnie to jest koszt 3,8 tys. brutto. Za takie pieniądze na rynku reklamy mogę znaleźć pracownika z nikłym doświadczeniem. Agencje oczywiście schylają się po takie zlecenia, realizują je rękami osób bez przygotowania. Tę taniość widać później w reklamie.

Agencje powinny stworzyć – choć pewnie dziwnie to brzmi – etos branży reklamowej.

Zgadzam się, powinny promować markę Polska, rodzime produkty, szanować symbole, budować etos pracy w reklamie. Nikt o tym jednak nie mówi, bo – jak sama pani zauważyła – śmiesznie to brzmi. Rynek goni za pieniądzem. Klienci nie zwracają uwagi na to, czy reklama jest etyczna. Media robią to tylko w skrajnych przypadkach. Dlaczego właściciel agencji, czyli biznesmen, miałby zwracać uwagę, czy to, co stworzył, jest etyczne, skoro nikt od niego tego nie wymaga?

To tylko polska specyfika?

Takie afery jak ta z Tigerem za granicą są rzadkością. Oczywiście, w kreatywny sposób łamie się w reklamach jakieś stereotypy, obśmiewa narodowe przyzwyczajenia, ale nie stosuje się takich metod, do jakich

ucieka się Tiger. Nie pokazuje się środkowego palca powstańcom.

Powinno się w ogóle używać symboli narodowych w reklamie?

Jeśli się to robi, to nie można przekraczać granic dobrego smaku, obrażać innych. Do symboli trzeba podchodzić z największym szacunkiem. Posłużę się przykładem Australii. Tam marki są dumne z tego, że ich produkt jest produktem australijskim, chwalą się tym. Nacjonalizm dobrze rozumiany jest obecny w każdej kampanii australijskiego produktu. Australijczycy są dumni z tego, co mają, co osiągnęli. Odwołania do historii są trochę patetyczne, ale nikt ich nie kwestionuje, nikt nie nabija się z symboli. Podobnie jest w Stanach Zjednoczonych. Jedną z moich ulubionych kampanii jest kampania General Motors „Made in Detroit” z Clintem Eastwoodem. Powstała kilka lat temu, po wielkim kryzysie, kiedy Detroit – amerykańskie centrum produkcji aut – stało nad przepaścią. Mówiła o tym, że Amerykanie muszą się podnieść, wspierając to, na czym ugruntował się amerykański etos – motoryzację. Zachęcała do wspierania własnego przemysłu, kupowania amerykańskich samochodów. W tej reklamie były: idea, inteligentny przekaz, świetnie napisany tekst. Takich reklam trochę na świecie jest. W Polsce wciąż przypominamy kampanie sprzed 20 lat – Polleny 2000, Frugo czy Plusa z kabaretem Mumio. Nie ma nowych dobrych konceptów. A jeśli się pojawiają – np. reklama Allegro z dziadkiem – są kopią rozwiązań z Zachodu.

Historia z Tigerem coś zmieni czy niedługo o niej zapomnimy?

Jest szansa, że coś się ruszy, choć nie wierzę w to, iż branża uderzy się w pierś, zacznie dbać o etykę i poziom intelektualny debaty publicznej. Przykład Maspexu będzie jednak bardzo dobrą lekcją. Już wiadomo, że napój nie będzie sprzedawany na stacjach Lotos, a to duży cios. Myślę, że klienci powoli przestaną traktować marketing jak kwiatek do kożucha, jak zabawę dla dzieciaków, które się znają na internecie, a zaczną zarządzać tym strategicznie i z rozwagą.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Szymon Sikorski – specjalista ds. komunikacji, a także nowych mediów i innowacji komunikacyjnych. Prowadzi zajęcia dla studentów w kilku szkołach wyższych, kierowana przez niego agencja PR Publicon pracowała dla takich marek jak ABSL, Budimex, Marvipol Development, Dekoral, Kampania Piwowska.

Cienka zupka Gretkowskiej



Andrzej Horubała

Manuela Gretkowska, dyżurna skandalistka polskiej literatury, ongiś wielka nadzieja „brulionu”, promuje nową powieść

Trudno odróżnić jej zaangażowanie społeczne od działań reklamujących rzucone właśnie do księgarń dzieło. Gretkowska udziela wywiadów, pisze artykuły, rzuca bluzgami na rządzących na Fejsbuku, publikuje hejciarskie teksty na temat PiS i Kaczyńskiego. Na wzmożenie, jakie stało się udziałem wielu osób, odnajdujących w „obronie demokracji” drugą młodość, oszałamiających się ulicznymi manifestacjami, wylewających swe żale i kreślących projekty naprawy Polski w Internecie, nakłada się niewątpliwie kalkulacja merkantylna. Wymyślnym wyzwiskom na Kaczora towarzyszy wskazanie na produkt: książkę „Na linii świata”, jaką wydała właśnie w wydawnictwie Znak.

INTERNETOWE BŁYSKOTKI

Trzeba powiedzieć, że w swoich wpisach na Fejsbuku, które później jak echo funkcjonują w innych wypowiedziach, Gretkowska bywa czasem dość zabawna. Gdy gdzieś w ferworze internetowej dyskusji rzuci, wściekła na nasz patriariat, że polskie samoloty powinny mieć pod dziobami doczepione wąsy, to robi się tak jak dawniej i z zacietrzewionej, pełnej ideologicznych zlepków papki wyłania się przeblysłk dawniej Manuli – błyskotliwej paniutki z ostrym języczkiem, której riposty obezwładniają humorem i są naprawdę wyborne.

Albo nawet gdy pisząc naiwniutkie dość peany na cześć Emmanuela Macro-

na i jego kuriozalnej sytuacji małżeńskiej wystrzeli z racą, że kobiety po klimakterium są społecznie pogardzane przez prawicowy świat, bo są „niejebalne”, to odnaleźć w tym okrzyku można załączek prawdziwej literatury.

Posłuchajmy jej fejsbukowego „Słowa na niedzielę” (później rozwiniętego w artykuł dla „Newsweeka”), gdy za Dorotą Wellman domaga się dla dojrzałych kobiet szacunku, nie pożądania, i powiada: „[...] o to chodzi w pogardzie dla dojrzałych kobiet. Jesteśmy niejebalne. Dla polskiej prawicy i jeszcze dalej patriarchalnie na Wschód w Rosji – ożenek Macrona wydaje się zboczaniem. »To gej« – podsuwa rozwiązanie problemu rosyjska prasa. Jasne, seks ze starszą od siebie kobietą po menopauzie nie rokuje potomstwa. Dzieci są sensem związku małżeńskiego według Kościoła i Cerkwi. Więc w tym aspekcie zoofilia, homoseksualizm, menopauza prawie się nie różnią”.

Usłyszymy w tym bunt przeciw urzędzeniu tego świata, naiwny projekt unieważnienia praw natury, ale i wyraz rozpacz starzejącej się kobiety. Mniejsza, że apoteoza Brigitte Macron, 64-letniej pierwszej damy ubierającej się w obciste mini i powierzającej swą twarz chirurgom plastycznym, jest kompletnie oderwana od realnej osoby i pomija kulturowe kody, jakie uruchamia biografia i wygląd tej dawnej nauczycielki, która uwiodła 15-latkę, mniejsza, że pisarka, jak na dawną studentkę antropologii, kreśli zbyt naiwny portret żony prezydenta Francji i jej relacji z dyktatem piękna i młodości, ważne, że w tych filipikach, w tym kapitalnym „niejebalne” Gretkowska przypomina o swej dawnej świetnej formie, gdy przekroczenia dążyły szczylinę w monolitycznym myśleniu.

Oczywiście, gdy w czerwcu tego roku rozgrzana po demonstracji w kolejną smoleńską miesięcznicę (swoją dro-



FOT. FLIP (WIKI/PAPO IMAGES/FORUM)

gą obrzydliwe określenie) zapisze, że Kaczyński to „kryptogę w depresji, któremu wydaje się, że jest Piłsudskim”, no to już zupełnie nie wiadomo, gdzie jesteście. Osoba, która twierdzi, że pod rządami PiS Polska przeżywa najgorszy czas od 1939 r., nie dziwi, kiedy pisze: „gdy kamery sejmowe pokazują Kaczyńskiego z bliska, fascynuje mnie, co dzieje się z jego twarzą. Falliczny kształt języka wypycha mu prawy policzek. Polityczny samogwałt?”.

Zapiekłość Gretkowskiej uniemożliwia jej dostrzeżenie faktu, że prawicowe zaangażowanie jej dawnych przyjaciół z „brulionu” jest kontynuacją ich dawnej walki z dyktatem salonu.

POMPOWANIE (SIĘ) PISARKI

I oto Manuela, zaangażowana publicystka, honorowa przewodnicząca Partii Kobiet, wydaje książkę. Powieść, która – jak informuje nas autorka na skrzydełku książki – powstała z długiej refleksji na temat końca naszego świata. Wydawca na czwartej stronie okładki zestawia wizję Gretkowskiej z Houellebecqiem oraz serialami „Black Mirror” i „Westworld”, a żeby już czytelnik nie miał wątpliwości co do wielkości dzieła, jakie trzyma w ręku, na innym ze skrzydełek umieszcza informację, że Gretkowską zachwycił się sam Czesław Miłosz. Ba, nie koniec na tym! Oto w książkę wetknięto folder reklamowy, w którym Gretkowska opowiedziała nam o swej fascynacji Philipem K. Dickiem, twórcą – zdaniem pisarki – w Polsce prawie nieznanym, o którego fascynującym życiu mało kto w naszym kraju słyszał, a z którym duchowe pokrewieństwo polska skandalistka wyczuwa i jego śladami w swej twórczości idzie.

No, jak się czyta tego rodzaju teksty, to przecież coś się w człowieku jeży. Fakt, że Dick, przecież klasyk i zdecydowany numer jeden gatunku, doczekał się w Polsce niezwykle starannej serii wydawniczej w oficynie Rebis, w której wznawianym powieściom towarzyszyły eseje znakomitych polskich twórców science fiction, fakt, że biografia Philipa K. Dicka, jego mistyczno-narkotyczne doświadczenia przywoływane są przez każdego chyba z komentatorów jego twórczości, zupełnie nie obchodzi pisarki, która uzurpuje sobie odkrycie nieznanego twórcy.

Dobrze, mówię sobie, to hucpa, ale wiadomo: promocja ma swoje prawa,

w końcu mamy wolny rynek, może ktoś się na to nabierze i czytelnictwo będzie kwitło.

ŻENUJĄCE OTWARCIE

No tak, tylko co począć z faktem, że z Gretkowską jako pisarką jest po prostu kiepsko. Oto pierwsze zdanie powieści: „Jedną z najpiękniejszych części świata jest penis – zaznaczyła kolejne miasto na mapie, obrysowując je różowym flamastrem w kształt chujka”. Niestety, sygnał nie myli: oto autorka „My zdieś” emigranty” znowu stroi się w kostium skandalistki. Co za żenada! Jeszcze niedawno domagała się szacunku dla dojrzałych dam, teraz niczym podstarzała kokota wyprzedaje swe wątpliwe wdzięki i epatuje opowieściami z wyblakłym pieprzykiem. Jej bohaterka – zarabiająca na wideo sekszacie studentka Natasza, jadąca później do USA, by robić za babysitter u jednego ze swych internetowych klientów – to blade jakieś rozmyte widmo, osoba, której ani nie można współczuć, ani z którą się utożsamiać. Zgwałcona nie zgwałcona przez swego dziekana i naukową opiekunkę ma już dość Polski: „Rucka i dziekan złożyli się jej w jednego gwałcącego duszę i ciało stwora. W godło Polski, do której nie chciała wracać”.

Gretkowska funduje nam cienką zapkę bez pełnokrwistych postaci, z fabułą przez połowę książki rachityczną, pstrzoną od czasu do czasu jakimś przekroczeniem albo złośliwościami na temat współczesnej Polski. Marne ma pojęcie Gretkowska na temat generacji swojej bohaterki, więc kreuje ją na swój obraz i podobieństwo. W rozmowach z rówieśnikami pobrzmiewają echa studenckich rozmów sprzed lat z górą trzydziestu, takie tam brulionowe podrażnienia: „Jak jesteś prawicowym katolem, to wierzysz w lewaka Jezusa, modlisz się do Matki Boskiej Żydówki, czytasz pisma apostołskiej bandy pedziów i słuchasz papieża, pierwszego sekretarza partii, do której należy miliard wyznawców”.

Polska widziana oczyma naszej niepełnokrwistej bohaterki? Posłuchajmy: „Domy, płoty, cały polski bajzel z kolorowymi plastrami reklam na ranach bezguścia. P olać to wódką, podpalić, pomyślała Natasza, całe to bałkańsko-słowiańskie podpite chciejstwo i chojractwo”. W domach kultury seniorzy rysują portrety Jarosława Kaczyńskiego, a zachwycony instruktor mówi: „Dawniej nie było go rzeźbić, a teraz nie ma

alternatywy. Proszę zobaczyć, ile on ma w oczach mądrości, powagi. Temat sam wpada w ręce”.

No tak, ale jakże ma być inaczej, skoro „idioci rządzą idiotami, jest coraz idiotyczniej”. Natasza przyjmuje więc zaproszenie do Stanów, by zamieszkać razem ze swoim dawnym klientem, lekko autystycznym matematycznym geniuszem, będącym na progu wynalezienia kolejnej generacji komputerów, komputerów kwantowych, które oznaczać będą koniec ludzkości, a w każdym razie przejście naszego świata na inny level.

„Twoje obliczenia są ostatnim ogniwem w budowie komputerów kwantowych. One nie potrzebują nikogo do obsługi. Zniszczą was. [...] Tom, nie pozwólcie, żeby człowieczeństwo skończyło się razem z twoim odkryciem. [...] Świat kwantowy jest od razu doskonały. [...] Jedno jest pewne – zniszczą nasz świat, bo go nie potrzebują”. Takie to, panie, tarapaty!

NIESMACZNA UZURPATORKA

Odkrycie, zagrażające naszej cywilizacji, zmobilizuje potężne siły i Gretkowska w drugiej części powieści zafunduje nam swoje naśladowanie z Dicka. Pojawia się androidy, autonomiczne komputery, przebicia z innej rzeczywistości, sobowtóry samego Dicka, wcielenia postaci z popkultury i ze świata nauki. Indiańska szamanka będzie miała wgląd w przyszłość i nagle losy świata zależeć będą od naszej skromnej bohaterki. Na niebie zaś wyświetlona będzie kończąca nasz świat telewizyjna debata, w której – nie szczędząc sobie złośliwości – wezmą udział „papież, dalajlama, imam, naczelny rabin Izraela”.

Druga część powieści jest czymś, co naprawdę zniesmacza. Zniesmacza i trochę szokuje. Jak można tak nie zrozumieć Dicka? Jak można, podejmując w kilkadziesiąt lat po nim wątki transhumanizmu, spłycać je i czynić jakimś niezdarłym scenariuszem filmu klasy B?

Twórca „Ubika”, który pokazał, jak science fiction może stawiać się nieledwie traktatem metafizycznym, jak podejmować może problem Boga, granic człowieczeństwa, dramatu epistemologii – tu sprowadzony został do poziomu patrona po amatorsku kleconej, pozbawionej ciężaru i napięcia opowieści. Bohaterowie, wobec których pozostajemy emocjonalnie obojętni, niezobowiązujące snucie akcji pełnej



Powieść Gretkowskiej wypada żenująco zestawiona z takimi arcydziełami jak choćby „Blade Runner” Ridleya Scotta FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ zamachów, trupów, naprawdę trudno o bardziej spektakularny i żenujący zarazem przykład niezrozumienia prozy Philipa K. Dicka.

Owszem, Gretkowska nadal ma słuch na różne internetowe sensacyjki, a to wrzuci nienową anegdotkę o numerologicznej wykładni internetu, że niby WWW to wedle hebrajskiej gematrii odpowiednik 666, a to, że plazma wymyślona przez IBM wypuła z siebie plazmę i krew telewizyjnego przekazu, a to doda mit o jabłku Steve’a Jobsa i śmierci Turinga od zatrutego owocu. Uraczy nas anegdotką o francuskich żołnierzach dojeżdżających na front pierwszej wojny taksówkami, poczęstuje zasłyszczanymi i stworzonymi ad hoc powiedzonkami, czasem świetnymi, że „melancholia to szczęście bycia smutnym”, a „barok to połączane flaki katolicyzmu”, wreszcie pobluźni sobie i każe sąsiadce Meksykance malować obraz z Marią Magdaleną robiącą fellatio Ukrzyżowanemu: „głowa świętej pokrywała się z biodrami Chrystusa. I dlatego nie widać, co mu robi. Zbawiciel rodziny, ręce przybite na znak, że niczym się nie zajmie, dziećmi, niczym, a ona haruje, wychowuje i jeszcze robi mu dobrze. Jej zbawca, pan i sens życia. Jesteś katoliczką, nie? Wiesz, o czym mówię?”.

Zaserwuje nam dialogi o współczesności Trumpa i Kaczyńskiego o „świecie, gdzie emocje i kłamstwa przegłosowały

prawdę”. Bożonarodzeniową choinkę przystroi w dildo i analne zatyczki. Każę nam przejrzeć się w oczach innych: „Nie ma czegoś takiego jak Polacy. To Rosjanie udający Francuzów”. Zafunduje sugestywny nawet obrazek z czarnego marszu: „Deszczowy dzień w Warszawie, więc symbolem tamtego dnia i protestu stały się parasolki. Tłumy czarnych parasolek, chitynowych pancerzy chroniących przed zemstą nieba. Boga olejającego stamtąd kobiety. Pochód bezradnie przebierający odnóżami donikąd. Rucka [...] powiedziała: »„Pamiętaj, Natasza, tutaj kobiety są winne wszystkiemu, a mężczyźni za nic nie są odpowiedzialni. I to długo się nie zmieni”«.

Ale przecież to wszystko, nizanie na amerykańską opowieść ciekawostek z Wikipedii, relacje z odwiedzin Las Vegas i Wielkiego Kanionu, fałszywe tropy, zwroty akcji, dziwne postaci, potężne eksplozje i kataklizmy niczego nie załatwiają, bo Gretkowska kompletnie nie rozumie fenomenu arcydzieł literatury s.f. Zwyczajny bohater, od którego nagle zależą losy całej ludzkości, zacieranie granic między człowiekiem a jego imitacjami, pytanie o ukryte reguły gry – to wszystko składało się na wielką literaturę, otwierającą się na problemy religijne i filozo-

ficzne. U Gretkowskiej mamy układanie banalnych fabulek przez paniusie, która sądzi, że o to w tym gatunku chodzi. Chce być zestawiana z galernikami wrażliwości, pisarzami, którzy życiem płacili za swą twórczość, mniema, że oferując cienką zupkę, bez płacenia egzystencjalnej ceny, stworzy wielkie dzieło.

„Oddychali oboje światłem – kreśli w finale podniosłą wizję niczym z Dantego. – Rozmawiali bez słów i bez słów rozumieli: od miłości zależy podtrzymanie kształtu świata”. Ale ten patos nie jest w stanie przysłonić mizerności jej powieści, która wypada przecież żenująco zestawiona z podejmującymi wątki transhumanizmu arcydziełami, takimi jak „Solaris” Lema, „Czy androidy marzą o elektrycznych owcach” Dicka czy kongenialny „Blade Runner” Ridleya Scotta.

„Na linii świata” to obciach. Gretkowska, tak bardzo przejmująca się tym, co pomyśli o nas Europa, dostarcza jej niezłej beki jako nasz krajowy ekwiwalent Dicka i Houellebecqa.

Na szczęście jest to tylko uzurpacja, bo polskie science fiction ma się bez Gretkowskiej całkiem nieźle, a i lekturę Dicka czy schedę po Lemie przetrawiło całkiem dobrze. No, ale to opowieść na zupełnie inny tekst.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



MANUELA GRETKOWSKA
„NA LINII ŚWIATA”
ZNAK 2017



Krzysztof Masłoń

19 sierpnia w wieku 79 lat zmarł Janusz Głowacki, prozaik i dramaturg, felietonista oraz autor scenariuszy filmowych. Bardzo ważna postać Warszawy

Robił tu za ironistę

FOT. FLIP BŁĄŻOWSKI/FORUM

Tuż przed stanem wojennym wyjechał do Londynu na premierę swej sztuki „Kopciuch” w Royal Court Theatre. Po 13 grudnia pozostał na Zachodzie, od 1983 r. mieszkał w Nowym Jorku. Osiągnął tam sukces jako dramaturg. Jego „Polowanie na karaluchy” (1986), nawiasem mówiąc – powstałe przy współudziale Elżbiety Czyżewskiej, wyreżyserował Artur Penn, a zagrali w nim Dianne Wiest i Ron Silver. W 1992 r. swoją premierę miała inna sztuka Głowackiego, wyrosła z doświadczeń emigracyjnych – „Antygona w Nowym Jorku”, przełożona następnie na wszystkie ważniejsze języki i grana w teatrach całego świata. Dobrze przyjęta została również czechowska „Czwarta siostra” (2001).

Nie spełniło się natomiast za wielką wodą największe zawodowe pragnienie pisarza: nie podbił Hollywood, mimo podpisywanych umów wstępnych nie zrealizowano w Ameryce żadnego z jego scenariuszy.

W Polsce uchodził za to w tej dziedzinie za mistrza, nieco chimerycznego wprawdzie, ale mistrza. Przede wszystkim zasłynął jako scenarzysta kultowego polskiego filmu wszech czasów – „Rejsu” (1970), wyreżyserowanego przez kolegę „Głowy”, Marka Piwowskiego. Był też Głowacki autorem literackiego tworzywa do świetnego filmu Janusza Morgensterna „Trzeba zabić tę miłość” (1972) i jakby mniej świetnych obrazów Andrzeja Wajdy: „Polowanie na muchy” (1969) i „Wałęsa. Człowiek z nadziei” (2013). Napisał również scenariusze „Choinki strachu” Tomasza Lengrena (1982) i „Billboardu” Łukasza Zadrzyńskiego (1998) z Pawłem Kukizem w jednej z ról.

NIGDY NIE MA SAMEGO PATOSU

W sierpniu 1980 r. Janusz Głowacki wraz ze swoim szkolnym, studenckim i STS-owskim (tak, tak, pisarz udzielał się w tym teatrze jako aktor) kolegą Tomaszem Łubieńskim pojechali do strajkującej Stoczni Gdańskiej. Napisał potem powieść „Moc truchleje” (1981), która oczywiście nie mogła ukazać się legalnie, natomiast jej wydanie podziemne przyjęto wręcz z oburzeniem, a to z tego powodu, że – najdelikatniej mówiąc – klasa robotnicza przedstawiona została w tej książce bez zachowania jakiegokolwiek poprawności politycznej, a robotniczym przywódcom daleko było do późniejszych „ludzi z nadziei”. Wywiad, jaki po

latach przeprowadziłem z pisarzem na temat właśnie powieści „Moc truchleje”, miał m.in. taki fragment:

„– Choć wszyscy pewnie widzieli to samo, to jednak nie zauważyłem, by poza panem ktoś zwrócił wtedy uwagę na znamieny fakt. Otóż w trakcie strajku Lech Wałęsa nagle rozchorował się, miał 40 stopni gorączki, był niemal półprzytomny, ale pamiętał o jednym – by, nie daj Boże, nie wyznaczono mu następcy.

– No tak... Wydawało mi się też interesujące, że jakieś ważne posiedzenie Komitetu Strajkowego zostało przesunięte o godzinę, bo w telewizji nadawany był kolejny odcinek popularnego serialu »Pogoda dla bogaczy«. Sytuacje dramatyczne zawsze sąsiadują z komicznymi – przynajmniej tak to widzę. Nigdy nie ma samego patosu.

tak samo po 11 września 2001 r. w Nowym Jorku, gdy Amerykanie ze świecami i zdjęciami swoich zmarłych w rękach śpiewali swój hymn narodowy. Widać, jestem wrażliwy na śpiew”.

DLACZEGO PAN PISZE?

Wywiad ten miał uzupełniać wznowienie powieści włączonej do serii „Kanon literatury podziemnej”. Był rok 2009, głośno już było o tym, że Głowacki będzie pisał dla Wajdy scenariusz filmu o Wałęsie, stwierdziłem więc, że byłoby interesujące dla czytelników „Rzeczpospolitej”, w której wtedy pracowałem, by dowiedzieli się o istnieniu książki Głowackiego od hagiografii Wałęsy dość odległej. Pisarz się wściekł, bo akurat zmieniał optykę postrzegania byłego przywódcy związkowego i prezydenta.

Głowacki powtarzał często, że choć mądrzy ludzie ostrzegali go przed wyborem pisarskiej profesji, nie mógł robić nic innego, bo niczego zrobić nie potrafił

– Gdański strajk niemal fizycznie sąsiadował z odbywającym się jakby nie do końca jawnie Festiwałem Piosenki w Sopocie, na którym Izabela Trojanowska śpiewała charakterystyczny dla tamtego czasu przebój: »Tyle samo prawd, ile kłamstw«.

– Dodam, że delegacja prostytutek, która przybyła do stoczni, by prosić o wypuszczenie na ląd trzymanych na re-dzie marynarzy tych państw zachodnich, których związki popierają nasz strajk, nie była, jak można się spodziewać, wyłącz- nie moim wymysłem”.

W tym samym wywiadzie pozwoliłem sobie zauważyć: „– Jak się zdaje, czas działa na korzyść »Mocy...«. To, co w niej jest groteskowe, przesadne, przestało razić, a jedynie bawi. O żadnym szarganiu świętości także już nie ma mowy. Za to budzi uznanie, jak wiele, niekoniecznie pięknych, spraw zauważył pan w chwilach narodzin Solidarności.

– Na przykład konfidentów w kierownictwie strajku. Ale naprawdę to bardzo się wtedy wzruszyłem. Było to jedno z bardzo niewielu w moim życiu wzruszeń; kiedy zakończono strajk i podpisa- no porozumienie, a wszyscy zaśpiewali »Jeszcze Polska...«, poczułem, że oczy zaczynają mi łzawić. Drugi raz czułem się

Nie na wiele się to zdało, o czym świad- czą perypetie związane z realizacją filmu dość odległego – jeśli wierzyć książeczce „Przyszłem, czyli jak pisałem scenariusz o Lechu Wałęsie dla Andrzeja Wajdy” (2013) – od pisarskiej wizji.

Głowacki powtarzał często, że choć mądrzy ludzie ostrzegali go przed wy- borem pisarskiej profesji, nie mógł robić nic innego, bo niczego zrobić nie potrafił. A już po pierwszym wyjeździe na Zachód oficer MSW w randze majora zapytał go:

– Niech mi pan powie, pan wygląda na inteligentnego człowieka, dlaczego pan pisze?

I zaraz dodał: – Inteligentny człowiek nie pisze. Inteligentny człowiek nie zo- stawia za sobą żadnego śladu.

A jednak „Głowa” nie wziął sobie tej rady do serca. Może dlatego, że rodzice pisarza też żyli z pióra: ojciec, Jerzy Głowacki, pisywał książki dla dzieci i kry- minały, matka Helena Rudzka-Głowacka była redaktorką w Iskrah i Czytelniku. Wujem Janusza był znany aktor Kazi- mierz Rudzki, dziadkiem zaś Bronisław Rudzki, w przedwojennej Warszawie właściciel wydawnictwa nutowego i sklepów z płytami gramofonowymi. Jedna babka „Głowy” miała pochodzenie węgierskie, druga – żydowskie.

Pierwszą żoną Janusza Głowackiego i matką jego córki, Zuzanny, była Ewa Zadrzyńska, dziennikarka i reżyserka. W ostatnich latach pisarz związał się z pochodzącą z Kijowa Oleną Leonenko, pieśniarką, kompozytorką i aktorką.

STAWIAĆ OPÓR, TRACIĆ CZEŚĆ

Po obaleniu komuny Głowacki zaczął dzielić swoje życie między Warszawę a Nowy Jork, z naciskiem na tę pierwszą. W końcu w pisarskiej autobiografii „Z głowy” (2004), swojej najdojrzalszej i najlepszej książce, porównywalnej z „Pięknymi dwudziestoletnimi” Marka Hłaski, wyznał: „Zanim postanowiłem zostać pisarzem, uczyniłem jedną rzecz, która mi się wydała mądra. Poszedłem na ulicę Mokotowską do baru Przechodniego”.

No cóż, zawód pisarza niekoniecznie budził (i budzi) uczucia wyższe. A w „Z głowy” mogliśmy przeczytać: „Upraszczając, Polska dzieliła się na tych, którzy do więzienia wsadzali, wsadzanych oraz tak zwaną szarą strefę, do której i ja należałem. W szarej strefie nie zawsze było jasne, kiedy się jeszcze władzy stawia opór, a kiedy już się cześć traci. Z traceniem czci zresztą rzecz się ma o tyle wygodnie, że zawsze istnieje jakaś szansa zachowania niewinności. Moja znajoma przyłapana przez męża na zdradzie broniła się całkiem przekonująco.

– Owszem, spałem z nim, ale nie miałam orgazmu.

Czasy były skomplikowane. Chyba na początku lat siedemdziesiątych pani Luna Brystygierowa, w latach pięćdziesiątych szefowa wydziału zajmującego się pisarzami w Ministerstwie Bezpieczeństwa, zaczęła pisać i wydawać powieści pod panieńskim nazwiskiem Julia Prajs. Następnie złożyła podanie o przyjęcie do Związku Literatów. Ale nie została przyjęta. Powiedziałem Henrykowi Krzeczkowskiemu, świetnemu tłumaczowi i eseiście, który znał życie jak mało kto, że zapewne nie przyjęli jej pisarze, których niszczyła. Popatrzył na mnie jak na idiotę i powiedział:

– Pisarze, których niszczyła, nie żyją. Nie przyjęli jej ci, których lansowała.

W sierpniu 1980 roku na zakończenie Festiwalu Piosenki w Sopocie lokalne władze wydały bal. Ale równocześnie, tuż obok, strajkowali robotnicy w stoczni. Większość artystów zdecydowała, że na bal iść nie wypada. Ostro atakowany w SPATiF-ie za wzięcie udziału w balu,

czyli kolaborację, znakomity piosenkarz bronił się z oburzeniem:

– Owszem, poszedłem, ale nic nie jadłem.

– Ale piłem.

– Piłem, ale nie tańczyłem.

Te wszystkie rozterki po odzyskaniu wolności, upadku komunizmu i zwycięstwie kapitalizmu zniknęły. Po wstępnym zamieszaniu, w którym powoływano się na dawne zasługi i nawiązywano do wartości, wyszło na to, że jedyną miarą przyzwoitości w polityce jest to, czy posłowie i ministrowie w kolejnych rządach kradną albo biorą i czy dużo. A hasła i gwarancje się przesunęły ze sztandarów do działu reklam”.

LEPSI I GORSI TALIBOWIE

W tej samej książce rozdział dotyczący Jerzego Kosińskiego zaczął Głowacki od pytań: „Gdzie się u Jerzego Kosińskiego kalkulekacja kończy, a prawda zaczyna? Z bliska oglądałem wiatrak, na którego skrzydłach świetnie sobie radził, więc kiedy i dlaczego się poślizgnął? Bo przecież szło tak dobrze. No i czy ten upadek i straszny koniec był w jego historię wpisany z góry? Więc jednak tragedia?”.

Z pytań tych zrodziła się później, w 2010 r., książka „Good night, Dżerzi”. Bodaj najgorsza w całym dorobku pisarskim „Głowy”, bo usiłująca pospolitemu łgarstwu i plagiatorstwu uprawianemu przez autora „Malowanego ptaka” przydać znamion wyjątkowości. A to się udało nie mogło.

Za to nie w pełni doceniono „Ostatniego ciecia”, niewielką powieść z 2001 r., którą można uznać za profetyczną w stosunku do zamachu na World Trade Center. Jest ta książka – mówił mi Janusz Głowacki w wywiadzie z października 2001 r. – „i o nieszczęściu, i strachu Ameryki, i całej kultury zachodniej. Tak to sobie wymyśliłem, żeby pojawił się Chagall w całym tym koszmarze z jego latającymi poetycko-dramatycznymi rybo-ludźmi, które na początku książki zdołają Lincoln Center. Na końcu mojej książki ludzie lecą z nieba jak pociski. W życiu prawdziwym przed World Trade Center ci, którzy uciekli z wieży, uchylali się przed tymi, którzy spadali na nich z góry”.

„Ostatni cieć” – powiedział „Głowa” – to także „reakcja na straszliwe zidiocenie mediów, które prześladowały z powodu pani Moniki jednego z największych prezydentów Stanów Zjednoczonych i obchodziły śmierć księżny Diany i zabój-

stwo Gianniiego Versace jako największe katastrofy dwudziestego wieku”. W kontekście tego peanu na cześć Billa Clintona i późniejszego poparcia Głowackiego dla Bronisława Komorowskiego zastanawiają inne jego słowa: „Pisze się dużo o fundamentalizmie islamskim. Dzieli talibów na lepszych i gorszych. Mnie wszyscy wydają się dość okropni. Po arabskiej stronie po tym, co się stało, jakoś nie widzę żadnej skruchy. Ja już nie mówię o potępieniu. Tak jakby w ogóle się nic nie stało”.

ZAGŁASKIWANIE KOTKA NA ŚMIERĆ

No proszę, a przecież Janusz Wilhelmi, PRL-owski mentor „Głowy”, jego cyniczny szef z tygodnika „Kultura”, gdzie autor „Wirówki nonsensu” (1968) i „Nowego tańca la-ba-da” (1970) publikował felietony, pouczał go: „Nie ufaj swoim pierwszym reakcjom, mogą być uczciwe”.

Felietony Głowackiego, od których wielu czytelników, szczególnie młodszych, rozpoczynało lekturę „Kultury”, łączył często ten sam greps, a mianowicie wychwalanie pod niebiosa czegoś, co w zamierzeniu autor chciał skrytykować. W skrócie chodziło o to – wyjaśniał przy jakiejś okazji „Głowa” – by „spragnionego pieszczoł kotka na śmierć zagłaskać”. Ze śmiertelną powagą porównywał więc Głowacki np. „Głupią sprawę” Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego do „Ulisse’a” Jamesa Joyce’a czy „wysmakowane formalnie arcydzieła” sztuki filmowej w rodzaju „Zabijcie czarną owcę” Passendorfera do obrazów Antonioniego.

Sprawił wrażenie, że naprawdę wierzy w swą wieczną młodość. Epatował kobiety męską piersią widoczną z wiecznej niedopiętej koszuli. Przed wyjazdem na Zachód w Warszawie uchodził za playboya, w związku z tym niechętnie przyznawał się, że codziennie spędza kilka godzin przy piórze, że – owszem – żyje się dramatycznie w miejscach do tego służących, ale – jakby to rzec? – nie wyłącznie. Tymczasem chciano w nim widzieć, i widziano, człowieka wyłącznie zabawowego, w swoim pisarstwie zaś podporządkowującego wszystko anegdocie, sprzedawanej z nieodłączną nutą ironii. I tak uchodził za ironistę. Podobno bezkonkurencyjnego. I tylko czasami uświadamialiśmy sobie, że bywa smutny i dramatyczny. A łzy z oczu wycisnąć też potrafił, o czym świadczą stosowne fragmenty „Z głowy”. Nie do uwierzenia!

Niedługo samo użycie słowa »dziewczyna« w tytule będzie z automatu gwarantowało znakomitą sprzedaż – sarkastycznie zauważył parę lat temu pewien agent literacki. Listy bestsellerów szturmem zdobywała właśnie „Zaginiona dziewczyna” Gillian Flynn – sfilmowany przez Davida Finchera thriller, o którym krytycy gremialnie stwierdzili, że jest czymś więcej niż thrillerem. Mieli rację – książka Flynn była znakomitym rozpoznaniem nastrojów społecznych. Opowieść o (uwaga – spoiler!) silnej kobiecie, która męczy się z mężem fajtlapą i w końcu decyduje zrobić go we własne morderstwo, okazała się przypowieścią o świecie, w którym – jak to ujął Szczepan Twardoch – kobiety udają się lepiej niż mężczyźni. Lepiej nie oznacza, że są wolne od problemów: w przypadku Amy z powieści Flynn, w filmie Finchera zagranej przez obdarzoną psychopatyczną urodą Rosamund Pike, tymi wadami były narcystyczna osobowość i wygórowane oczekiwania wobec męża. Jednocześnie trudno było się nie zachwycić misterną konstrukcją jej planu i siłą.

Trzy lata później przyszła kolej na kobietę słabą i – jeśli ufać danym sprzedażowym (1,5 mln „Zaginionej dziewczyny” i 2 mln jej następczyni) – takiej bohaterki czytelnicy pożąдали bardziej. Takiej, czyli pogrążającej się w alkoholizmie po utracie pracy i męża Rachel, która pewnego dnia spostrzega, że idealna para mieszkająca w domu, który codziennie mijają, jadąc pociągiem, wcale nie jest tak idealna. W „Dziewczynie z pociągu” Pauli Hawkins kwestia rozwiązania kryminalnej zagadki była oczywiście istotna, ale o wiele istotniejszy był wątek nałogu Rachel (w filmie zagranej przez Emily Blunt). Hawkins zrobiła dla anglosaskiego czytelnika to, co dla polskiego Małgorzata Halber w „Najgorszym człowieku na świecie”: opisała postać kobiety uzależnionej, ale funkcjonującej – do pewnego czasu – normalnie, odnoszącej sukcesy mimo nałogu. To odczarowanie sytuacji, w której samotne wypijanie co wieczór butelki wina przeradza się w zasypianie w pociągu po szybkim wychłaptaniu paru małych wódek, i pokazanie, jak na tę sytuację reaguje mężczyzna, z którym alkoholiczka dzieli życie, okazało się strzałem w dziesiątkę. Za „Dziewczyną...” i jej poprzedniczką szybko poszło

Mężczyźni są odrażająco brudni i źli



Wojciech Engelking

Autorzy thrillerów znaleźli sobie nowego ulubionego bohatera: już niemłodą, ale jeszcze niestara kobietę, która mierzy się ze zbrodnią krążącą wokół jej osobistych neuroz. Czytanie powieści JP Delaney czy Pauli Hawkins to dziś najlepszy sposób, by zajrzeć pod powierzchnię tego, co obywatelki Zachodu starają się ukryć



„Dziewczynę z pociągu” Pauli Hawkins przeniósł na ekran Tate Taylor (kadr u góry), a „Zaginioną dziewczynę” Gillian Flynn sfilmował David Fincher FOT. MATERIAŁY PRASOWE

mnóstwo naśladowców oraz naśladowniczek, jak to na ogół w przypadku epigonów bywa – przeważnie niezbyt wartych uwagi.

Zdarzają się jednak wyjątki, które umożliwiają czytelnikom zobaczenie, jakie jeszcze – poza narcystyczną osobowością czy alkoholizmem – neurozy skrywają obywatelki Zachodu.

POWTÓRKA Z ROZRYWKI

Epigonką samej siebie jest Paula Hawkins – co nie zmienia faktu, że jej nową powieść „Zaplane w wodzie” czyta się znakomicie. Hawkins, długoletnia dziennikarka „The Times”, zaczynała jako autorka biznesowych poradników, a gdy zabrała się do literatury, wypuściła – pod pseudonimem Amy Silver – kilka pogodnych romansów, z których żaden nie odniósł sukcesu. Jej, jak nazywają rzecz Anglosasi, „chick lit” zaczęła się sprzedawać dopiero wtedy, gdy do kobiecych problemów dołożyła brutalność i zbrodnię, a mężczyzn z potencjalnych (i nie) kandydatów na mężów zmieniała w pociągających – z początku przynajmniej – brutalni, którzy na każdym kroku starają się obniżyć kobiece poczucie własnej wartości. Tak było w „Dziewczynie...” i tak jest w „Zapisanym w wodzie”, tylko że bardziej – bo w najnowszej powieści Hawkins kobiet jest więcej niż jedna i są w różnym wieku.

Te dwie, od których śmierci powieść się zaczyna, to Nel Abbott – znana pisarka mieszkająca w rodzinnym miasteczku Beckford – i szkolna koleżanka jej córki Leny, Katie. Ta pierwsza skoczyła do wody obciążona kamieniami, ta druga skoczyła po prostu; zginęły obie. Traf chce, by miejsce, w którym utonęły – zwane Topieliskiem – w średniowieczu służyło do spławiania czarownic (tzw. próby wody: jeżeli posądzona o konszachty z diabłem kobieta utrzymywała się na powierzchni, to oznaczało, że jest czarownicą, bo szatan ją chronił; jeżeli szła na dno – to jednak posądzający się mylili). Nel krótko przed śmiercią zajmowała się spisaniem historii kobiet, które na przestrzeni lat znalazły w Topielisku śmierć. Sama jedną od takiego końca uratowała: swoją siostrę Jules, która starała się ze sobą skończyć w wodzie jako nastolatka po tym, jak zgwałcił ją ówczesny chłopak Nel, szkolna gwiazda Robbie. Teraz Jules na nowo zjawia się w Beckford, by rozwikłać zagadkę tego, czy jej siostra zabiła się sama, czy ktoś

jej w tym pomógł. I czy ktoś doprowadził Katie do takiego stanu, w którym nie chciała już dłużej żyć.

Podobnie jak alkoholizm w „Dziewczynie z pociągu”, tak w „Zapisanym w wodzie” gwałt nie jest głównym tematem – tym pozostaje zbrodnia – ale znacząco wpływa na fabułę. Hawkins bada stosunek mieszkańców Beckford do kwestii seksualnego wykorzystania kobiety i to, jak zmienił się on na przestrzeni lat. Jej diagnoza jest i optymistyczna, i pesymistyczna: Jules, która jako nastolatka w latach 90. uznawała, że bycie obiektem zainteresowania najprzystojniejszego chłopaka w szkole (będąc dziewczyną raczej nieatrakcyjną) jest dla niej zaszczytem i jej obowiązkiem jest mu się oddać, po latach potrafi nazwać tragedię, jaka jej się przytrafiła. A co z mężczyznami?

Oni pozostają – tak jak w starej piosence Afrolektywu – „odrażająco brudni i źli”.

PERFEKcjonizm i HIGIENA

Zły może, ale z pewnością nie brudny jest bohater innego thrillera, który od paru tygodni mocno trzyma się na polskich listach bestsellerów – architekt Edward Monkford z „Lokatorki” JP Delaney. O jego twórcy wiadomo niewiele: że publikuje pod pseudonimem i że prawa do sfilmowania jego powieści na planie kupił Ron Howard, twórca „Chicago” i „Kodu da Vinci”. O szalonym (czy na pewno?) architekcie z „Lokatorki” jej dwie główne bohaterki, Emma i Jane, także mają małe pojęcie, oprócz tego, że i w życiu, i w budynkach, które stawia, ma obsesję na punkcie minimalizmu oraz higieny, a kilka lat temu stracił w wypadku na budowie żonę i dziecko. Kobiety, bliźniaczki niemal do niej podobne, w różnych planach czasowych zamieszkują w domu w ekskluzywnej londyńskiej dzielnicy, który dla swojej rodziny Monkford wybudował, a zamieszkanie w nim architekt obwarowuje skomplikowanym kontraktem. Obie – oczywiście – łądzą z nim w łóżku, co dla Emmy, która dla Edwarda rzuca swojego dotychczasowego partnera, fajtlapowatego Simona, kończy się kiepsko, bo śmiercią. Czy zabił ją Edward Monkford, kreowany od pierwszych stron „Lokatorki” na czarującego psychopatę?

Ta kreacja właśnie jest szczególnie ciekawa, bo z początku Edward Monkford wygląda w oczach czytelnika na

kuzyna Christiana Greya z pornograficznego bestsellera E.L. James: 30-letni, przystojny, bogaty i obyty w świecie, z zamiłowaniem do brutalnego (a właściwie: do brutalnego tak jak w „50 twarzy...”, czyli brutalnego w granicy wyobraźni gospodyni domowej) seksu i z problemami, które opatrzona instynktem pielęgniarstwa kobieta będzie miała ochotę uleczyć, jednocześnie wiedząc, że to właśnie ten problem czyni go atrakcyjnym. W przypadku Monkforda problemem jest perfekcjonizm: jego ekskluzywnym domem zarządza program komputerowy, on zaś stara się mieć w życiu jak najmniej: kiedy z jedną z bohaterek zamieszkuje, jedyne, co ze sobą sprowadza, to sześć koszul marki Comme des Garçons, parę zmian bielizny, notatnik Filofax i MacBook Air (dostrzegalne zamiłowanie do drogich marek). Płynnie mówi w paru językach, cieszy się ogólnym poważaniem, kobiety po prostu sobie bierze i bardzo błado wygląda przy nim ten Simon, który chciał z Emmą stworzyć związek partnerski, nie zauważając słabości swojej dziewczyny do bycia zdominowaną. E.L. James i JP Delaney wykorzystują w swoich książkach (choć ten drugi z o wiele większym wdziękiem i na o wiele wyższym poziomie literackim) tęsknotę do partnera idealnego, który za sprawą swojej słabości do dominowania nigdy partnerem nie będzie. I dobrze, bo ma nim nie być.

KOBIETY NIE DAJĄ RADY

Jak odczytywać ten najnowszy trend – połączenie zbrodni ze schematami z „chick lit” – w pisanych na Zachodzie thrillerze, który dotychczas wydawał się gatunkiem nie tyle sprofilowanym pod męskiego bohatera, ile męskiego czytelnika? Chyba tak, że jego dotychczasowa, męska formuła, w której centrum stał protagonista superman, zapity i zraniony przez życie, wyczerpała się. W przypadku bohaterek kobiecych zapicie i zranienie przez życie nie jest bowiem orderem, który mógłby z zadowoleniem nosić któryś z dalekich wnuków Philipa Marlowe’a. Jest, faktycznie, skaza, z którą trzeba się zmierzyć i która to zmierzanie się z początku uniemożliwia, bo kobiety przez nią „nie dają rady”. Teraz trzeba kilka lat poczekać na męską odpowiedź i zastanowić się, z jakich neuroz tych, którzy udają się gorzej, będzie ona korzystała.

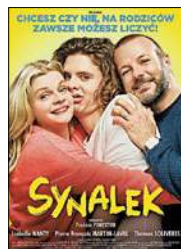


FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Zakochani widzą tęczę



★★★★★
REŻ. FRÉDÉRIC
FORESTIER
„SYNALEK”
(„MON POUSSIN”)
FRANCJA 2017

wyst. Isabelle
Nanty,
Pierre François
Martin-Laval,
Thomas Solivérès

Milan Kundera przejdzie do historii jako piewca nieistniejącej Europy Środkowej oraz autor przemądrzałych powieści. Czasami jednak wdziawał szaty proroka. „Dzieci nie są przyszłością dlatego, że kiedyś będą dorosłe, lecz dlatego, że ludzkość coraz bardziej będzie zbliżała się do stanu dziecięcości” – przewidział już w roku 1981. Dzisiaj jego wróżba się spełniła. Infantylnizm jest na topie, zaś dojrzałość traktuje się jak wstydliwą chorobę, którą należy ukrywać przed oczami postronnych. Ten cywilizacyjny trend widać na każdym kroku: w modzie, kulturze i polityce. Czy się to nam podoba, czy nie, żyjemy w epoce Piotrusia Pana i Janiny Duszejko.

Kult młodości i jego groteskowe objawy z pewnością zasługują na

ośmieszenie. Mniemam, że dałoby się to zrobić w sposób inteligentny. Niestety, twórcy „Synalka” wybrali konwencję tępej farsy. Tytułowy bohater leży na kanapie i rozpacza. Ukochana usunęła go z grona znajomych na Facebooku. Rodzice, wiedząc, że wychowali mięczaka, obawiają się, że 20-letni „króliczek” nie przeżyje rozstania oraz publicznego poniżenia.

Obmyślają więc terapię, subtelną jak młot pneumatyczny. Na początek junior ma przypomnieć sobie wszystkie wady wybranki (Elina ma kwadratową szczękę, a podczas seksu wydaje dziwne odgłosy) i nazywać ją dziwką. Kiedy to nie pomaga, fundują beksie podróż antysentymentalną. W każdym miejscu związanym z narodzinami fatalnego uczucia dostaje od mamy i taty z liścia. Pociecha jednak wciąż

nie potrafi się odkochać. Dlaczego? To proste – Cléa i Harold zamiast świecić przykładem, sami biją rekordy nieodpowiedzialności.

W tym miejscu scenarzyści powinni się okazać mądrzejsi od wymyślonych przez siebie postaci. Widzów, liczących na konserwatywny zwrot, czeka jednak zawód. Prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż Francuzi dopuszczą do siebie myśl, że sławetna rewolucja z roku 1968 była dziecinadą. Owszem, pod jej wpływem zmieniły się obyczaje. Bądźmy szczerzy: problem nie dotyczy tylko dobrze sytuowanych paryżan. Matek, które chętnie karmiłyby piersią swych dorosłych synów, są dziś miliony, zaś skok na bungee i tatuaż z imieniem ukochanej istoty są uważane za dowód miłości nie tylko w kręgach młodzieżowych.

W „Synalku” odtrutką na wulgarność mają być kiczowate obrazki: zakochani widzą tęczę, a z nieba spadają na nich płatki róż. Kulminacją filmu Forestiera jest jednak kulinarny pojedynek. Zawodnicy pochłaniają m.in. śledzie zmiękowane z colą, perfumy pachnące odchodami oraz pety z popielniczki. Po takim posiłku nawet skończony cynik poczuje motyle w brzuchu. Bon Appétit! ©©

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „NA POKUSZENIE”

Kolejna ekranizacja powieści Thomasa Cullinana, która w roku 1971 stała się podstawą filmu Dona Siegela z Clintem Eastwoodem. W wersji Sofii Coppoli główną rolę gra Colin Farrell. Akcja rozgrywa się podczas amerykańskiej wojny secesyjnej. Ranny jankeski żołnierz, znaleziony i ukrywany przez pensjonariuszki szkoły dla dziewcząt

w Wirginii, wywołuje burzę uczuć: miłości, zazdrości i wreszcie nienawiści. Film nagrodzony za reżyserię na tegorocznym festiwalu w Cannes. ©© **Piotr Gociek**

• „Na pokuszenie” („The Beguiled”), reż. Sofia Coppola, wyst. Colin Farrell, Nicole Kidman, USA 2017

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Odwet” („1:54”), reż. Yan England, Kanada 2016
- „Habit i zbroja”, reż. Paweł Piłera, Polska/Niemcy 2016
- „Super Spark: Gwiazdna misja” („Spark: A Space Tail”), reż. Aaron Woodley, Kanada/Korea Południowa 2016



Zdażyć przed południem

Polski tytuł sugeruje, że mamy do czynienia z miksem „Bodyguarda” i „Leona zawodowca”. To klasyczna zmyłka. W rzeczywistości scenarzysta natchnieniem czerpał z superprodukcji o supertwardzielach, którzy wspólnie muszą stawić czoło superłajdakowi, choć prywatnie od dawna mają na pieńku. Dążąc do celu, zawstydzą policję i służby specjalne, napędzą stracha tubylcom i turystom, wystrzelają wagon amunicji oraz złamią wszystkie przepisy drogowe, bezustannie przy tym sobie dogryzając.

Patrick Hughes od początku do końca gna po bandzie. Samochody wybuchają jak na zawołanie, krew tryska

z poderżniętego gardła do wtóru „Hello” Lionela Richiego. Rachuba była prosta: widzowie wybaczą nonsensy i dowcipy drugiej świeżości, jeśli tylko nie da im się czasu na zastanowienie, bohaterowie zaś będą budzić sympatię. I trzeba przyznać, że ten plan wypalił.



★★★★★
REŻ. PATRICK HUGHES
„BODYGUARD ZAWODOWIEC”
(„HITMAN'S BODYGUARD”)
USA 2017

wyst. Samuel L. Jackson,
Ryan Reynolds,
Gary Oldman

Zwłaszcza Jackson jest w swoim żywiole: klnie jak szewc i sypie sentencjami godnymi detektywa Banaczka („Jeśli życie daje ci wódkę, to dokup cytrynę i zrób imprezę!”). Reynolds ma trudniej, bo gra irytującego pedanta, który ma problem z przetwarzaniem emocji, lecz i on daje radę. A morał? Profesjonalista jadąc autem, zawsze zapina pasy. ©©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SŁOŃCE, KSIĘŻYC I ZŁY

Uroczą niespodzianką dla miłośników oryginalnej animacji. Jeden z jego reżyserów pracował wcześniej przy wielkich hollywoodzkich hitach: „Kung Fu Panda” i „Potwory kontra obcy”. Tutaj zaprosił widza do zupełnie innej – opowieści, w której połączył niesfornego ducha francuskiego komiksu z klimatem à la „Ciemny kryształ” Jima Hensona. Akcja rozgrywa się na planecie podzielonej między wyznawców Słońca i Księżyca, żyjących obok siebie na dwóch zupełnie różnych połowach świata i dosłownie wpływających na obroty ciał niebieskich. Główny bohater, zabawny Munio, zostaje wybrany na Strażnika Księżyca, ale jego misja szybko zacznie wykraczać poza zwykłe obowiązki związane z tym stanowiskiem. Ów świat ma bowiem swego Złego, który zagraża jednej i drugiej połowie dziwnego świata. Na szczęście nasz bohater ma z kolei sojuszników. Fabuła może i błaża, ale obrazki urzekające. ©©



wyst. Omar Sy,
Izia Higelin,
Michaël Grégorio

★★★★★
REŻ. ALEXANDRE HEBOYAN, BENOÎT PHILIPPON
„MUNIO: STRAŻNIK KSIĘŻYCA”
(„MUNE, LE GARDIEN DE LA LUNE”)
FRANCJA 2014,
BEST FILM

BEZ DUCHA W PANCERZU

Wystawna, lecz nieudana próba wskrzeszenia magii animowanego oryginału. „Ghost in the Shell” w reżyserii Mamoru Oshii z roku 1995 był sensacją, która przyczyniła się do wzrostu zainteresowania japońskim anime i jednocześnie kawałkiem mrocznego, bardzo ciekawego kina science fiction.



wyst. Scarlett Johansson, Pilou Asbæk,
Takeshi Kitano

★★★★★
REŻ. RUPERT SANDERS
„THE GHOST IN THE SHELL”
USA 2017,
IMPERIAL

Aktorska wersja gubi klimat oryginału i sypka dickowskie pytania o relacje między światem żywych a sztuczną inteligencją. Scarlett Johansson w roli śmiercionośnej policjantki-cyborga robi wrażenie zagubionej, a świetny aktor (i dobry reżyser) Takeshi Kitano dostał rolę, w której wygląda jak karykatura samego siebie z własnych filmów o yakuzie. Powstał średnio ekscytujący film akcji pozbawiony duszy, choć przecież właśnie kwestia duszy w stechniczowanym świecie powinna być w nim najważniejsza. ©© **recenzuje Piotr Gociek**

GRA TYGODNIA: „SUDDEN STRIKE 4”

20 misji, trzy kampanie, ponad 100 jednostek z epoki II wojny światowej – tak w skrócie prezentuje się czwarta odsłona serii „Sudden Strike”. Powrót do znanego i lubianego RTS-a ucieszy tych wszystkich, którzy zdążyli postawić krzyżyk na strategiach czasu rzeczywistego. Gra oferuje możliwość

pokierowania stosunkowo niewielkimi grupami taktycznymi jednostek – od lądowania w Normandii do bitwy o Berlin – stawiając nacisk na taktykę. Misje są różnicowane, grafika choć nie powala na kolana, wykonana jest naprawdę malowniczo. Udany powrót w znane rejony z jednym



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★
minusem – nieco chaotycznym sterowaniem. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** RTS
- **Platforma:** PC/PS4
- **Producent, dystrybutor:** Kite Games/CDP
- **Klasyfikacja wiekowa PEGI:** 16+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

W piekielnym rezerwacie

Tytułową bohaterkę powieści Guzel Jachiny poznajemy jako kobietę 30-letnią. Połowę swojego życia spędziła w domu męża, starszego o 30 lat Murtaży. Za ścianą miała jego matkę, dobiegającą setki. Prawdziwą wiedźmę – tak też ją nazywała w myślach. Musiała jej usługiwać, myć ją, karmić, za co starucha „odwdzięczała” się jej jedynie złym słowem, szykanami, wiecznym niezadowoleniem. A mąż Zulejki niczego nie widział ani nie słyszał, od żony wymagał bezwzględного posłuszeństwa, matce zaś wierzył bezgranicznie.

Zulejka nie buntowała się, wszelki sprzeciw przekraczał ramy znanego jej świata. Zaharowywała się, mając świadomość, że wszystko, co robi, wykonuje z nienależytą starannością, nie spełniając pokładanych w niej nadziei. I nawet jako matka nie sprawdza się, rodząc same córki, które wkrótce umierały.

I dalej marnie by wegetowała na podobieństwo myszy domowej, lekceważona, poniewierana, bita, gdyby nie... No właśnie, gdyby nie komunistyczna władza. I występujący w jej imieniu „dziarscy goście, którzy w każdym obejściu czują się jak u siebie w domu, którzy bez ceregieli zabierają gospodarzom ostatnie zapasy żywności i rzecz najcenniejszą – starannie dobrane i troskliwie chronione ziarno siewne, którzy bez zastanowienia gotowi są uderzyć, przebić bagnetem, strzelić do każdego, kto stanie im na drodze”.

Tak na drodze wykonujące swoje bolszewickie zadania towarzysza Iwana Ignatowa stanął Murtaż, broniąc swojej własności i z pogardą odrzucając „ofertę” wstąpienia do kałchusa z rosyjska zwanego kołchozem. Nie bronił się długo, Ignatow zabił go, a Zulejka następnego dnia dostała pięć minut na spakowanie się i przygotowanie do długiej drogi na Sybir.



FOT. ARTYOM GEODAKYAN/TASS/FORUM

Kobieta przeszła przez piekło. Do celu zesłania dotarło oprócz niej zaledwie 28 spośród tysiąca osób, nad których transportem z Kazania czuwał Ignatow, zabójca męża Zulejki. On też został komentantem wznoszonego na Syberii od zera obozu czy osady, bo w gruncie rzeczy w tamtym miejscu niepotrzebne były ani druty, ani straż. A towarzysz Ignatow tyleż był odpowiedzialnym pracownikiem GPU, ile zekiem, bo wiódł żywot taki sam jak ci, których rzekomo strzegł. „Przed czym?” – coraz częściej stawiał sobie to pytanie.

Dla Zulejki w surowości swojej nieludzkie wręcz życie na Syberii nie było wcale straszne. A może inaczej: straszne, ale nie najstraszniejsze. Prawdziwe bowiem zło, które ją ubezwłasnowolniało, odzierało z resztek godności przez wszystkie lata małżeństwa, kryło się w mężowskim domu. I wyzwolenie od tego, co zostało w oddalonym i coraz bardziej zapomnianym Jułbaszu, będzie największym zwycięstwem Zulejki, która w tragicznej dobie rozkułaczania na pozór straciła wszystko. Naprawdę jednak zdobyła coś daleko cenniejszego: dojrzała

miłość, macierzyństwo, a przy tym odwagę i honor.

W krótkim wstępie do powieści Guzel Jachiny znana pisarka Ludmiła Ulicka rozrzuca się: „Mieliśmy [w ZSRS] wspaniałą plejadę pisarzy dwóch kultur, którzy należeli do jednego z narodów imperium, ale pisali w języku rosyjskim. Fazil Iskander, Jurij Rytcheu, Anatolij Kim, Olżas Sulejmenow, Czingiz Ajtmatow... Tradycje owej szkoły to głęboka znajomość materiału narodowego, miłość do własnego narodu, pełen godności i szacunku stosunek do ludzi innych kultur, subtelne korzystanie z folkloru. Wydawało się, że ów kierunek nie będzie miał kontynuacji, że to zaginiony ląd”. No i siurpriza, oto objawia się nam ze swoją wspaniałą prozą Guzel Jachina! Weselmy się!

Owszem, „Zulejka...” to z całą pewnością debiut znakomity. Nie dlatego jednak, że oto o swoich (a nie tylko przecież o swoich) narodowych sprawach autorka opowiada po rosyjsku. Już prędzej zaakceptowałbym sugestię, że utwór Jachiny to przykład literatury kobiecej. Może... Traktuje on bowiem – istotnie – „o kobiecej sile i kobiecej słabości, o świętym macierzyństwie nie na tle angielskiego pokoju dzieciennego, ale na tle obozu pracy, piekielnego rezerwatu wymyślonego przez jednego z największych złoczyńców ludzkości”.

Guzel Jachina, z pochodzenia Tatarka, urodziła się w 1977 r. w Kazaniu. Studiowała pedagogikę, a następnie ukończyła wydział scenariuszowy moskiewskiej szkoły filmowej. Swą debiutancką powieść wydała dwa lata temu. „Zulejka otwiera oczy” odniosła ogromny sukces. Uhonorowana została nagrodami Bolszaja Kniga i Jasnaja Polana, przełożono ją też na kilka języków. W Polsce tłumaczenia jej dokonał Henryk Chłystowski. ©©



★★★★★
GUZEL JACHINA
„ZULEJKA
OTWIERA OCZY”
NOIR SUR BLANC,
WARSZAWA 2017



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Kroniki autora nakręcacza

Japoński nudziarz powrócił, tym razem książką non fiction. Żadna to sensacja, bo napisał ich ponad 10, z czego w Polsce ukazała się dotąd chyba tylko „O czym mówię, kiedy mówię o bieganiu”. „Zawód: powieściopisarz” to połączenie autobiografii i refleksji o tworzeniu literatury. Te dwie rzeczy musiały być splecione, skoro Haruki Murakami żyje z pisania od lat ponad 30. A skoro autobiografia, to i kawałek opowieści o życiu w Japonii – powinienem od razu dodać „codziennym”, bo w życiu Murakamiego wielkich sensacji nie ma. Studia, miłość do książek, prowadzenie baru (właściwie klubu muzycznego), długi, żona, potem debiut literacki. Ciekawy był to czas, bo w latach 70. Japonię rozrywały ideologiczne spory, przy czym odpowiedzialność za falę przemocy na ulicach ponosi ewidentnie zradkalizowana komunizująca brać studencka, od której zresztą Murakami mocno się dystansuje.

Wspominałem na początku, że nudziarz, więc pewnie już zagorzali fani Murakamiego się obrazili. Nudziarz, ale sympatyczny – dodam. Nic na to nie poradzę, wszystkie czytane dotąd książki Murakamiego zlewają się w moją głowę w jedną, może za sprawą specyficznego stylu, może

dlatego, że nieustannie wraca do tych samych motywów. Dzięki książce „Zawód: powieściopisarz” dowiedziałem się zresztą, skąd ten styl się wzięł. Dwujęzyczny Murakami niezadowolony z rozdziałów pisanej debiutanckiej powieści postanowił napisać jej kawałek po angielsku, który wymusił na autorze prostotę i zwięźłość. Potem te angielskie fragmenty przełożył na japoński i tak odkrył własny styl – za który zresztą jest przez japońskich krytyków atakowany, bo ci mają go za twórcę zepsutego przez kulturę Zachodu (o to samo mieli pretensje do Akiry Kurosawy).

Podobnie jak w przypadku wielu powieści Murakamiego określiłbym temperaturę tych zapisków jako letnią. Wiele tu obserwacji ogólnie słusznych (przeceniały znaczenie nagród literackich, dobrze by było, żeby szkoła nie tłumiła w dzieciach wyobraźni), trochę czysto prywatnych, kilka takich, które najbardziej zainteresują kolegów po piórze podglądających cudzy warsztat. Ciekawe są fragmenty, gdzie zastanawia się nad tym, dlaczego jego książki szczególnie dobrze zostały przyjęte po 1989 r. w Rosji i w krajach dawnego bloku wschodniego. Nie będziecie żałować lektury. W ekstazę też was pewnie jednak nie wprawi. Czyli typowy Murakami. ©©



★★★★★
HARUKI
MURAKAMI
„ZAWÓD:
POWIEŚCIOPISARZ”
MUZA

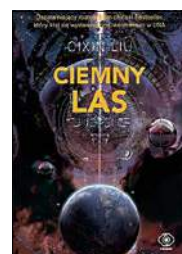
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Cud Dunkierki”, czyli heroiczna operacja ratunkowa, która zamieniła klęskę militarną w moralne zwycięstwo. Książka Chattertona opowiada nie tylko o kulisach operacji „Dynamo”, lecz także o tym, jak zmieniło się jej postrzeganie.



EDWARD KEBLE
CHATTERTON
„DUNKIERKA”
REPLIKA

Fantastyka z Chin – oryginalna, dobrze napisana i mocno zaskakująca. Połączenie opowieści o komunistycznych Chinach, historii o kontakcie z obcą cywilizacją i nawet cyberpunka. Ciąg dalszy „Problemu trzech ciał”.



CIXIN LIU
„CIEMNY LAS”
REBIS

Powieść historyczna. Ostatni tom świetnie napisanej trylogii o angielskim królu Ryszardzie III, którego prawdziwe dokonania (a był władcą nietuzinkowym) zostały przesłonięte przez czarną legendę, jaką stworzył William Szekspir.



SHARON KAY
PENMAN
„RYSZARD,
Z BOŻEJ ŁASKI...”
ZYSK I S-KA

Nowa powieść z kryminalnej serii o detektywie Maxie Kwietniewskim – czarnoskórym Polaku wychowanym w USA. Co łączy samobójstwo współczesnego 17-latka i dziwne wydarzenia z roku 1940? ©©



WOJCIECH DUTKA
„CZARNA
PSZCZOŁA”
ALBATROS

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Nela**, „Nela i tajemnice oceanów” (Burda NG Polska) – literatura edukacyjna dla najmłodszych czytelników, kolejny tom popularnej serii.
2. **Paula Hawkins**, „Zapiskane w wodzie” (Świat Książki) – nowa powieść autorki największego bestsellera ostatnich lat, czyli „Dziewczyny z pociągu”.
3. **Remigiusz Mróz**, „Czarna Madonna” (Czwarta Strona) – najpłodniejszy autor polskich kryminałów idzie w thriller międzynarodowy i horror religijny.
4. **Jay Asher**, „Trzynaście powodów” (Rebis) – śmierć nastolatki objaśniana przez nią samą na taśmach pozostawionych po samobójstwie. Także serial Netflixa.
5. **William P. Young**, „Chata” (Nowa Proza) – bestseller ewangelizacyjny: ponad 20 mln egzemplarzy sprzedanych na całym świecie. Ojciec obwiniający się o śmierć dziecka spędza weekend z Trójcą Świętą.
(Najchętniej kupowane książki w sieci księgarskiej BookBook)



JAN POSPESZALSKI

KONTRA/BASEM

Nie należę do zwolenników pisania alternatywnych historii, ale prześladowa mnie pytanie: Czy rozwój muzyki w XVI i XVII w. przybrałby tak imponujący wymiar, gdyby nie działalność Marcina Lutra? W roku 500-lecia reformacji, mówiąc o rozłamie, trzeba dostrzec nie tylko tragiczne skutki herezji. Reformacja pośrednio przyczyniła się do twórczego fermentu w muzyce.

Luter, sam muzycznie wyedukowany, doceniając rolę muzyki w przekazie Ewangelii, postawił na edukację i upowszechnienie kościelnego śpiewu w językach narodowych. Pisał proste chorały tak, by możliwe były do powtórzenia i przyswojenia przez wiernych. Jemu przypisuje się przeprowadzenie reformy nauczania dzieci i młodzieży w oparciu o katechizm, retorykę i właśnie muzykę. Jemu też Niemcy winni być wdzięczni za to, że stali się rozśpiewanym narodem, które w każdym pokoleniu wydawało najwybitniejszych kompozytorów.

Kontrreformacja odpowiedziała tym samym orężem. Stąd nie-



Schola Węgajty w Jarosławiu

FOT. MICHAŁ RADOCHOŃSKI/PROJEKT KREATYWNY

Pieśni Naszych Korzeni

zwykły rozkwit muzyki w Kościele katolickim. Barok pełen splendoru, piękna i bogactwa form to oczywiście uwielbienie Boga Stwórcy, a także ukazanie imponującego oblicza potrydenckiego katolickiego Kościoła, zachowującego depozyt prawdy. Napięcie, które w obu konfesjach zaowocowało wybitnymi dziełami dla organizatorów festiwalu Pieśni Naszych Korzeni stało się inspiracją do zbudowania fascynującego programu. Od 20 do 27 sierpnia w świątyniach Jarosławia można było posłuchać wykonań zarówno protestanckich, jak i katolickich twórców. Zabrzmiąły estońskie hymny reformacyjne, czeskie pieśni mistyczne, drezdeń-

ska msza z 1617 r. napisana na 100-lecie reformacji, a także Nieszpory Maryjne hiszpańskiego kompozytora Diego Ortiza i msza „O gloriosa Domina” (genialnego i ciągle zbyt słabo docenianego) polskiego kompozytora Marcina Mielczewskiego (1600–1651).

Dobrym zwyczajem festiwalu jest obecność muzyki bizantyjskiej oraz udział śpiewaków reprezentujących tradycję ludową. Dlatego obok gwiazd muzyki dawnej z Czech, Estonii i Niemiec wystąpili Schola Węgajty, kantorzy z Ukrainy i oczywiście chór festiwalowy złożony z uczestników i ze słuchaczy festiwalu, którzy przez tydzień uczestniczyli w warsztatach. ©©



GRZEGORZ BRZÓZOWICZ

NA SŁUCH

27. uderzenie mistrza shock rocka

Vincent Furnier, syn kazonodziei, stworzył pod koniec lat 60. postać Alice'a Coopera i zaprosił do pierwszego rockowego teatru horroru. Okazuje się, że pół wieku później wciąż ma to sens.

W pierwszej połowie lat 70. szokujące spektakle (węże, gilotyna, borowanie zębów, wariaci, demony itd.) oraz seria kapitalnych płyt wywindowały zespół Alice Cooper do grona największych rockowych atrakcji. Solowa kariera wokalisty nie była usłana różami. Wielkie chwile przeplatały się z długoletnim leczeniem alkoholizmu.

Współtwórcą pierwszych sukcesów Alice był producent Bob Ezrin, który zasłynął później ze współpracy m.in. z Pink Floyd i Peterem Gabrielem. Jest obecny i na tym, 27. studyjnym albumie Coopera. Gościnnie zagrali Roger Glover (Deep Purple), Billy Gibbons (ZZ Top) i Larry Mullen (U2). Po 42-letniej przerwie do wokalisty dołączyli też członkowie oryginalnego składu.

Jest ostro, strasznie, śmiesznie i... przewidywalnie, choć Alice wciąż wynajduje nowe upiory. W „W martwych muchach” oznajmia: „Twój telefon wie więcej o tobie niż twój tata albo twoja mama!”. ©©



★★★★★
ALICE COOPER
„PARANORMAL”
EARMUSIC



★★★★★
STEVEN WILSON
„TO THE BONE”
CAROLINE

Były lider Porcupine Tree pięknie zrekonstruował albumy gigantów rocka progresywnego (King Crimson, Jethro Tull, Yes). Na piątą solową płytę nagrał 11 progresywnych piosenek. Dla miłośników. ©©



★★★★★
PATTI SMITH
„TAŃCZE BOSO”
BIURO LITERACKIE

Tylko dziewięć tekstów piosenek w świetnym przekładzie Filipa Łobodzińskiego oraz pięć portretów artystki autorstwa słynnego fotografa Franka Stefanka. Ważne, mądre, tylko zdecydowanie za drogo (37 zł). ©©

**NIECH MOC ŚMIECHU
BĘDZIE Z WAMI!**



SUPER SPARK

GWIEZDNA MISJA

W KINACH OD 1 WRZEŚNIA

[illegible]

redrouer



TOONBOX

ROAD FILTER



eprasa.pl dd796f7777



Z abp. Stanisławem Gądeckim,
przewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski
rozmawia Piotr Semka

Zbyt łatwo godzimy się, by w polskich sporach arbitrem był czynnik zewnątrzny



PIOTR SEMKA: Ostrość polskiego życia politycznego nie maleje. Niektórzy pytają, dlaczego Kościół unika roli mediatora w kryzysach politycznych?

ABP STANISŁAW GĄDECKI: Kościołowi zdarzało się wiele razy odgrywać rolę mediatora w polskim życiu publicznym. Bywa to niezbędne, gdy przeciwnicy „dochodzą do ściany” i następuje bardzo ostre starcie polityczne, gdzie bez mediacji nie sposób wycofać się żadnej ze stron bez utraty twarzy.

Tego rodzaju misja mediacyjna w wykonaniu Kościoła bywa do pomyślenia pod jednym warunkiem. Może ona zaistnieć tylko w przypadku zaproszenia obu stron konfliktu. Jeśli takiego obustronnego zaproszenia brakuje, to wówczas wchodzenie Kościoła w mediację mija się z celem. Łatwo mogą się wtedy pojawić głosy, że Kościół się narzuca nieproszony. Kościół nie wkracza w meritum progra-

mów politycznych, chyba że mają one związek z religią lub moralnością.

Chociaż polska demokracja winna radzić sobie sama z politycznymi kryzysami, to jednak – w celu zapobiegania i łagodzenia możliwych konfliktów – do świadczenia Kościoła może być użyteczne dla państwa.

Tyle że tworzenie wrażenia stanu ciągłej nienormalności staje się sposobem działania opozycji. Słyszymy porównania do stanu wojennego, byle drobiazg urasta do rangi końca demokracji. Powracają wezwania do założenia Majdanu. To normalne?

Przeprowadzanie zmian w kształcie państwa zawsze będzie związane z debatą i ze sporem. Czy jednak muszą one przyjmować aż tak gwałtowną postać? Według mnie tego rodzaju temperatura politycznego sporu jest niedopuszczalna, ponieważ staje się niebezpieczna dla

samego państwa, co nie zmienia faktu, że tak jest.

Święty Tomasz z Akwinu pisze, że „człowiek jest zobowiązany do posłuszeństwa władzom świeckim, w miarę jak tego wymaga porządek sprawiedliwości”. Różne mogą być konkretne przejawy realizacji tego prawa. Różne mogą być też cele, do których się dąży. Opór wobec władzy ma podkreślić znaczenie odmiennego postrzegania różnych spraw, zarówno wtedy, gdy dąży się do przeprowadzenia częściowych zmian, np. przez wniesienie poprawek do niektórych ustaw, jak i wtedy, gdy walczy się o radykalną zmianę sytuacji.

Nauka społeczna wskazuje kryteria korzystania z prawa do oporu. Zachęcanie do przemocy i przemoc są uzasadnione tylko nadzwyczaj wyjątkowo, gdy występują równocześnie następujące warunki: w przypadku pewnych,



FOT. KRISTIAN IM/FORMA

Im więcej osób po obu stronach włącza się z ogniem w oczach w spory, tym mniej jest osób, które mogą studzić nastroje?

Trudno mi czasem uniknąć wrażenia, że zamiarem partii jest podgrzać nastroje, aby doszło do totalnej polaryzacji. I wtedy niemożliwa staje się wymiana poglądów. Człowiek zasklepia się w swojej wizji świata, szczelnie zamknięty na innych. Jest to zjawisko niezwykle groźne i niszczące debatę publiczną. Niestety, łatwo je osiągnąć, ponieważ ludźmi rządzą często zachowania stadne. Postępowanie osoby jest w pełni ludzkie, gdy rodzi się z miłości, ukazuje miłość i miłością się rządzi.

Widomą oznaką tej polaryzacji jest fakt, że siedem lat po Smoleńsku na Krakowskim Przedmieściu nie powstał jeszcze ani pomnik 96 ofiar tragedii z 2010 r., ani monument prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Czy powinien on powstać teraz, do ósmej rocznicy tragedii, jak chce Jarosław Kaczyński, czy – tak jak chce opozycja – należy jeszcze poczekać?

Pomniki wywołują nieraz ostre konflikty. W Poznaniu trwa z jednej strony akcja na rzecz odbudowy pomnika Serca Jezusowego, który zburzyli Niemcy w 1939 r., a z drugiej strony akcja mniejszości przeciwko jego odbudowie.

Z pewnością pomnik musi mieć godne miejsce. W Poznaniu pojawiły się pomysły, aby monument Chrystusa Króla wypchnąć na peryferia miasta, tak aby nie miał żadnego znaczenia.

W przypadku sporu o pomnik w Warszawie zauważam pewne analogie. Z jednej strony mamy słuszny postulat uczczenia prezydenta Lecha Kaczyńskiego i zmarłych w katastrofie smoleńskiej. Z drugiej strony – usiłowanie marginalizacji całej tej sprawy. Dla uczczenia tych postaci powinno zostać wybrane godne miejsce.

Na Krakowskim Przedmieściu?

Powtarzam: chodzi o godne miejsce. Rozumiem postulat uczczenia zmarłego prezydenta gdzieś w centrum Warszawy. Byłem niedawno w Siedlcach i widziałem jego pomnik w centrum miasta. Dlaczego nie może być tak w jego mieście?

A jak ocenia Wasza Ekscelencja decyzję o ekshumacji ofiar Smoleńska. Gdy się zaczynały, bp Tadeusz Pieronek głosił, że ich jedynym powodem są cele polityczne. Czy dziś spojrzenie powinno być bardziej znuansowane?

Wyniki badań wykazały przy pochówkach efekty bałaganu i nieprawidłowości. Czy ze strony rosyjskiej miał to być jakiś

element upokorzenia i pokazania tego, „kto tu rządzi”, czy był to raczej „zwyczajny” sposób postępowania w tego rodzaju sprawach, wynikający z braku szacunku dla podmiotowości człowieka, tego nie wiem. Być może dla nich bałagan z wartością trumien oznacza coś zupełnie innego niż dla nas.

No tak, ale dlaczego strona polska nie wygęzowała wtedy poszanowania dla zwłok?

To dyletantstwo wyszło jeszcze bardziej na jaw w zestawieniu z postępowaniem po katastrofie samolotu malezyjskiego nad Ukrainą. A być może jest to również przejaw uniżoności strony polskiej wobec strony rosyjskiej, a także pragnienie zakończenia sprawy jak najszybciej.

Jarosław Kaczyński zapowiedział koniec miesięcznic smoleńskich w kwietniu 2018 r. Czy trwały za długo?

Najdłuższa żałoba znana w Piśmie Świętym trwała miesiąc. Pamięć o zmarłych obchodzimy jednakże dzisiaj także w przypadku odległych rocznic.

Myślę, że pan Jarosław Kaczyński podjął rozsądną decyzję, ogłaszając, że 96. miesięcznica będzie ostatnią. Wszystko to nie zmienia konieczności nagany faktu blokowania miesięcznic i nieszanowania żałoby innych ludzi.

Arcybiskup Marek Jędraszewski porównał blokowanie miesięcznic do esbeckich akcji przeciw księżom.

Wszędzie – czy to w Sejmie, czy na ulicy – obowiązuje nas kultura. Wszyscy podlegają temu samemu prawu i dlatego blokowanie legalnej demonstracji jest zawsze rzeczą naganną.

W dodatku, gdy mamy taką sytuację, w której – jak powiadają – część organizacji realizujących takie ekscesy czerpie pieniądze z obcych, pozapolskich źródeł, wówczas można się zastanawiać nad tym, na ile powinno to być prawnie dopuszczalne.

Zazwyczaj uznaje się, że takie ośrodki władzy jak rząd czy parlament i ich siła oddziaływania z definicji są dużo silniejsze niż organizacje pozarządowe czy media. Tymczasem te ośrodki w dzisiejszej demokracji bywają znacznie słabsze niż rządy.

Tak jest istotnie. Zazwyczaj zakładamy, że w takich sporach organizacje pozarządowe są słabe i bezbronne wobec wszechpotężnego państwa. Tymczasem dzisiaj często jest odwrotnie. NGO-sy

poważnych i długotrwałych naruszeń podstawowych praw; po wyczerpaniu wszystkich innych środków; jeśli nie spowoduje to większego zamętu; jeśli istnieje uzasadniona nadzieja powodzenia; jeśli nie można rozumnie przewidzieć lepszych rozwiązań.

Gdy rządziła poprzednia koalicja, prawdopodobnie i ona odczuwała protesty PiS jako naciski.

Nie było jednak prób okupowania sali Sejmu przez PiS...

Tego rodzaju zachowania znane są od starożytności z rzymskiego senatu. Problem jest dawny, a mianowicie brak panowania nad emocjami. Od parlamentarzysty można oczekiwać większej kultury. Ponadto większość naszych parlamentarzystów jest ochrzczona, a chrześcijanin obowiązuje budowanie kultury politycznej inspirowanej Ewangelią.

bywają sporą siłą międzynarodową i w konfliktach z państwami stają na bardzo mocnej pozycji.

Odwoływanie się do sił zewnętrznych, niemożność załatwienia spornych spraw w gronie Polaków dowodzą słabości naszej demokracji. Zbyt łatwo godzimy się na to, by w polskich sporach arbitrem był czynnik zewnętrzny. To bardzo niepokojąca tendencja, która kiedyś sprowadzała zewnętrzne interwencje w polskie sprawy i przyspieszała rozbiory.

A gdzie powinien być rozsądny punkt między chęcią dobrych relacji z Unią Europejską a prawem do samodzielnego rozwiązywania swoich spraw?

Wysłuchiwać się trzeba w głosy wszystkich, a przede wszystkim w rzeczowe argumenty. Trzeba pytać samego siebie, czy w argumentach przeciwnej strony nie ma jakiegoś ziarna prawdy.

Natomiast akceptowanie interwencjonizmu zewnętrznego jako stałej zasady źle rokuje na przyszłość. Interes Unii nie zawsze musi się pokrywać z interesem poszczególnych krajów unijnych, co również Unia musi brać pod uwagę.

wolno mówić, że skoro dokonano się pojednanie moralne, to do kwestii reparacji materialnych nie ma już co wracać. Inna bowiem jest pozycja zaatakowanej ofiary, a inna agresora.

Wielu wiernych czuje się zagubionych wobec dyskusji, jak reagować na przybycie fali przybyszów z Azji i Afryki do Europy oraz jak podchodzić do żądań Komisji Europejskiej rozdzielać przybyszy między różne kraje unijne. Czy można stosować inne kryteria wobec imigrantów, a inne wobec uchodźców? Zwolennicy przyjmowania przybyszów z krajów Trzeciego Świata wskazują, że papież Franciszek w tweetach wzywa do przyjmowania jednych i drugich.

To bardzo skomplikowane i szerokie zagadnienie. W Kościele katolickim odwołujemy się w tym względzie do przepowiadania papieskiego oraz nauczania Papieskiej Rady do spraw Duszpasterstwa Migrantów i Podróżujących. Nauczanie papieskie jest znane.

Dokumenty rady podkreślają wyraźnie różnice między uchodźcami a imigrantami. W prawie międzynarodowym jest jasno określone, kto jest imigrantem, a kto uchodźcą. Jeśli dobrze pamiętam, to musi

też ma swoje prawa. Jeszcze w 2012 r. papież Benedykt XVI w swoim dokumencie na Światowy Dzień Migrantów bardzo wyraźnie wskazał, że państwa w przyjmowaniu migrantów winny kierować się zasadą dobra wspólnego. Winny mieć prawo do swobodnej oceny, czy przyjęcie imigrantów – nie uchodźców – jest działaniem na rzecz dobra wspólnego. Czy napływ ludzi z zewnątrz, którzy szukają nowego życia, nie zakłóci porządku u siebie? Czy pomnoży możliwości gospodarcze kraju, czy też raczej będzie źródłem konfliktów?

Czy czynnik zdolności asymilacyjnej imigranta może być brany pod uwagę?

W nauczaniu Kościoła jest mowa o tym, że człowiek, który przybył do obcego kraju, powinien wejść na drogę asymilacji, sam się na tę asymilację godzić, a jednocześnie dostać szansę na asymilację. Zgodne współżycie społeczne jest bowiem możliwe tylko pod warunkiem, że imigrant szanuje prawa i godziwe zasady panujące w kraju, który udzielił mu gościny. Nie oznacza to wcale, że imigrant winien tracić swoją tożsamość, musi jednak koniecznie wziąć pod uwagę wymogi życia wspólnego obowiązujące w tym kraju.

A co, gdy np. we Francji arabscy potomkowie przybyszy z Algierii gwiżdżą, słysząc, jak odgrywa na jest „Marsylianka”?

Jest to dowodem braku asymilacji. Ci młodzi nie przeszli procesu asymilacji w sposób pozytywny, tzn. taki, który nauczyłby ich szacunku wobec kraju, który ich przyjął i w którym się urodzili.

A jak Wasza Ekscelencja ocenia politykę obecnego rządu w sprawie uchodźców?

Jak już wskazywałem, nauczanie Kościoła daje państwu prawo do decyzji i regulacji skali przyjmowania imigrantów. Czym innym jest sprawa uchodźców. Tutaj bowiem nie chodzi o polepszenie sytuacji ekonomicznej, lecz o zagrożenie życia.

Stoimy jednak na stanowisku, że należy stworzyć korytarze humanitarne dla najbardziej poszkodowanych z krajów ogarniętych wojną. U nas na razie ta idea nie doczekała się jeszcze szczególnego rozwiązania, ale wierzę, że zostanie ona rozwiązana. Jeśli tylko się da, to nie należy odrywać ludzi od ich ojczyzny i warto pomagać im na miejscu.

Nauczanie Kościoła daje państwu prawo do decyzji i regulacji skali przyjmowania imigrantów

Sondaże pokazują, że większość Polaków uważa, iż Polska w niesprawiedliwy sposób nie otrzymała odszkodowań od Niemiec. Przeciwnicy takich opinii twierdzą, że postulat odszkodowań za zniszczenie Polski i mordy III Rzeszy to niweczenie dzieła pojednania z RFN zapoczątkowanego listem biskupów w 1965 r. A jaka jest opinia księcia arcybiskupa?

Przeciwnicy reparacji mówią, że gdyby trzymać się sztywno zasady odszkodowań, to wtedy Niemcy powinny otrzymać reparacje od Szwecji za zniszczenia z wojny trzydziestoletniej z XVII w., kiedy to zginęło 8 mln Niemców.

Myślę jednak, że sprawiedliwość domaga się reparacji, tak jak ona została przeprowadzona we wzorcowy sposób między Niemcami a Izraelem.

No, ale wojny Gustawa Adolfa były blisko 400 lat temu, a ofiary zbrodni niemieckich jeszcze żyją.

Nie orientuję się, czy Polska otrzymała odszkodowania i w jakiej wysokości. Nie należy natomiast mieszać moralnego i materialnego wymiaru pojednania. Nie

być spełnionych kilka warunków, aby zostać uznanym za uchodźcę, m.in. bezpośrednie zagrożenie dla życia i zdrowia. Nie można też być uchodźcą w dwóch różnych krajach – tylko w jednym.

Imigrant to z kolei człowiek, który chce polepszenia swojej sytuacji ekonomicznej albo psychicznej. Podstawowym prawem człowieka jest prawo do rozwoju w swoim rodzinnym kraju. Czasami bowiem tworzy się takie sytuacje, w których człowiek wypychany jest z ojczyzny, nawet gdy tego nie chce.

Dopiero gdy godny żywot w ojczyźnie jest niemożliwy, wtedy na plan pierwszy wysuwa się prawo do migracji. Jeżeli człowiek nie ma szans, by zapewnić w swoim kraju środki do utrzymania rodziny, jeśli nie może rozwijać się tak, jak powinien, to wtedy ma prawo do migracji.

Czy przyjęcie migranta obowiązuje w sposób bezwarunkowy?

Oczywiście, że nie. Państwo, które podejmuje decyzję o przyjęciu imigranta,

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017



*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest
godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



V EDYCJA

PATRONAT HONOROWY



RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Marszałek Sejmu Marek Kuchciński

PARTNERZY STRATEGICZNI:



PARTNER GŁÓWNY:



PARTNER WYDARZENIA:



MECENAS:



WIĘCEJ INFORMACJI NA
www.dorzeczy.pl/straznik-pamieci/
eprasa.pl dd796f7777





Tomasz P. Terlikowski

Chrześcijaństwo nie jest ani nigdy nie było pacyfistyczne. Koncepcja wojny sprawiedliwej jest trwale wpisana nie tylko w katolicką teologię moralną

Kolejne zamachy, tym razem w Barcelonie, uświadamiają, że radykalny islamizm – niezależnie od tego, jak zdefiniować to, co nim jest i kto za tym wszystkim stoi – wypowiedział wojnę Europie. Terror nie jest bowiem celem islamistów, im nie chodzi tylko o to, by zastraszyć Europejczyków i wywołać ich obawy przed imigrantami czy skłonić do rezygnacji z zachodniego stylu życia (jak to niekiedy twierdzą, szczególnie zachodni, komentatorzy), ale o to, by posługując się terrorem, osłabić ducha Starego Kontynentu i ostatecznie – w wielu miejscach ponownie – go podbić.

WOJOWNICZE DNA ISLAMU

Terror jest jednym ze środków, obok masowej imigracji i akcji „misyjnej”, które mają sprawić, że Europa stanie się islamska, a nad bazyliką św. Piotra zawisnie „flaga Proroka”. Islamscy propagandziści wcale tego zresztą nie ukrywają. W propagandowych magazynach tzw. Państwa Islamskiego (które jest tylko jedną z głów hydry światowego islamizmu) już w roku 2015 przedstawiano nową mapę Europy na rok 2020, na której częścią kalifatu ma być nie tylko cały Bliski Wschód, lecz także Afryka Północna (aż do granic Konga, Gabonu i Tanzanii), Indie, spora część Chin, a także – co szczególnie ważne z perspektywy Europy – Portugalia i Hiszpania, Grecja, Serbia, Słowenia, Chorwacja, Węgry, Słowacja, a nawet część Austrii. Jednym słowem – wszystkie te ziemie, które kiedykolwiek, choćby przez chwilę, pozostawały pod panowaniem islamskich władców. Oczywiście „projekt” ten jest tylko częścią propagandy, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie spodziewa się chyba tego, że tak szybko uda się zrealizować takie plany. Jednak masowy napływ imigrantów już teraz zachwiał stabilnością wielu krajów, a za kilka lat może sprawić, że – na co proroczo wskazywał, i to już na początku XXI w., Walter Laqueur w książce „Ostatnie dni Europy. Epitafium dla Starego Konty-



Kto wie, jak wyglądałaby Europa, gdyby Jan III Sobieski nie zatrzymał wielkiego marszu mużulmanów na Wiedeń

FOT. WIKIPEDIA

Sprawiedliwa wojna z islamizmem?

nentu” – „warunki w Europie mogą stać się podobne do tych, jakie panują w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie”.

Czas, by Europejczycy, w tym także Polacy, zdali sobie z tego sprawę. By przestali mieć się bajkami o rzekomo pokojowej naturze islamu i rzekomo bezbronnym mużulmanach, którzy od wieków musieli zmagać się z okrucieństwem chrześcijańskich najeźdźców. W DNA islamu wpisane są bowiem przemoc, wojna, zdobycze. Wojownikiem (i to niekiedy okrutnym) był Mahomet, a jego pierwsi uczniowie oraz następcy ze zdobyczy terytorialnych uczynili fundament nowej wspólnoty politycznej i religijnej. Był to czas – i to jeszcze za życia Mahometa – nieustannych podbojów, brutalnych wojen, zrad oraz oszustw, które podporządkowane były jednemu celowi: zdobywaniu kolejnych ziem. Motywowany religijnie marsz był

błyskawiczny i w ciągu kilku wieków islam opanował nie tylko kraje arabskie, lecz także Afrykę Północną, niemalą część Azji i znaczący obszar Europy. Mużulmański blitzkrieg był i nadal jest, przynajmniej dla wierzących mużulmanów, jednym z dowodów na prawdziwość ich religii. Chociaż nie jest to jedyna religia, pod której sztandarami prowadzono wojny, to jest prawdopodobnie jedyną, która z prowadzenia wojny uczyniła nie tylko znak rozpoznawczy, lecz także gwarancję sukcesu, i uznała ją za istotny element własnej doktryny.

„Święta wojna”, dżihad, obowiązek prowadzenia polityki wyrastającej z prostej plemiennej ekspansywności – to wszystko leżało u podstaw wielkiego sukcesu mużulmanów. „Od najdawniejszych czasów wśród mieszkańców pustyni Półwyspu Arabskiego istniała tendencja do ekspansji na zewnątrz, ku miejscom, gdzie warunki

życia były dogodniejsze dla ludzi. Tak się działo od tysiącleci i ekspansja Arabów w VII w. była jedynie logiczną kontynuacją odwiecznego parcia na zewnątrz. Tej tendencji sprzyjał sposób życia Beduinów, polegający na nieustannej walce i ekspansji kosztem innych. Był to element ideologii plemiennej, wyrażającej się w ideologii gazwu: regularnego zdobywania środków przez atakowanie niesprzymierzonych ludzi i grup, a następnie zabierania ich własności dla siebie” – wskazuje arabista prof. Janusz Danecki w „Podstawowych wiadomościach o islamie”. Ta plemienna tradycja nieustannej beduińskiej agresji przybrała właśnie w islamie formę religijną. „W islamie plemienna tradycja gazwu przekształciła się w nowe zasady: ogólną zwaną džihad oraz szczegółową określaną mianem qital. Miały one decydujące znaczenie dla utrzymania i rozwinięcia ekspansyjności Arabów. Stanowią one adaptację i rozwinięcie prostej idei plemiennej ekspansyjności oraz przystosowanie jej do nowych potrzeb” – wskazywał Danecki, którego naprawdę trudno posądzić o niechęć do islamu. Plemienna ekspansyjność, agresja skierowana na zewnątrz uzyskały więc religijną sankcję. Do czasów współczesnych nic się nie zmieniło. Ekspansja jest wpisana w islam, a jako że w ostatnich dziesięcioleciach jego wyznawcy wyraźnie się przebudzili, można być pewnym, iż będą oni próbowali zrealizować kolejny etap podbojów. Europa (obok środkowej Afryki) zajmuje czołowe miejsce w tym planie.

Niebezpiecznym złudzeniem jest przy tym wiara w to, że islam może się zmienić. Pragnienie podporządkowania, także za metodami militarnymi, całej ziemi to istotny element Koranu. „Żaden odłam islamu nigdy nie zaprzeczył twierdzeniu, że prawo islamskie musi zapanować na całym świecie, a sami mużulmanie muszą w określonych okolicznościach chwycić za broń, ani tego twierdzenia nie odrzucił. Po roku 1683 zaprzestali oni zbrojnych napaści na szerszą skalę – nie dlatego, że zreformowali lub odrzucili doktryny, które ich do tego zachęcały, lecz dlatego, że świat islamski stał się zbyt słaby, by dalej prowadzić džihad z takim rozmachem” – wskazuje Robert Spencer w „Niepoprawnym politycznie przewodniku po islamie i krucjatach”.

Dla chrześcijan, którzy znają historię własnej religii, zagrożenie islamskie nie jest niczym nowym. Wojowniczy islam zmiotł z powierzchni ziemi całe chrześcijańskie wspólnoty, a inne uczynił – we własnych

krajach – prześladowanymi mniejszościami (czego świadomość mają egipcjanie Kopowie czy chrześcijanie chaldejscy w Syrii i Iraku). Europa także doświadczyła już „pokojowej” natury islamu, gdy przez wieki mużulmanie niszczyli chrześcijańskie ludy Grecji, Bułgarii, Serbii czy gdy podbijali Hiszpanię i Portugalie. I kto wie, jak wyglądałaby Europa, gdyby Jan III Sobieski nie zatrzymał ostatniego wielkiego marszu mużulmanów na Wiedeń?

Duch krucjat i rekonkwisty, który ukształtował wiele katolickich duchowości (by wspomnieć pierwotnego ducha karmelitów, których założyciele byli właśnie rycerzami przybyłymi do Ziemi Świętej, by walczyć z mużulmanami o prawo do pielgrzymowania chrześcijan do grobu Jezusa), pozostaje nie tylko historycznym elementem naszej tożsamości. A przypominają o tym nie tylko ci z myślicieli średniowiecznych, których utożsamiamy z wojowniczością (by wymienić tu wielkiego piewce krucjat św. Bernarda z Clairvaux), lecz także ci, których współczesność pozbawiła zębów i uczyniła z nich pierwszych pacyfistów. Święty Franciszek (bo o nim mowa) trafił do Ziemi Świętej podczas V krucjaty i właśnie tam, przed sułtanem, wygłosił wielką apologię krucjat. „Dlatego właśnie chrześcijanie postępują słusznie, kiedy zajmują wasze ziemie i walczą z wami, wy bowiem bezceście imię Chrystusa i staracie się oddalić od religii tyłu, ilu tylko możecie. Gdybyście jednak chcieli poznać i czcić Stwórcę i Odkupiciela świata, kochalibyśmy was jak siebie samych!” – mówił wówczas św. Franciszek.

WOJNA SPRAWIEDLIWA

Krucjaty zresztą (o rekonkwisie nie wspominając) były w istocie wojną obronną, a nie agresją. Papież wezwał bowiem do walki w imię nie zdobywcy terytorialnych, lecz umożliwienia pielgrzymom dostępu do Ziemi Świętej. I nawet jeśli intencje części zdobywców były odmienne, to w istocie królestwa krzyżowców powstały właśnie po to, by zapewnić pokój tamtym ziemiom i uchronić chrześcijan przed nieustannymi atakami agresywnych mużulmanów. Krucjaty były więc „wojną sprawiedliwą”, obroną niewinnych przed atakami. Nie inaczej było z rekonkwistą czy odsieczą wiedeńską Jana III Sobieskiego. Obrona Europy przed obecną „inwazją” islamu (wspieraną przez znaczącą część środowisk lewicowych), próbą zniszczenia struktury społecznej i terroryzmem także powinna być tak traktowana.

Wcale nie jest to takie proste – na co wskazywał już w 2003 r. w eseju „Moral Clarity in a Time of War” George Weigel – bo islamizm nie tworzy jasnych ram państwowych (a to właśnie państwo w klasycznym myśleniu o wojnie sprawiedliwej powinno być podmiotem, przed którym się bronimy). Jakby tego było mało – o czym Weigel już nie pisze – bardzo trudno jest jasno wskazać, kto w tej wojnie stanowi „armię” (z którą walczyć należy), a kto jest niewinnymi cywilami (których życie powinno być chronione), bo granice między cywilami, zapleczem dla terrorystów i samymi terrorystami są – niestety – nieostre. Problematyczne pozostaje także mocne założenie, że wojna sprawiedliwa powinna być wojną obronną i toczyć się na własnym terenie. Atak uprzedzający bowiem, na co wskazuje Weigel, np. na kraj posiadający broń masowego rażenia (a w tamtym kontekście tekst ten był, niewątpliwie także motywowanym politycznie, sposobem usprawiedliwiania ataku na Irak) może także być w istocie skuteczną i usprawiedliwioną metodą prowadzenia wojny sprawiedliwej (pomijam tu, czy rzeczywiście wojna w Iraku czy Afganistanie taką wojną była).

I podobnie jak wojnę sprawiedliwą (toczoną w różny sposób, nie tylko przy użyciu środków wojskowych czy policyjnych) można oraz należy traktować obronę państw europejskich przed infiltracją islamistyczną, deportację czy obronę granic przed nielegalnymi imigrantami wspieranymi przez lewackie organizacje. Państwa mają prawo nie wpuszczać na swój teren uchodźców, mają prawo dokonywać deportacji nielegalnych imigrantów i wreszcie mają prawo stosować przemoc wobec tych, którzy nie chcą i nie potrafią dostosować się do reguł społeczeństwa, w którym żyją. I to wszystko nie jest jeszcze wojną sprawiedliwą, lecz jedynie realizacją obowiązku państwa, jakim jest zapewnienie bezpieczeństwa obywatelom. W szczególnych sytuacjach jednak liderzy państw czy organizacji międzynarodowych mają prawo do prowadzenia działań militarnych, by zapewnić bezpieczeństwo swoim społeczeństwom. Czy to już moment, by po takie środki sięgnąć, to zupełnie inna kwestia. Nie ulega jednak wątpliwości, że zaprzestanie działań na rzecz obrony własnego narodu przed zagrożeniem czy świadome ściąganie na niego zagrożenia pozostaje złem moralnym. Nie jest nim natomiast wojna sprawiedliwa ani stosowanie przemocy przez państwo, by obywatele bronić.

Gdy przed rozbiorami I Rzeczypospolitej sąsiadujące z nią monarchie absolutne umacniały swoje geopolityczne pozycje, pod jej adresem płynęły z Petersburga i Berlina zarzuty, że jest źródłem chaosu i niestabilności w środku Europy. A jeszcze w okresie oświecenia dochodziła kwestia religijnej i światopoglądowej tolerancji. Katolicka Polska musiała odpierać oskarżenia o to, że nie chroni praw innowierców.

Czarny PR nie oszczędził w związku z tym konfederacji barskiej. Do dziś można przeczytać i usłyszeć, że oprócz przeciwstawiania się rosyjskim zakusom na niepodległość Rzeczypospolitej broniła ona zgubnych dla Polski przeżytków ustrojowych (takich jak liberum veto) oraz fanatyzmu religijnego.

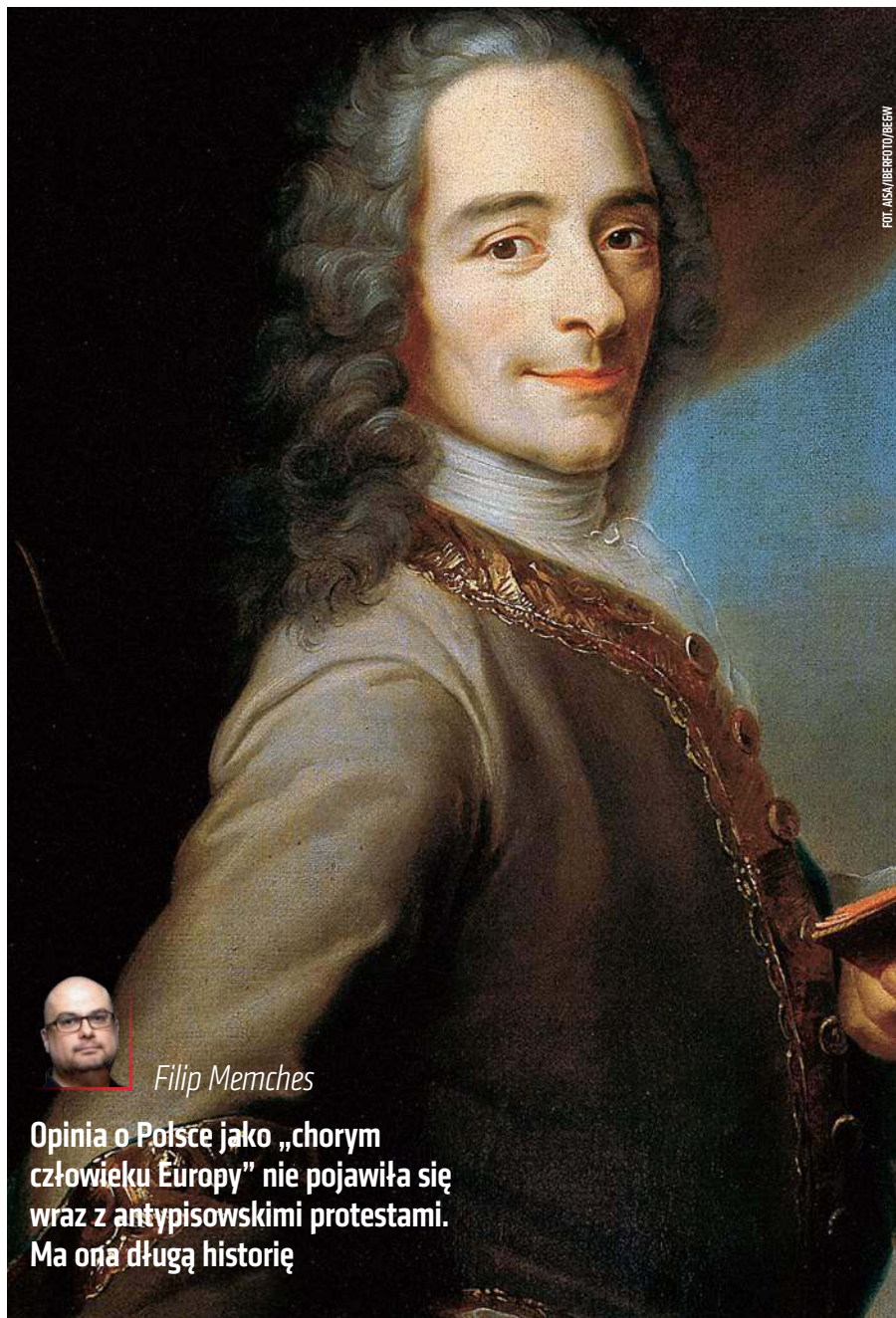
NA ZLECENIE CARYCY

O tym, że takie przekazy dnia serwowali już przyszli zaborcy, dowiadujemy się choćby z wydanych niedawno „Pism przeciw Polakom”. Książka zawiera teksty François-Marie Aroueta – znanego bardziej pod pseudonimem Voltaire (Wolter) – które powstały na zamówienie Katarzyny II Wielkiej. Carycy rosyjskiej zależało na zohydzeniu w oczach Europejczyków konfederacji barskiej, a czołowy francuski filozof wieku rozumu tego zadania się podjął.

Wyboru tekstów, które złożyły się na „Pisma przeciw Polakom”, dokonał romanista, badacz oświecenia prof. Marian Skrzypek. On też przełożył je z francuskiego. W ten sposób do rąk czytelników trafiło ważne świadectwo epoki, w której dzieje I Rzeczypospolitej dobiegały kresu.

Błędem byłoby jednak traktowanie tej pozycji wyłącznie jako źródła wiedzy o wydarzeniach sprzed blisko 250 lat. Voltaire’a można bowiem postrzegać jako archetyp zachodniego intelektualisty – kogoś, kto i teraz z troską pochyla się nad zagrożeniami czyhającymi – rzekomo czy naprawdę – na demokrację oraz wolność w Polsce. Oczywiście francuski myśliciel nie miał takich narzędzi antypisowskiej propagandy, jakimi dziś są „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, „Le Monde” czy „The New York Times”, niemniej – jak na nieprzeciętny umysł przystało – radził sobie sprawnie i skutecznie.

Pozornie działalność Voltaire’a kojarzy się z tym, co na Zachodzie robią użyteczni idioci Kremla, a nie lewicowo-liberalne autorytety, które straszą świat



Filip Memches

Opinia o Polsce jako „chorym człowieku Europy” nie pojawiła się wraz z antypisowskimi protestami. Ma ona długą historię

Ideolog antypolonizmu

Władimirem Putinem. To jednak m.in. dlatego, że w XVIII w. państwo rosyjskie inspirowało się oświeceniem, a nie – tak jak w tej chwili – aspirowało do roli lidera konserwatywnej międzynarodówki.

TWÓRCZOŚĆ SOWICIE WYNAGRADZANA

Kontakty Voltaire'a z Katarzyną II przypadły na początek jej panowania. Caryca zaprosiła filozofa do Petersburga w 1763 r. I choć Francuz w podróż się nie wybrał, to za pośrednictwem rosyjskich dyplomatów przyjmował od „Semiramidy Północy” zlecenia na pamflety.

Jeśli fakty były kompromitujące dla Katarzyny II, Voltaire odwracał kota ogonem. Tak było choćby w sprawie okoliczności, w których księżniczka ze Szczecina sięgnęła po władzę w Rosji. A zrobiła to, nasławszy morderców na swojego męża – cara Piotra III. Voltaire jednak – jak twierdzi, powołując się na

jego listy, prof. Skrzypek – nie przyjmował tego faktu do wiadomości. Używał argumentów w rodzaju: „Wiem, że zarzucają jej jakieś bagatelki odnośnie do jej męża, ale ja do spraw rodzinnych nie lubię się wtrącać”.

Nie ma się jednak filozofowi co dziwić – za swoją twórczość, za swoją niezłomną walkę m.in. z polskim „ciemnogrodem” był przecież przez Katarzynę II suto wynagradzany. Konflikt Stanisława Augusta Poniatowskiego i wspierających go wojsk rosyjskich z konfederacją barską Voltaire sprowadzał do starcia między orędownikami tolerancji a katolickimi fanatykami. Dlatego myśliciel próbował przekonać także samych Polaków, że warto poświęcić wolność w zamian za pokój religijny i społeczny w Rzeczypospolitej.

Tymczasem prof. Skrzypek polemizuje z historycznymi stereotypami dotyczącymi konfederacji barskiej. Z uwag romanisty wyłania się następujący jej obraz: nie była ona elitarystycznym ruchem broniącym przywilejów szlachty i stawiającym opór reformom. Łączyła ona gorący katolicyzm i żarliwy patriotyzm z ideaми republikańskimi. Mało tego, z upływem czasu rosła w niej rola plebejuszy.

Z teraźniejszej perspektywy pikanterii tekstem Voltaire'a dodają argumenty, które na przełomie XIX i XX w. brzmiałyby tak, jakby ich autor chciał wśród Polaków roz-

niecić antyklerykalizm za pośrednictwem obecnych wśród nich nacjonalistycznych emocji i antysemitycznych resentymentów.

I tak w „Mowie do katolickich konfederatów z Kamieńca [sic!] w Polsce, wygłoszonej przez majora Kaiserlinga, pozostającego na służbie u króla Prus” z roku 1768 czytamy: „Rzym leży daleko; jest bogaty, a wy jesteście ubodzy; więc posyłajcie tam ostatnie grosze, jakie wam zostały, w postaci weksli wystawionych przez Żydów. Ogałajcie się na rzecz Rzymu. Sprzedajcie futra, aby zakupić prezenty dla Matki Boskiej Loretańskiej, znajdującej się dalej niż piętnaście tysięcy mil od Kamieńca. Nie zatapiajcie jednak okolic Kamieńca we krwi waszych rodaków. Mogę bowiem was zapewnić, że Matka Boska, która onegdaj przybyła z Jerozolimy drogą powietrzną na rynek Ankony, nie odpuści wam nigdy grzechu spustoszenia ojczyzny”.

Błyskotliwy ironista z Francji chciał zatem swoim polskim czytelnikom wbić do głów, że Rzeczpospolita powinna być dla nich ważniejsza niż Rzym, a w kwestiach religijnych i światopoglądowych nie warto kruszyć kopii, bo wiara w Boga to osobista sprawa jednostki bez jakichkolwiek konsekwencji społecznych.

Przypomina się w tym miejscu debata, która w roku 2010 odbyła się w Fundacji Batorego. Profesor Magdalena Środa stwierdziła wtedy, że sprzeciw polskich katolików (w tym przypadku chodziło konkretnie o Jarosława Gowina) wobec prawa do in vitro oznacza, iż bliższe są im interesy Watykanu niż przyrost naturalny społeczeństwa polskiego.

MENTOR ROZUMIEJĄCY ROSJĘ

Voltaire mógłby dziś być dla europejskiej opinii publicznej znaczącym lewicowo-liberalnym mentorem – tyle że „rozumiejącym Rosję” („Russland-Versteher”). Wskazywałby on, że owszem, Kreml używa retoryki konserwatywnej, oporny jest na postulaty ruchów LGBTQ, ale jednak strzeże świeckości państwa przed naciskami prawosławnej Cerkwi i np. nie pozwala jej narzucić sobie rozwiązań, które oznaczałyby prawny zakaz aborcji.

Na celowniku filozofa znalazłaby się natomiast PiS-owska Polska jako modelowy wykwit katolickiego klerykalizmu –

tak jak 250 lat wcześniej znalazła się konfederacja barska. Voltaire powielaby w zachodniej prasie kłamstwa na temat sytuacji nad Wisłą – dezinformowałaby o pałowaniu opozycjonistów przez policję, o panoszeniu się na szczytach władzy politycznej katolickich biskupów, o „piekle kobiet” itd. Gdyby przyszło mu jednak komentować rzeczywistość wcześniej, ot, choćby w roku 2010, zachwycałby się współpracą rządu Donalda Tuska z władzami rosyjskimi i odsunięciem od wpływu na państwo PiS-owskich „ruso-fobów”. Konstatowałaby, że to wspaniale, iż dzięki PO Polska nie jest zawalidroga między Zachodem a Rosją.

FAKE NEWS Z PRZESZŁOŚCI

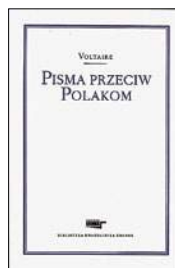
Z pewnością Voltaire wiedziałaby, jak posługiwać się fake newsami i postprawdami. W swoich pismach podszywał się przecież a to pod pastora ewangelickiego, a to pod popa prawosławnego, a to – tak jak w cytowanym wyżej fragmencie „Mowy do katolickich konfederatów...” – pod oficera armii pruskiej.

„Alarm dla królów” z roku 1772 zaczyna się od zdania, które dziś mogłoby być gorącym tweetem: „Europą wstrząsnął mord na królu Polski [Stanisławie Augustie – przyp. F.M.]”. Dalej autor już w ogóle tej dezinformacji nie wyjaśnia. Próžno szukać w tekście czegokolwiek o tym, jak było naprawdę – że konfederaci barscy nie chcieli monarchy zabijać, ponieważ ich zamiarem było zmuszenie go do abdykacji, co im się zresztą nie udało.

Kiedy stawką jest polityczna kontrola nad dużym państwem w środku Starego Kontynentu, fakty się nie liczą. Trzeba zdezawuować wroga jako siłę, która stanowi zagrożenie dla pokoju i tolerancji – dwóch podstawowych dogmatów lansowanej przez europejskie elity, i 250 lat temu, i obecnie świeckiej quasi-religii.

A jednak i w Polsce wciąż opiniotwórczą rolę odgrywają ludzie myślący o polityce międzynarodowej, o stosunkach między tronem a ołtarzem w kategoriach będących intelektualnym dziedzictwem Voltaire'a. Tym samym nie tylko odrzucają oni chrześcijaństwo, lecz także ulegają ideologii antypolonizmu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone
Autor jest publicystą Polskiego Radia 24.



VOLTAIRE
„PISMA PRZECIW
POLAKOM”
FUNDACJA
AUGUSTA
HRABIEGO
CIESZKOWSKIEGO,
WARSZAWA 2017



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Byle do Ligi Mistrzów

Wakacje się kończą, ciepłych wieczorów już nie ma. Po fali burz nadciągnie fala chandry. I znowu trzeba będzie odprowadzać dzieci na ósmą do szkoły.

U nas w domu ja odbieram, żona odprowadza. I już teraz jest przerażona 10 miesiącami wstawania o szóstej. Czeką ją więc trudne wejście w jesień. W ogóle zauważyłem, że kobiety gorzej przeżywają zakończenie lata. Mam teorię, dlaczego tak jest.

To głównie sprawa piłki nożnej. Oto bowiem dla pań koniec wakacji to przede wszystkim kres. Wypoczynku, lata, ładnej pogody, chodzenia z gołymi nogami. To taki mały koniec roku, więc poczucie upływu czasu i bezpowrotności najmielszych nawet scen jest szczególnie dojmujące. Nic tylko usiąść i pić wódkę. Czy raczej w przypadku kobiet – wytrawne wino.

My, samce, mamy lepiej. Dla większości z nas koniec wakacji jest zarazem początkiem. Owszem, kończą się czas grillowania i wypadu na ryby. Jednak zarazem zaczyna się sezon piłkarski. Nie dość, że w ogóle jesteśmy prostszymi istotami, które płynem z jednej butelki mogą umyć ciało i włosy, a przekimając potrafią się na kanapie z włączonym przez całą noc telewizorem, to jeszcze konstrukcja świata zaopatrzyła nas we wspianiały środek przeciwbólowy, łagodzący wszelkie chandry.

Oto bowiem już w środku lata zaczyna się liga polska, ale – umówmy się – to jedynie przystawka przyciągająca fanatyków na największym

głódzie. Prawdziwa uczta zaczyna się dokładnie wtedy, kiedy powinna, by wypełnić pustkę coraz chłodniejszych wieczorów. Rusza liga angielska, zaczynają grać w Hiszpanii, gwizdki rozlegają się we Włoszech i w Niemczech. A kiedy zaczyna być już naprawdę ponuro, nadchodzą mecze reprezentacji.

No i w końcu – po rozbudowanych eliminacjach, w których z reguły odpadają wszystkie polskie kluby – startują puchary. A przede wszystkim Liga Mistrzów. Już niebawem odbędą się losowania, drużyny zostaną podzielone na grupy, a my będziemy się głowić: Czy znowu Real Madryt? Czy Barcelona podniesie się po sprzedaży Neymara? Czy Robert Lewandowski wreszcie zdobędzie Puchar Europy z Bayernem? Czy Manchester United pod wodzą Mourinho odzyska wielkość z czasów sir Aleksa Fergusona? Czy kluby angielskie przełamają w końcu hegemonię Hiszpanów? Czy wielkie pieniądze uczynią w końcu z PSG wielki klub? I czy Stara Dama z Turynu znowu dojdzie do finału?

Na pytania te odpowiedzi będziemy zdobywać powolutku. Szczególne nagromadzenie ciekawych meczów będzie w marcu, kiedy powinniśmy wyć za wiosną, ale piłka nożna znowu zadziała znieczulająco. Aż wreszcie pod koniec maja dowiemy się, kto wygra Ligę Mistrzów. A wtedy już da się grillować i jeździć na ryby. I w ogóle do wakacji już tylko rzut beretem.

Faktycznie, faceci mają jednak łatwiej w życiu. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Autoknebel

Każdy, kto zna historię, wie, że większość rewolucji za dwa podstawowe postulaty uważała wolność słowa i zniesienie kary śmierci.

Inna sprawa, że już po krótkim okresie okazywało się, iż bez terroru ani rusz, no i oczywiście, nie może być wolności dla wrogów wolności.

Ideala postępu, jak wiadomo, w najdoskonalszym stopniu zrealizował Zachód, współcześnie zjednoczony w Unii Europejskiej, którego prymusem, pod każdym względem, jest Republika Federalna Niemiec. I choć to my albo Węgrzy bywamy chętnie sadzani na oślej ławce, jeśli chodzi o przestrzeganie zasad wolności demokracji, to jednak próżno by szukać w naszej części Europy równie potężnych represji skierowanych przeciw wolności słowa jak w Niemczech. Oto skazany zostaje na trzy i pół roku (co prawda w zawieszeniu) dzien-

nikarz Michael Stürzenberger za opublikowanie informacji ze zdjęciami (i w zgodzie z prawdą) o kontaktach Adolfa Hitlera z przywódcami islamu.

W sytuacji, kiedy od lat bezkarnie szerzone są nieprawdziwe informacje na temat nazistowskich uwikłań papieża Piusa XII, jest to

sytuacja dziwna. W dodatku zawieszenie wyroku może w każdej chwili zostać zdjęte, jeśli ktoś dopatry się w publikacjach dziennikarza antyislamskiej mowy nienawiści. Dla kogoś, kto prowadzi polityczny blog, praktycznie niemożliwia to uprawianie zawodu.

Oczywiście nikt z etatowych obrońców praw człowieka nie ujmie się za rzecznikiem prawdy represjonowanym przez oszałałą poprawność polityczną. Skazanych zresztą będzie więcej, coraz więcej. W miarę, jak na Zachodzie pojawiać się będą głosy zdrowego rozsądku, walka z nimi będzie się zaostrić. Paradoksem jest tylko, że kneblując takich ludzi jak Stürzenberger, odcina się kolejną szansę na dopływ tlenu do pogrążającego się w śpiączce organizmu.

A przecież nie uda się wyleczyć choroby przez zatajanie przed chorym faktu jej istnienia. Tyle że oficjalnie żadnej choroby nie ma! ©©

Nikt z etatowych obrońców praw człowieka nie ujmie się za rzecznikiem prawdy

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY! NAJCHĘTNIEJ CZYTANY MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY



DODATEK SPECJALNY

Najazd 17 września. Nieznana
sowiecka zbrodnia w Grodnie.



- Piotr Zychowicz – **Akcja „T4”**: dzieci w komorach gazowych
Tadeusz Nasierowski – **Zagłada polskich chorych**
Sławomir Cenckiewicz – **Jaruzelski, człowiek służb**
Marcin Bartnicki – **Czy O.J. Simpson zabił żonę**
Marian Słowiński – **Walczyłem na shermanie**
Peter Padfield – **Rudolf Hess został zamordowany?**
Mikołaj Iwanow – **Tajemnica marszałka Rokossowskiego**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Pod Dunkierką przeżyłem

**Z Garthem Wrightem,
weteranem Brytyjskiego
Korpusu Ekspedycyjnego
ewakuowanym
z Dunkierki**



rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: Wraz z kilkudziesięcioma ostatnimi weteranami był pan gościem honorowym na światowej premierze „Dunkierki”. Poleca pan ten film znajomym?

GARTH WRIGHT: Tak, to dobry film. „Dunkierka” daje pojęcie o tym, co przeżywalismy wtedy na francuskiej plaży, chociaż ja pewne sprawy zapamiętałem inaczej.

Na przykład?

Weźmy choćby kwestię osłony powietrznej. W „Dunkierce” pokazano angielskie myśliwce osłaniające naszych chłopców na plaży przed atakami Luftwaffe. Widać tam widowiskową walkę jeden na jeden, uwieńczoną zwycięstwem spitfire’a. Tymczasem ja ani razu nie widziałem, żeby nasze samoloty walczyły z Niemcami bezpośrednio nad nami. Widziałem czasem, jak przelatywały obok nas, być może leciały na misję poza naszymi liniami obrony. W każdym razie czekając na plaży na ewakuację na

drugą stronę kanału, byliśmy kompletnie wystawieni na ostrzał i bomby sztukasów oraz messerschmittów. Niebo nad Dunkierką należało do Niemców.

Właśnie to było najgorsze w czasie oczekiwania na ewakuację?

Tak. Naloty odbywały się co pół godziny. Można było na tej podstawie ustawiać zegarek. Zawsze pierwsze nadlatywały Me-109, potem pojawiały się sztukasy. Te ostatnie były najstraszniejsze. Siały terror tą swoją syreną, po dłuższym czasie siadały przez to ludziom nerwy. Przy takim zagęszczeniu niemieccy piloci nie mogli nie trafić. Całe wybrzeże Dunkierki było jednym wielkim słupem dymu, ponieważ pierwszym celem Niemców były zbiorniki z paliwem. Paliło się to przez tydzień.

Początkowo mieliście się jednak czym bronić – służył pan przecież w artylerii przeciwlotniczej.

Na początku mieliśmy do dyspozycji nasze armaty Bofors 40 mm, którymi wcześniej chroniliśmy lotnisko w Lille. Ja byłem kierowcą ciągnika. Jeździliśmy w tę i w tę po plaży, żeby nie stać w miejscu. Trwało to jakieś dwa dni. Potem przyszedł rozkaz, żeby zniszczyć naszą armatę, ponieważ zaraz będziemy się ewakuować. Zniszczyliśmy ją w ten sposób, że wyrzuciliśmy głęboko do

morza zamek. Niemcy na pewno nie skorzystali potem z naszego boforsu.

Udało się coś w tym czasie zestrzelić?

Wydaje mi się, że mogliśmy trafić dwie maszyny, sztukasy, ale nie mogę dać gwarancji, że była to właśnie nasza robota.

Po zniszczeniu sprzętu zajmował się pan już tylko przetrwaniem?

Podczas każdego ataku lotniczego leżałem z twarzą w piachu. Obok mnie raz za razem tryskały fontanny piachu po kolejnym trafieniu bombą albo serią z karabinu. Pod koniec odchodziłem już od zmysłów. Doszło do tego, że miałem nadzieję, iż następny pocisk w końcu mnie trafi.

W filmie chyba dobrze to pokazano – na tamtej plaży nie było bohaterstwa.

Nie było. Ja miałem już dość tego horroru, chciałem, żeby to się już skończyło, choćbym miał zginąć. Straciłem całą wiarę, że przeżyję. To było wtedy takie oczywiste, że Niemcy mają nad nami miażdżącą przewagę i w każdej chwili mogą nas wykończyć. Bardzo łatwo mogli nas zepchnąć do morza, a jednak zatrzymali się tuż przed naszymi liniami obronnymi. Jak widać, zależało im na tym, żeby zniszczyć jak najwięcej okrę-



FOT. INTERVIEW PRASOWE

że po zanieśieniu rannego uda mu się zostać na pokładzie odpływającego okrętu. Pan też tak to sobie wyobrażał?

Nie, to nie była kalkulacja, bo wiedziałem, jak to działa: po zanieśieniu rannego trzeba wracać na ląd i czekać na swoją kolej. Złapałem więc nosze z tym, co pozostało z tego biednego chłopaka. Nie wydaje mi się możliwe, żeby z tego wyszedł. Zanieśliśmy go resztką wschodniego mola na pokład niszczyciela HMS „Codrington”. Postawiłem nosze z rannym w prowizorycznej sali szpitalnej i zwracam na molo. Już chcę schodzić z pokładu i... nie mogę uwierzyć w to, co słyszę – kapitan okrętu, stojący przy trapie, powiedział, że mogę zostać na pokładzie. W końcu miałem się wyrwać z tego piekła! W filmie widać, że przeprawa była niebezpieczna, ale w moim przypadku wszystko poszło jak po maśle i bez żadnych przygód dopłynąłem do Dover.

Jak się pan z tym wszystkim czuł?

Jak najgorszy tchórz. Tchórz, który uciekł z pola walki. Wracałem z opuszczoną głową. Tymczasem – ku mojemu wielkiemu zdziwieniu – witano nas jak bohaterów. Proszę sobie wyobrazić, że weterani I wojny światowej, z amputowanymi nogami, rękoma, ofiary ataków gazowych, stawiali mi wtedy w pubie piwa i nazywali takich jak ja bohaterami.

Kiedy to uczucie wstydu pana opuściło? Przecież był pan członkiem Stowarzyszenia Weteranów Dunkierki aż do jego rozwiązania.

Przestałem się uważać za tchórze, kiedy znowu wziąłem udział w walce. Najpierw walczyłem w obronie Wysp przed atakami Luftwaffe, a potem brałem udział w inwazji w północnej Afryce i we Włoszech. Byliśmy jak Feniks powstający z popiołów. Wtedy, na przełomie maja i czerwca 1940 r., naprawdę byliśmy w popiołach. Początkowo liczone, że uda się uratować kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy. Tymczasem z Dunkierki ewakuowano ponad 300 tys. ludzi! Gdyby wtedy nas Niemcy pojмали, zabili, to jestem przekonany, że Wyspy zostałyby zdobyte przez Hitlera. Dunkierka to był cud, jedyny jasny punkt w całej tragedii, jaką była nasza klęska we Francji.

Przecież byliście pewni, że razem z Francuzami dacie sobie radę z Hitlerem?

Tak, czuliśmy się silni. Więcej – byliśmy pewni, że Niemcy rozbiją się o naszą linię obronną.

Jak wyglądał „Sitzkrieg” z pańskiej perspektywy?

Po prostu nic się nie działo przez te dziewięć miesięcy, od kiedy pojawiliśmy się we Francji we wrześniu 1939 r. Wszystko było jak w czasach pokoju, nikt się nawet nie przejmował zaciemnieniem. Powiem więcej – bywały momenty, gdy było całkiem przyjemnie, szczególnie na przepustkach. I nagle 10 maja wszystko stanęło na głowie.

A potem gruchnęła nieprawdopodobnie brzmiąca wieść: czołgi Wehrmachtu przedzierają się przez uważane za nie do przebycia Ardeny, rozdzielając sojusznicze armie.

Faktycznie był to szok, początkowo brzmiało to kompletnie niewiarygodnie. A potem już nie mogliśmy się ruszać w terenie z powodu nieprzebranych mas spanikowanej ludności cywilnej, które zalały drogi. Kiedy w końcu dotarliśmy do Dunkierki i zobaczyłem, że Francja jest już nie do uratowania. Powiem więcej – byłem przekonany, że nie uda nam się stamtąd wyrwać i albo zginę, albo pójdę do niewoli.

Niemcy walczyli już w stylu II wojny światowej, a wy wciąż tkwiście w I wojnie światowej?

Niestety, to prawda. Zresztą część naszego sprzętu pamiętała tamtą wojnę... Nawiasem mówiąc, uwierzy pan, że dostawaliśmy do jednego puszkiwaną wołowinę z zapasów z... I wojny światowej? (śmiech) To akurat nie jest jednak żaden zarzut – ta wołowina była pierwszej klasy!

Po Wielkiej Brytanii przyszedł czas na lądowanie w Afryce Północnej, a potem przeprowadziliście się do Włoch. Czyli pewnie szlak bojowy zaprowadził pana pod Monte Cassino?

Byłem tam jakieś trzy tygodnie, aż polscy żołnierze zdobyli w końcu ten klasztor. Często wpadaliśmy na Polaków. Przy nas to było bardzo wesołe towarzystwo, ale widać było, z jak wielką zaciętością stawiali naprzeciw Niemców... W każdym razie Monte Cassino to była świetna robota w naszym wykonaniu!

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Garth Wright (ur. 1919) podczas niemieckiej inwazji na Francję służył w 51. Pułku Lekkiej Artylerii Przeciwlotniczej. Po ewakuacji z Dunkierki brał udział w walkach w Afryce Północnej oraz we Włoszech.

tów i samolotów, które wysyłane były na pomoc w kierunku Dunkierki. Chciano nas pozbawić sprzętu przed zbliżającą się wielkimi krokami inwazją na Wyspy. W końcu myślę więc, że to dobrze, iż Winston Churchill nie rzucił całego naszego lotnictwa do osłony ewakuacji spod Dunkierki. W czasie bitwy o Anglię liczył się przecież każdy myśliwiec.

Wasi żołnierze musieli wtedy odstać swoje w kolejce, zanim dostali się na okręt albo mniejszą jednostkę. Długo musiał pan czekać na swoją kolej?

Nie aż tak długo, jak myślałem. Po zniszczeniu armaty przenieśliśmy się na wydmy. Pomyślałem, że będę miał tam większe szanse na przeżycie niż chłopaki czekający w uporządkowanych kolejkach na plaży. Okopałem się tam jakoś, wykorzystując hełm w charakterze łopaty. Wtedy już główne molo było częściowo zniszczone i żołnierze ładowali się do mniejszych łódek oraz łódeczek z prowizorycznych pomostów zrobionych z zatopionych ciężarówek. Myślałem, że zabiorę się właśnie jedną z nich, ale... w pewnym momencie ktoś krzyknął, że potrzeba ludzi do transportu noszy. Nie wiele myśląc, zgłosiłem się na ochotnika.

Na początku „Dunkierki” jest scena, gdy główny bohater łapie się za nosze w nadziei,



Tomasz Lenczewski

Biografia bohatera insurekcji kościuszkowskiej przez lata poddawana była manipulacjom

Postać Wojciecha Bartosza-Głowackiego, bohatera insurekcji kościuszkowskiej, inspirowała wielu twórców. Przez sto kilkadziesiąt lat była również przedmiotem manipulacji związanej z fałszowaniem jego biografii. Stało się to za sprawą różnych idei politycznych. Wszystko to, co odbywało się wokół kosyniera spod Racławic, można ująć w schemat białej, czarnej lub zielonej legendy.

BIAŁA LEGENDA

Za wykazane męstwo i odwagę podczas zdobycia armat rosyjskich w racławickiej bitwie Wojciech Bartosz został wyróżniony przez Naczelnika Tadeusza Kościuszkę. Podczas uroczystości w katedrze wawelskiej nadano mu młodszy stopień oficerski (chorążego). Jednocześnie Naczelnik zmienił mu nazwisko na „Głowacki”, które było zresztą panieńskim nazwiskiem matki Bartosza. To wyróżnienie oraz skierowany wkrótce do chłopów Uniwersał połaniecki miały być zapowiedzią nowej polityki wobec stanu chłopskiego. Symbolem tego zaangażowania pozostał Wojciech Bartosz-Głowacki, rzekomo nobilitowany przez przywódcę powstania. Wersję tę ugruntował historyk i polityk konserwatywny Józef Szujski. Był on potomkiem po kądzieli kniazia Antoniego Szujskiego, właściciela Rzędowic i dawnego pana Głowackiego. Historyk posłużył się sztuką „Bartosz Głowacki. Ostatnia nobilitacja” (1860). Według niej Kościuszko przybył specjalnie do Rzędowic i po akcie związanym z uwolnieniem chłopskiego bohatera od poddaństwa mianował go oficerem oraz nadał mu szlachectwo. Wątek nobilitacji w rzędowickim dworze lansował również Władysław Anczyk, autor sztuki „Kościuszko pod Racławicami”, popularyzującej racławickich kosynierów.

Nobilitacja Głowackiego nie ma podstaw źródłowych z punktu widzenia ówczesnego prawa. Taki akt za zasługi wojenne pozostawał wyłącznie w kompetencji króla. Nie mógł tego dokonać samowolnie Kościuszko, który mimo dyktatorskiej wła-



Legendy Bartosza-Głowackiego

dzy musiał liczyć się również ze szlachtą. Sama zaś zmiana nazwiska bohatera miała oparcie w dawnym zwyczaju wojskowym. Niestrudzony badacz jego dziejów Jan Lubicz-Pachoński wskazał, że taka nobilitacja mogła się odbyć jedynie na Wawelu, a nie w szlacheckim dworze. Gdyby rzeczywiście zaistniała, stanowiłaby sensację. Z pewnością znalazłaby odzwierciedlenie choćby w relacjach obserwatorów zagranicznych przebywających wówczas w Krakowie. Źródłem białej legendy związanej z rzekomym uszlachceniem bohatera spod Racławic była wyłącznie tradycja rodziny rodu Szujskich. Wyrosła ona z patriarchalnego stosunku kniazia Szujskiego do swoich poddanych. Jej wyrazem stało się m.in.

uwolnienie „przeszłego Wojtki Bartosa” od poddaństwa. U podstaw legendy legła idea solidarnego współdziałania wszystkich stanów społecznych na rzecz niepodległej ojczyzny. Towarzyszyła ona również wspomnianej sztuce Anczyka, która również przyczyniła się do umacniania „białej legendy”. W swoim działaniu Józef Szujski miał również na celu gloryfikację swego przodka, którego imię rozmaici autorzy napiętnowali za rzekome złe traktowanie Wojciecha Głowackiego.

CZARNA LEGENDA

Zasadniczą tezę „czarnej legendy” był obraz uciemzonego chłop polskiego, którego uosabiał Wojciech Bartosz-



REPRODUKOWANO Z FORUM

Głowacki. Miał zostać oddany w austriackie rekruty przez właściciela wsi Rzędowice za odmowę odrabiania pańszczyzny po powrocie z wojaczki. Później rzekomo znalazł się w Legionach Dąbrowskiego, w co akurat wierzył również Szujski. W istocie Głowacki zmarł z powodu ran po bitwie pod Szczekocinami, dwa miesiące po raclawickiej wiktoryi. Legendę o dalszym życiu raclawickiego kosyniera zapoczątkował Jan Wójcikiewicz. Ten dawny oficer Legionów Dąbrowskiego podczas pobytu w Krakowie w 1806 r. opowiedział miejscowemu regionaliście Ambrożemu Grabowskiemu, że spotkał we Włoszech słynnego Głowackiego. Miał być wówczas nałogowym alkoholikiem. W istocie spotkał innego

chłopskiego bohatera i awanturnika Stanisława Świstackiego. W Legionach zaś służył również Głowacki, ale o imieniu Ignacy, także oficer z 1794 r. Temat ten rozwinęli na emigracji po powstaniu listopadowym dwaj przedstawiciele lewicowego nurtu Towarzystwa Demokratycznego Polskiego – Wojciech Heltman i Jan Nepomucen Janowski – na łamach „Przeglądu Dziejów Polski” w 1838 r. Powielił go nieco później bohater nocy listopadowej 1830 r. Ludwik Nabelak.

Czarna legenda odrodziła się w Polsce międzywojennej w twórczości przedstawicieli nurtu lewicowego polskiej literatury. Wojciech Skuza, chłopski poeta, późniejszy więzień NKWD i zesłaniec, w poemacie ludowym „Kumac. Rzecz o r. 1794” (1931), rozwinął nieprawdziwy wątek o „zmarłych wstałym” Głowackim. Powtórzył to zakłamanie w powieści „Kordian i cham” Leon Kruczkowski.

Do tematu powróciła w czasie wojny Wanda Wasilewska w sztuce „Opowieść o Bartoszu Głowackim”, wystawionej w sowieckim Lwowie w 1940 r. W utworze jednym z bohaterów jest nikczemny starosta Szujski zmuszający Głowackiego do odrabiania pańszczyzny. Sztukę wystawiono po wojnie w Krakowie w 1946 r. i doczekała się ona krytyki ze strony recenzentów związanych z prasą opozycyjną PPS, PSL i środowiska katolickiego związanego z „Tygodnikiem Powszechnym”. Recenzenci zarzucili jej opieranie się na nieprawdziwych danych historycznych. W tej legendzie powtarzał się uparcie motyw czarnego charakteru kniazia Szujskiego. Nie był on obcy również Anczycowi, który odmalował starostę jako typ wszetecznika i szlachckiego sobka. Przeciwwstawił mu przy tym żydowskiego arendarza Abrahama reprezentującego patriotyczną postawę. W istocie historyczny starosta Szujski nie tylko pozytywnie odpowiedział na skierowany doń osobiście apel władz insurekcji kościuszkowskiej województwa krakowskiego, aby „użyć pracy i familii” kosyniera, lecz także listem do swego rządcy uwolnił Głowackiego i jego rodzinę od pańszczyzny oraz nadał im na wieczność zagrodę oraz dostarczył inwentarz. Utrzymał również w mocy swe decyzje po upadku insurekcji. Świadczy o tym m.in. list Kościuszki z podziękowaniem za ten czyn i za hojne obdarowanie rodziny Głowackiego.

ZIELONA LEGENDA

Popularność Wojciecha Głowackiego po bitwie raclawickiej dała o sobie

znać zarówno w warszawskiej prasie, jak i w obozowej pieśni. O Głowackim zaczęli pisać poeci, m.in. Gustaw Ehrenberg i Teofil Lenartowicz. Wszyscy oni przyczyniali się do rozwoju zielonej (ludowej) legendy Bartosza Głowackiego i kosynierów. Z powodzeniem kontynuowali ją: Stanisław Witkiewicz, Władysław Reymont i Włodzimierz Przerwa-Tetmajer. Nie zdołał nią zachwiać złowrogi cień Jakuba Szeli. Przypomniawszy go, zestawiając z Bartoszem Głowackim, Stanisław Wyspiański w jednej ze scen „Wesela”. Szczególnie silnie oddziaływały w duchu tej legendy monumentalne dzieła malarskie Jana Matejki – „Bitwa pod Raclawicami” oraz Jana Styki i Wojciecha Kossaka – „Panorama Raclawicka”.

Wrz z narodzinami ruchu ludowego w Galicji nastąpiło apogeum kultu Raclawic i Głowackiego. Urządzano specjalne obchody z tej okazji, często połączone ze święceniem okazałych pomników chłopskiego bohatera, choćby w Tarnobrzegu (1904) czy we Lwowie (1906). Uroczystości związane z ich odsłonięciem przerodziły się w manifestacje mające charakter nie tylko chłopski, lecz także ogólnonarodowy. Powstały wreszcie Drużyny Bartosze, wojskowa organizacja rekrutująca się ze lwowskiej młodzieży studenckiej pochodzącej ze wsi. Jej członkowie wzięli czynny udział w walce o niepodległość w czasie I wojny światowej i w wojnie z bolszewikami oraz Ukraińcami. Spopularyzowana postać Głowackiego walczy przyczyniła się do rozbudzenia świadomości narodowej wśród chłopów polskich, a w okresie niewoli narodowej była symbolem walki o niepodległość. W okresie międzywojennym pamięć o Wojciechu Głowackim była nadal żywa, ale już na tle walki politycznej ruchu ludowego z sanacją. W czasie II wojny światowej motyw Raclawic i jej bohatera patronował walce zbrojnej nie tylko oddziałom związanym z polską wsią. W pierwszych latach Polski Ludowej i okresie stalinowskim zielona legenda była wykorzystywana w celach propagandowych do walki z reakcją polityczną utożsamianą z obszarnikami jako odwiecznymi gnębielami chłopów polskich.

Po 1956 r. legendy Raclawic i Głowackiego wyraźnie przygasły, nie licząc długoletniej walki o powszechne udostępnienie rewiklowanej ze Lwowa „Panoramy Raclawickiej”.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Powstanie oczami narodowców

Ciekawy zbiór dokumentów i artykułów na temat Powstania Warszawskiego napisanych przez polskich narodowców. Zarówno znanych publicystów oraz polityków, jak i uczestników bitwy. Wszystkie te głosy są niezwykle krytyczne wobec decyzji Komendy Głównej AK o wydaniu Niemcom bitwy na ulicach milionowego miasta.

Obóz narodowy był bowiem przeciwny idei wywołania powstania w sytuacji tak rażącej dysproporcji sił między AK a Niemcami. Weźmy choćby oświadczenie warszawskiej Młodzieży Wszelchopolskiej z listopada 1944 r.:

Powstanie warszawskie przyniosło Polsce niepowetowane straty, prawie żadnych natomiast korzyści – napisano w dokumencie. – Wywołanie powstania jest karygodną zbrodnią. Tak oceniło te wypadki społeczeństwo, tak wyglądają one w rzeczywistości. Winni muszą ponieść odpowiedzialność, tylko w ten sposób zdoła się utrzymać autorytet naszych instytucji i władz. Ludzie ci [oficerowie i politycy, którzy podjęli decyzję o wywołaniu powstania] próbują już zrzucić

z siebie odpowiedzialność za spowodowaną przez siebie tragedię”.

A oto fragment artykułu „Zmarnowany heroizm!” z pisma „Wielka Polska” wydane-go 2 października 1944 r.:

Ponieśliśmy olbrzymie straty w sile biologicznej narodu. Przysporzyliśmy narodowi polskiemu nowe dziesiątki tysięcy kalek. Obróciliśmy w gruzi stolicę Polski. Zmarnowaliśmy wielowiekowy dobytek kulturalny. Doprowadziliśmy do nędzy setki tysięcy ludzi. Przekreśliliśmy pięcioletni dorobek konspiracyjny przez wyniszczenie i rozproszenie aktywu politycznego, wojskowego, kulturalnego i gospodarczego. W zamian za to nie zyskujemy nawet uznania w oczach świata, ceniącego jedynie polityczny realizm, siłę i równowagę psychiczną. Romantyczne gesty narodów dawno już straciły w świecie wagę atutów politycznych.



★★★★★

RED. JAN ENGELGARD, MACIEJ MATOS
„W IMIĘ CZEGO
TA OFIARA? OBÓZ
NARODOWY
WOBEĆ
POWSTANIA
WARSZAWSKIEGO”
CAPITAL

Publicysta „Wielkiej Polski” miał niestety rację – wielkich tego świata nie wzruszają romantyczne gesty. Świat ceni tylko siłę. To najważniejsza lekcja, jaką naród polski powinien wynieść z tragedii II wojny światowej. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Ostatnia wielka bitwa kawalerii

Duży wpływ na zwycięstwo nad bolszewikami pod Warszawą miały błędy popełnione przez Sowietów na południowym odcinku frontu. Na polecenie pełniącego tam obowiązki komisarza ludowego Józefa Stalina 1. Armia Konna Siemiona Budionnego (słynna Konarmia) nie udzieliła pomocy Tuchaczewskiemu, tylko ruszyła

oddziały: 1. Pułk Ułanów Krechowieckich, 12. Pułk Ułanów Podolskich, 14. Pułk Ułanów Jazłowieckich, 8. Pułk Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego i 9. Pułk Ułanów Małopolskich.

Do decydującej bitwy doszło 31 sierpnia 1920 r. pod Komarowem, było to ostatnie duże starcie kawalerii w dziejach Europy. Bitwa trwała przez niemal cały dzień, łącznie wzięło w niej udział ok. 8 tys. jeźdźców. Przewaga była po stronie sowieckiej, a losy starcia przesądziła ostatnia polska szarża.

„[...] Sowietci wyszli z lasu [...] i ustawili się do ataku – opisywał Norman Davies.

– Była to bardzo nerwowa chwila. Czerwona kawaleria wyła, gwizdała i szczekała szablami w prawdziwie kozackim stylu. Polacy jeszcze opatrywali rany. 9. pułk ułanów, który najbardziej ucierpiał w boju, ruszył z kopyta, by wygrać wyścig z czasem. Ułani wpadli na nadjeżdżające szeregi i zmieszali się z nimi, walczone w starciu za pomocą rewolwerów, sztyletów, a nawet gołych rąk, by wysadzić przeciwnika z siodła. Okrzyk »Hurra!« po prawej ogłosił przybycie galopem 8. pułku ułanów Krzeczunowicza [pułk im. ks. Poniatowskiego – przyp. S.K.], po którym pojawił się 1. pułk (Krechowiecki) z samym Rómmlem na czele. Jakimś sposobem 9. pułk wykrzesał siły, by wyostać się ze zwarcia i zaszarżować ponownie. Sowiecka 6. dywizja runęła do tyłu, pozostawiając za sobą pole zasłane ludzkimi i końskimi szczątkami. Był to spektakl, jakiego Europa nie oglądała już nigdy więcej”. ©©

Losy starcia przesadziła ostatnia polska szarża

na Lwów. Straconego czasu nie udało się już odzyskać. Gdyby mołojcy Budionnego pojawili się nad Wieprzem, zapewne losy świata potoczyłyby się zupełnie inaczej.

Konarmia Lwowa nie zdołała (przyczyniła się do tego bohaterska walka lwowskiej młodzieży pod Zadwórzem) i Budionny zarządził wy-marsz na pomoc rozbitej armii Tuchaczewskiego. Jego oddziały mogły pokrzyżować szyki Polakom ścigającym niedoszłych zdobywców Warszawy i nasze dowódcy wysłało na południe trzy dywizje piechoty oraz dywizję jazdy, aby zastąpić drogę czerwonym Kozakom.

Budionnemu nie udało się zdobyć z marszu Zamościa, dotarła tam już zresztą polska 13. Kresowa Dywizja Piechoty. Zagrożony okrążeniem, wycofał się w kierunku Hrubieszowa, a jego śladem szła 1. Dywizja Jazdy pod dowództwem płk. Juliusza Rómmła. W jej skład wchodziły słynne już

OSADA MORSKA

Umowa najmu na **10 lat**, **8 %** rentowności,
pierwsza linia zabudowy od morza



Basen wewnętrzny,
Zewnętrzny i Jacuzzi



Strefa Wellness
& Spa



Restauracja,
Kawiarnia i Bar



Strefa Kids
and Fun



Cena: od **178 000 zł**



22 299 22 77 sprzedaz@osada-morska.pl www.osada-morska.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu Art. 66 § 1 Kodeksu Cywilnego.

Gdy Europol opublikował swój doroczny raport na temat terroryzmu, pojawiły się głosy, jakoby wynikało z niego, że dżihadizm wcale nie jest głównym zagrożeniem i że tak naprawdę nie ma się czym przejmować, bo liczba ataków maleje. Rzeczywiście, selektywna żonglerka danymi mogłaby wskazywać, że to prawda. Tylko że jest to trzeci gatunek tischnerowskiej prawdy, a więc „g... prawda”.

Raport stwierdza bowiem, że w 2016 r. było tylko 13 ujawnionych – zarówno udanych, jak i nieudanych – zamachów terrorystycznych o podłożu dżihadystycznym. Całkowita liczba zamachów w ubiegłym roku to 142, podczas gdy w 2015 r. było to 193, natomiast w 2014 r. – 226. Problem w tym, że zamach zamachowi nierówny.

JAK TO SIĘ LICZY

Terroryzm to zjawisko, które trudno jednoznacznie zdefiniować. Przeważnie przyjmuje się, że składać się powinny na niego dwa elementy: gwałtowny, kryminalny akt wymierzony w mienie, zdrowie lub życie ludzkie oraz specyficzny motyw polegający na próbie wpłynięcia na władzę lub opinię publiczną poprzez zastraszenie. Tylko że jeśli chodzi o pierwszy element, to równie dobrze może to być uderzenie samolotem w wieżowiec co obrzucenie jakiegoś budynku petardami. W polskim prawie przyjęto, że aby jakiś czyn kwalifikował się jako terrorystyczny, konieczne jest, by groziła za niego kara minimum pięciu lat pozbawienia wolności. Statystyki Europolu oparte są na zróżnicowanych interpretacjach krajów członkowskich UE. Dlatego według raportu Europolu za 2016 r. aktem terroru jest zarówno zamach w Nicei, w którym zginęło 87 osób, jak i 76 ataków dokonanych przez pogrobowców

Prawda o terroryzmie



Witold Repetowicz

Nie można nie dostrzegać, że chaos wywołany kryzysem migracyjnym pozwolił wrócić do Europy dżihadystycznym „foreign fighters”

Irlandzkiej Armii Republikańskiej w Wielkiej Brytanii. Trzeba się jednak wczytać w raport, by się dowiedzieć, że w tych atakach zginął raptem jeden strażnik więzienny i tylko w czterech przypadkach użyto jakichkolwiek materiałów wybuchowych. Raport nie wspomina, na czym te akty zatem polegały, brak też jakiegokolwiek wzmianki o rannych.

Spośród 13 ujawnionych ubiegłorocznych ataków terrorystycznych motywowanych dżihadem 10 było udanych i zginęło w nich łącznie 135 osób, a ponad 500 zostało rannych. We wszystkich innych zamachach, niemających nic wspólnego z islamizmem, zginęło siedem osób. Te dane nie były już podawane przez protagonistów wątpliwej tezy, że dżihad nie jest głównym zagrożeniem. Co ciekawe, Europol nie uznał za istotne podać, w jakich zamachach zginęło

pozostałych sześć osób (choć wszystko wskazuje na zamachy skrajnej lewicy), przy czym organizacja ta wyróżnia jeszcze cztery inne kategorie motywów: lewicowy ekstremizm, prawicowy ekstremizm, separatyzm i inny motyw (tzw. one issue).

W 2015 r. w zamachach na terenie Unii Europejskiej zginęło 151 osób: 150 w zamachach dżihadystycznych i jedna w lewackim. W 2014 r. w zamachach terrorystycznych zginęły raptem cztery osoby. Spadek liczby ofiar dżihadu w Unii Europejskiej ze 150 do 135 trudno uznać za gigantyczny. W 2017 r. w zamachach dżihadystycznych w UE zginęły już 42 osoby. To faktycznie mniej, ale ten rok jeszcze się nie skończył, a ponadto dodatkowe 54 zginęły w Europie, ale poza UE (w Stambule i Petersburgu). W UE dżihadysty przeprowadzili w tym roku już 11 zamachów, w sze-

ściu były ofiary śmiertelne. Wiadomo też o kilkunastu planowanych zamachach, którym w porę zapobieżono. To umiarkowane powody do optymizmu.

OBLICZA TERRORU

Całkiem przypadkiem skokowy wzrost zamachów motywowanych dżihadem, a także w ogóle zagrożenia terrorystycznego zbiegł się w czasie z kryzysem migracyjnym 2015 r. To oczywiście nie przeszkadza niektórym twierdzić, że napływ migrantów w ogóle nie zwiększył zagrożenia terrorystycznego w Europie, bo przecież jeśli fakty nie zgadzają się z teorią, to tym gorzej dla faktów. A co mówią liczby?

Przed rokiem 1990 aktywność terrorystyczna w Europie Zachodniej związana była niemal wyłącznie z toczącą się zimną wojną. ZSRS sponsorował terrorystów i gdy upadł, wydawało się, że można odetchnąć. Od 1995 do 2015 r. (z wyjątkiem 2004 r.), czyli przez dwie dekady, liczba ofiar zamachów nie przekraczała setki rocznie, a w wielu latach wynosiła kilka-kilkanaście ofiar śmiertelnych. Do 1995 r. właściwie nie było zamachów dżihadystycznych, gdyż te, które organizowali muzułmanie, miały związek z walkami palestyńsko-izraelskimi i woj-

ną domową w Libanie, a nie z dżihadem jako takim.

W latach 1995–1996 algierscy islamiści z organizacji, która później

przekształciła się w Al-Kaidę Islamskiego Maghrebu, przeprowadzili we Francji wiele zamachów, w których łącznie zginęło 12 osób. W kolejnych latach znów brak było znaczącej aktywności terrorystycznej islamistów w Europie. Nie zmienił tego udział wielu państw NATO w interwencji w Afganistanie. Dopiero w 2004 r. doszło do potężnego zamachu dokonanego przez Al-Kaidę w Madrycie, w którym zginęło 191 osób. W 2005 r. Al-Kaida znów zdołała dokonać jednego krwawego zamachu: w lipcu w Londynie zginęły 52 osoby. W kolejnych latach, aż do 2015 r., mimo że okupacja Iraku trwała, a później rozpoczęła się wojna w Syrii, dżihadyści nie zdołali już przeprowadzić żadnego znaczącego zamachu. Tego trendu nie zmieniło też pojawienie się Państwa Islamskiego, które najsilniejsze było w 2014 r. – w tamtym roku bilans ofiar śmiertelnych 226 zamachów wyniósł cztery osoby i był

to rezultat jednego zamachu dokonanego w maju 2014 r. w Brukseli. Cóż z tego, że liczba zamachów w kolejnych latach spadła, skoro znacznie wzrosła liczba ofiar.

Powstanie międzynarodowej koalicji do walki z Państwem Islamskim w czerwcu 2014 r. nie spowodowało nowych ataków. Na to trzeba było poczekać do 2015 r., czyli na powroty „foreign fighters” – europejskich ochotników walczących w szeregach Al-Kaidy i Państwa Islamskiego w Syrii oraz Iraku.

ZWIĄZEK Z MIGRACJĄ

Kryzys migracyjny cofnął Europę Zachodnią pod względem zagrożenia terroryzmem ■



FOT. FOTOLIA

o ponad ćwierćwiecze, a kołem zamachowym ataków stało się zamiast ZSRS Państwo Islamskie.

Na wzrost zagrożenia terroryzmem oraz jego zdominowanie przez dżihad złożyło się kilka czynników, przede wszystkim początkowe zlekceważenie problemu „foreign fighters” oraz zakłamywanie wpływu kryzysu migracyjnego na wywołanie chaosu, w którym terrorystom łatwiej było operować. Wszędzie, gdzie pojawiają się większe strumienie migrantów, dochodzi do ich infiltracji przez terrorystów. Tak było też w tym przypadku. Dżihadysty korzystali z tego kryzysu nie tylko po to, by wysłać z powrotem „foreign fighters” z misją przeprowadzania zamachów, lecz także by wykorzystywać frustrację migrantów, których w Europie nie czekał obiecany dobrobyt.

Statystyki Europolu nie pozostawiają wątpliwości, że kryzys migracyjny spowodował wzrost islamistycznego zagrożenia terrorystycznego.

Europol ocenia, że ok. 5 tys. osób wyjechało z Europy, by walczyć po stronie dżihadystów w Iraku i Syrii. Większość z nich pochodziła z Francji, Belgii, Niemiec i Wielkiej Brytanii. Tak się składa, że są to jednocześnie kraje o największej liczbie ofiar dżihadystycznych ataków terrorystycznych w ostatnich trzech latach. Na przykład z Francji wyjechało co najmniej 900 osób, a w zamachach w tym kraju zginęło 239 osób. Jest to przy tym więcej ofiar, niż łącznie zginęło we wszystkich zamachach we Francji od XIX w. W Belgii natomiast zginęło 36 osób, w Wielkiej Brytanii – 35, w Niemczech – 13, a w innych krajach UE – siedem. Lista jest oczywiście otwarta, bo „foreign fighters” wciąż wracają, a Europa nie bardzo wie, co z nimi zrobić.

Francuzi niedawno ogłosili, że zatrzymali już 271 spośród tych, którzy wrócili (na ok. 1 tys. dżihadystów aresztowanych w ogóle od 2014 r.), niemniej ocenia się, że mogło wrócić nawet ok. 2 tys. takich

terrorystów. Na razie nie widać też surowych wyroków np. we Francji – średnia kara pozbawienia wolności skazanych za terroryzm to siedem lat, a skazanych jest ok. 10 proc. aresztowanych. Nic dziwnego, że francuskie służby starają się do załatwić za plecami opinii publicznej i polityków tkwiących w politpoprawnym letargu. Według doniesień niektórych mediów Francja potajemnie wysłała specjalne komando, by polowało w Mosulu na rodaków (czy raczej współobywateli) i likwidowało ich na miejscu. Irakijczycy oraz Syryjczycy zarzucają europejskim rządowi, że przysmykały oczy na wyjazdy owych „foreign fighters”, myśląc, że w ten sposób pozbędą się problemu. Jeśli tak było, to problem uderzył rykoszetem ze znacznie większą siłą.

W siatce z brukselskiego Molenbeek, która odpowiedzialna była za najbardziej krwawe zamachy w Paryżu i Brukseli, ośmiu czołowych zamachowców było „foreign fighters”, którzy wrócili do Belgii, przeważnie kryjąc się wśród uchodźców. Niemal wszyscy byli z drugiego pokolenia rodzin imigranckich. Dodatkowo dwóch przybyło z Syrii i Iraku jako uchodźcy. Wiadomo też, że jeden z nich był konwertytą.

W inne zamachy „foreign fighters” nie byli bezpośrednio zaangażowani, jednak w jednym przypadku – ataku na kościół w Normandii w lipcu 2016 r. – obu zamachowców próbowało dostać się do Syrii, ale im to uniemożliwiono. Mimo to pozostawali na wolności.

SFRUSTROWANI

W zamachy zaangażowanych było również co najmniej kilkunastu migrantów, którzy starali się o status uchodźców i w większości im go odmówiono. Radykalizacja w ich przypadku nastąpiła już w Europie i w związku z tym, że nie otrzymali tego, co chcieli.

Widać przy tym tendencję, że o ile „foreign fighters” byli odpowiedzialni za duże zamachy, do których organizacji wciągnęli też inne osoby, o tyle sfrustrowani migranci dokonują zamachów jako „samotne wilki”. Chodzi przede wszystkim o ataki niewymagające zbyt dużego nakładu,

a więc przy użyciu noża czy maczety lub polegające na wjechaniu rozpędzonym samochodem w tłum. Pomijając członków siatki z Molenbeek, którzy nie odgrywali kierowniczej roli w organizacji zamachów w Paryżu i Brukseli, najbardziej skutecznym terrorystą, który do Europy dotarł jako uchodźca, był Anis Amri, odpowie-

Około 5 tys. osób wyjechało z Europy, by walczyć po stronie dżihadystów z Iraku. Większość z Francji, Belgii, Niemiec i Wielkiej Brytanii

dzialny za śmierć 12 osób i zranienie 56 na jarmarku bożonarodzeniowym w Berlinie, w który wjechał ciężarówką. Tę samą metodę, choć z mniejszą skutecznością, zastosował w Sztokholmie Rahmat Akiłow, który również starał się o status uchodźcy. Pozostałe osoby ubiegające się o status uchodźcy dokonywały ataków przy użyciu noża, przy czym tylko w jednym przypadku – w Hamburgu w lipcu 2017 r. – była ofiara śmiertelna. Większość udanych zamachów, nie licząc siatki z Molenbeek, dokonywały osoby z drugiego pokolenia imigrantów.

Jeżeli chodzi o terroryzm niedżihadystyczny, pomijając pogromowców IRA i ETA (którzy w tym roku ogłosili, że im się już nie chce), to raport Europolu w kategorii terroryzmu separatystów wspomina o dwóch organizacjach i nie są to organizacje europejskie, lecz kurdyjskie PKK z Turcji oraz Tamilskie Tygrysy ze Sri Lanki. Trudno jednak znaleźć wśród dość licznych aktów przypisywanych zwłaszcza tej pierwszej organizacji jakieś krwawe zamachy. Przeważnie chodzi o porachunki z tureckimi nacjonalistami, którzy tak jak oni przybyli tu jako migranci. Znacznie bardziej „bombowi” są za to lewacy, którzy w 2016 r. przeprowadzili 27 ataków. W porównaniu z nimi skrajna prawica wygląda blade – tylko jeden zamach na koncie, a mianowicie próba podpalenia meczetu w Holandii, w której nikt nie zginął ani nie został ranny.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

SEKS POMOŻE AKCEPTOWAĆ IMIGRANTÓW?

Niemiecka uczelnia sprawdziła, jak można zmniejszyć u ludzi ksenofobię i poprawić ich nastawienie do migrantów. Badacze Rheinische Friedrich-Wilhelms-Universität z Bonn przeprowadzili serię eksperymentów, w których ludzie otrzymywali kwotę 50 euro i decydowali, ile chcieliby przeznaczyć na pomoc potrzebującym (zwykłym Niemcom i osobom wyglądającym jak imigranci). W jednym z tych eksperymentów naukowcy połowie grupy podali do nosa oksytocynę. Okazało się, że uraczeni tym hormonem okazywali się bardziej szczodrzy dla imigrantów. Naukowcy swoje wnioski podsumowali ostrożnie – uznali, że oksytocyna może pomóc przeciwdziałać ksenofobii. Wiedocześnie bali się porównań praktycznych. Mogli napisać wprost, że Europejki w celu zmniejszenia swoich oporów przed przyjmowaniem migrantów powinny z nimi chodzić do łóżka lub chociaż próbować nakarmić ich piersią (to w tych sytuacjach u kobiet wzmacnia się wydzielanie oksytocyny w organizmie). Wciąż pozostaje jednak problem z mężczyznami...



FOT. FOTOLIA

PIERWSZA DAMA NAPADAJĄCA

Gdyby prezydent Francji wiedział, jakie problemy z małżonkami mają inne głowy państw, uznałby, że brak oficjalnej posady i pensji dla jego żony to nie powód do smutku. Na przykład pierwsza dama Zimbabwe została oskarżona o napaść. Żona prezydenta Mugabe pojechała na leczenie do RPA. W jednym z hoteli miała wejść do pomieszczenia i pobić znajdującą się w nim 20-letnią modelkę. Południowoafrykańska policja zakończyła postępowanie w tej sprawie, ale z decyzją o ewentualnym areszcie musi się wstrzymać – bo Grace Mugabe wystąpiła do rządu RPA o przyznanie immunitetu dyplomatycznego.

CONCHITA POZBAWIONA SYRYJCZYKÓW

Unia Europejska jest otwarta na imigrantów, a złe są tylko te okropne kraje z Europy Środkowo-

-Wschodniej jak Polska i Węgry. To przekonanie europejskich elit trochę chyba na wyrost. Dowód? Brytyjczycy nie zezwolili na wjazd do siebie (nie przyznali wiz) trzem mieszkającym w Wiedniu Syryjczykom. W dodatku Syryjczycy ci byli muzykami zaproszonymi na imprezę poświęconą wielokulturowej współpracy między artystami europejskimi i imigrantami. I to jeszcze nie wszystko – muzycy ci tworzyli część zespołu słynnej Conchity Wurst, czyli kobiety z brodą, która przełamuje stereotypy na temat płci. No i kto tu jest ksenofobem?

PRAWDA HISTORYCZNA PO ROSYJSKU

Ten, kto wykrzywia historyczne fakty, czasem jest karany. Sankcjonowane jest np. kłamstwo oświęcimskie (choć już mówienie, że niemieckie obozy były polskimi, pozostaje bezkarne). Rosyjski sąd udowodnił jednak właśnie, że karany może być też ten, kto pisze prawdę. Skazał bowiem blogera – Władimira Luzgina – za to, że napisał, iż w 1939 r. komuniści zaatakowali Polskę razem z nazistami. Bloger ma zapłacić 200 tys. rubli, bo naruszył ustawę

podpisaną przez Władimira Putina trzy lata temu, która kryminalizuje „przeczenie faktom” oraz „rozpowszechnianie fałszywych wiadomości o działalności Związku Sowieckiego podczas II wojny światowej”. Rosyjska władza (także sądownicza) uważa bowiem, że po niemieckim ataku 1 września 1939 r. Polska przestała istnieć, więc 17 września weszli na ziemię niczyją.

ODCHUDŹ SIĘ, TO TANIEJ ZJESZ

Państwowa służba zdrowia w Wielkiej Brytanii chce zachęcić ludzi do zwiększenia wysiłku fizycznego. Proponuje w 10 miastach stawiać siłownię na świeżym powietrzu, a mieszkańcom nowych domów rozdawać rowery. Ma też plan, by ludzie, którzy dzięki aplikacji smartfonowej udowodnią zwiększoną aktywność fizyczną, otrzymywali zniżki, m.in. 25-procentowy rabat na... zakup żywności. Czyli w nagrodę za przebieżkę będzie można tanio kupić chipsy i słodkie napoje. Czy nie tak działa perpetuum mobile? ©

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ ŁUKASZ ZBORALSKI



Ada Colau, burmistrz Barcelony, sympatyzuje z Nowymi Katalończykami, czyli rosnącą populacją muzułmanów

FOT. JORDI BOIXAREU/GETTY IMAGES

Zatruta Barcelona



Małgorzata Wołczyk

Katalońscy separatyści zachęcają muzułmanów do osiedlania się w regionie. Dzięki nim chcą osiągnąć swój cel, bez względu na skutki

Dla wielu Polaków dopieszczonych małymi uśmiechami fortuny lub względnie dobrobytem Barcelona stała się niemal takim samym miejscem weekendowych wypadów jak Berlin czy Paryż. Słynną La Ramblą przemierzają kolorowy tłum przybyszów z całego świata, pielgrzymujący od jednej do drugiej perły architektonicznej zaprojektowanej przez genialnego Antonia Gaudiego.

Opublikowano jakiś czas temu ciekawe wyniki pomiarów natężenia błysków flesza w turystycznych enklawach świata. Słynny kościół Gaudiego – Sagrada Familia – pokonał wtedy nawet paryską wieżę Eiffla. Bazylikę podziwiał aż 4,5 mln osób rocznie.

Od paru dni wiadomo już, że zamachowcy odpowiedzialni za tragedię w Barcelonie planowali wysadzenie w powietrze tego emblematycznego klejnotu Katalonii i pomnika żarliwej wiary jego projektanta. Nieudolność przygotowań młodocianych islamistów obróciła się przeciwko nim samym – zabijając jednego i ciężko raniąc drugiego. Wybuch nastąpił w środę po godz. 23 i dopiero tragiczne wydarzenia dnia następnego pozwoliły skojarzyć służbom, że eksplozja domu oddalonego o 200 km od stolicy Katalonii miała związek z nieudaną próbą produkcji TATP – wybuchowego nadtlenu acetonu. Zrównowany budynek w Alcanar okazał się jednym z miejsc spotkań siatki powiązanych upiornymi marzeniami Marokańczyków.

Jak wynika z ostatnich doniesień, w ruinach zginął też imam meczetu z Ripoll, który od roku przygotowywał młodych chłopców do ostatecznej rozprawy z niewiernymi. Duchowny już ponoć wcześniej miał nakaz opuścić kraj ze względu na kryminalną przeszłość (handel narkotykami), ale nigdy nie zostało to wyegzekwowane. Podczas czterech lat spędzonych w więzieniu zawarł bliską znajomość z 18 dżihadystami skazanymi za zamachy

w Madrycie (2004). Powszechnie uważany był za umiarkowanego i liberalnego nauczyciela, podczas gdy w rzeczywistości na tajnych spotkaniach radykalizował młodych słuchaczy i zachęcał do świętej wojny.

Nieszczęściem lewicowych marzycieli żaden z tych 12 członków terrorystycznej siatki w wieku od 17 do 34 lat nie cierpiał biedy ani odrzucenia, za które można byłoby obwiniać nieczułe społeczeństwo. „Pokój dla mnie, nienawiść dla całej reszty” – napisał w sieci jeden z zabitych w Cambrils zamachowców. I doprawdy trzeba być twardogłowym miłośnikiem iluzorycznych światów, aby postrzegać ofiary w hojnie dotowanych zasiłkami radykałach islamskich. Jeden z nich mieszkał nawet na strzeżonym osiedlu i zarabiał 2 tys. euro miesięcznie.

Upór hiszpańskiej TVE, aby naprędce wtłoczyć telewizjom niestosowność skojarzeń islamu jako takiego z terroryzmem, znalazł zresztą swój komiczny obraz w zmanipulowanym przekazie w dzienniku „Telediario” już następnego dnia po tragicznych zajęciach. Pochód muzułmanów potępiających zamach i odzegnujących się od radykalnych fanatyków pod hasłem: „Nie w moim imieniu” byłby pewnie z jakąś ulgą przyjęty przez Hiszpanów, gdyby

nie szczegóły garderoby mużułmańskich demonstrantów. Przewijające się w repertażu czapy i futrzane kaptury trudno było wpasować w scenografię sierpniowych, upalnych dni w Barcelonie. Szybko więc odkryto, że to materiał ze stycznia 2015 r. po atakach przeprowadzonych w Paryżu.

POLITYKA PRZY TRAGEDII

Podzielone odwiecznymi zatargami społeczeństwo Hiszpanii tylko przez krótką chwilę wydawało się solidarne w bólu i przeżywaniu tragedii. Każda kolejna doba po zamachu wzmagająca animozje między Katalonią a... Hiszpanią.

Trudno nie przyznać racji rozgorączkowanym zwolennikom zjednoczonej Hiszpanii, gdy ich katalońscy partnerzy nawet w godzinie wielkiej tragedii nie rezygnują z głoszenia komunikatów w języku katalońskim, nieznanym przecież zdruzgotanej reszcie obywateli Półwyspu Iberyjskiego. O tym, ile jest ofiar, jaki przebieg miał zamach, Hiszpanie dowiadują się, słuchając symultanicznego tłumacza.

Minister spraw wewnętrznych rządu katalońskiego Joaquin Forn przedstawiający kolejne raporty w sprawie postępów śledztwa zaognił sytuację jeszcze bardziej, gdy podzielił zmarłych według narodowości, oddzielnie: hiszpańskiej i katalońskiej. Polityczne gierki na nieostyglach jeszcze od krwi ulicach Barcelony wzmożyły się, gdy w sieci zaczęto upowszechniać sugestie jakiegoś katalońskiego stowarzyszenia, aby świat okazał swoją solidarność, używając bynajmniej nie flagi Hiszpanii, a tylko Katalonii. Na forach pojawiły się pełne gorczy uwagi, że gdyby katalońscy policjanci i gwardziści komunikowali się z ofiarami oraz ze świadkami tragicznego zajścia w bardziej znanym (także turystom) języku hiszpańskim, czyli castellano, to może rozmiary strat i paniki byłyby mniejsze. Zamęt i konfuzję siał także wiadomość, jakoby służby antyterrorystyczne w USA już dwa tygodnie przed tragedią informowały o szykowanym zamachu na barcelońskiej La Rambl. Niestety władze Katalonii były zbyt zajęte swoimi walkami o niepodległość i upokarzaniem Madrytu, by zrobić wszystko, co należało.

Rozgorączeni Hiszpanie mają to za złe przede wszystkim burmistrz Barcelony. Ada Colau – „Alcaldessa de Barcelona” – jest gremialnie znienawidzona przez tych, którym leży na sercu zjednoczona, bezpieczna, a także wcale nierzadko katolicka Hiszpania. Dobę po zamachu przytaczano informacje, jakoby odmówiła wcześniej za-

instalowania na La Rambl gigantycznych klombów-pachołków lub innych zabezpieczeń sugerowanych po zamachu w Nicei. Posepnym echem rozniósł się w Internecie znany wszystkim wydatek z kasy miasta w kwocie 100 tys. euro rocznie na monitorowanie nastrojów antymuzułmańskich w obserwatorium islamofobii.

Nikt nie ma bowiem wątpliwości, z kim sympatyzuje burmistrz. Nous Catalans (czyli Nowi Katalończycy) to szybko rosnąca populacja mużułmanów w regionie Katalonii, ponad dwukrotnie większa niż na całym pozostałym terenie Hiszpanii. A Colau, wsłuchując się w głos partii Podemos, najchętniej zniósłaby Wielki Tydzień czy bożonarodzeniową szopkę, aby nie drażnić uczuć religijnych nowych obywateli Katalonii. Masowy napływ mużułmanów do tej części kraju to efekt przyjaznej polityki i hojnie wydawanych zasiłków.

Już nikogo nie dziwi, że w tym regionie znajduje się aż 80 salańskich ze 109 wszystkich meczetów w Hiszpanii. Ogromna społeczność wyznawców Allaha to przede wszystkim ogromny elektorat dla niepodległościowych partii Katalonii, które nie pogardzą żadnym głosem w kolejnym referendum niepodległościowym. Partyjni funkcjonariusze separatystycznych partii Katalonii animują wręcz napływ młodych Marokańczyków, obiecując im dobrobyt i wygodne, beztrudne życie. Kataloński polityk, sekretarz generalny lewicowej partii ERC Àngel Colom wstawił się nawet niechlubnym zdaniem: „Nie można zbudować niezależnego Państwa Katalońskiego bez udziału Katalanomarokańczyków” („catalanomarroquíes”). Nic dziwnego, że na słupach z ogłoszeniami można znaleźć afisze zachęcające hiszpańskie kobiety „cnotliwe i uczciwe” do zawierania związków małżeńskich z mużułmanami. Gwarantowane jest szczęście i poznanie jedynej prawdziwej religii.

IDEOLOGICZNE ZACZADZENIE

Szacuje się, że każdego roku z Barcelony wyjeżdżają do krajów arabskich setki mużułmańskich dzieci w wieku od 7 do 17 lat, by w tamtejszych medresach studiować język arabski, prawo i Koran. Dla rodziców zachowanie nakazów tradycji jest priorytetem, toteż ich potomstwo powraca w rodzinne strony na okres od minimum pół roku do pięciu lat, aby nasiąkać wiarą ojców. Miastem rekordowej liczby wyznawców Allaha jest katalońskie Salt i okolice Girony. Z rozlicznych niezależnych źródeł szacuje się, że przy obecnym

napływie imigrantów i wskaźniku urodzin (Katalonia ma wskaźnik urodzin 1,1 – jeden z najmniejszych w Europie, podczas gdy w rodzinach mużułmańskich wskaźnik ten wynosi 8,1) mużułmanie będą stanowili w Katalonii bezwzględną większość w 2080 r. A już w 2020 r. co piąty Katalończyk będzie wyznawcą Allaha.

Katalońskie władze, tak jak i „naród” kataloński, zachowują jednak zdumiewający optymizm, by nie rzec – stan ideologicznego zaczadzenia. Furda tam doniesienia o kolejnych aresztowaniach w okolicy Girony, znalezieniu 10 tys. sztuk broni przeznaczonej do działań dżihadystów. 18 lutego dziesiątki tysięcy mieszkańców Barcelony wyległy na ulice w pochodzie pod hasłem: „Casa Nostra Casa Vostra” („Nasz dom waszym domem”), dając upust swojej woli przyjmowania uchodźców.

Kilka miesięcy temu zwolennicy lewicowych i separatystycznych partii wypisywali na ścianach budynków lub na swoich prywatnych profilach w portalach społecznościowych hasła typu: „Tourism = terrorism”, „Tourist go home, welcome refugees”. Tuż po zamachach te wszystkie haniebne wypowiedzi przypomnieli swoim rodakom dziennikarze „El País” – Lluís Bassets. Posypał się na niego grad obelg i gróźb. Nienawiść katalońskich lewaków wobec turystów ma swoje rozliczne źródła. Podobno masy admiratorów Gaudiego (którego proces beatyfikacyjny wciąż trwa) przeszkadzają zapomnieć o judeo-chrześcijańskich korzeniach tej części kraju. Trudno też wznosić populistyczne hasła o nędzy mas, skoro wredni turyści wciąż zasilają kasę miasta niebotycznymi wpływami. Nadto zbyt często zdarza się przybyšom zapomnieć, że „Katalonia to nie Hiszpania!”: zachciewa im się corridy, rozmów w castellano albo niczym feudalny plebs pytają o zdrowie króla.

Tuż po zamachach lewica usilnie pracowała nad wypromowaniem obrazu zamachowca jako samotnego wilka, który zradikalizował się „po cichu i w Internecie”, bez udziału imama i wbrew kochającej rodzinie. Bronienie za wszelką cenę utopijnej wizji multikulturalnego społeczeństwa to priorytet lewicowych włodarzy miasta.

I pomyśleć, że niegdyś Cervantes (uosobienie znienawidzonej przez Katalończyków katolickiej „Hispanidad”) opiewał Barcelonę jako „wzorzec uprzejmości, schronienie dla obcokrajowców, szpital dla potrzebujących, ojczyznę odważnych, pomstę dla znieważonych, miejsce zawierania przyjaźni...”



Grzegorz Kucharczyk

Z programów wyborczych niemieckich partii politycznych wyłania się obraz, który nie jest dobry dla Polski

Treść programów wyborczych partii politycznych to ryzykowna lektura. Grozi bowiem strata czasu bez gwarancji uzyskania konkretnych informacji o zamierzeniach danej formacji po jej ewentualnym zwycięstwie wyborczym. Warto jednak podjąć takie ryzyko, bo może się okazać, że brak informacji (zwłaszcza o konkretnym aspekcie życia politycznego i społecznego) jest sam w sobie ważną informacją. Ważny jest przecież i ton, który towarzyszy formułowanym obietnicom oraz diagnozom wyborczym.

Przejrzałem programy największych niemieckich partii, które wystartują w wyborach 24 września, zarówno mainstreamowych (CDU, SPD, Zieloni, FDP), jak i tych, które nie mają szans wejść w żaden przyszły układ koalicyjny (postkomunistyczna Die Linke oraz eurosceptyczna AfD).

JEST BYCZO, BĘDZIE LEPIEJ

Wydaje się, że dla partii mainstreamowych wybory (w domyśle zwycięstwo wyborcze konkretnej partii) będą szansą na poprawę tego, co już teraz jest w doskonałej kondycji. W programie wyborczym CDU Niemcy to „od lat jeden z najbezpieczniejszych krajów na świecie”. Bundesrepublika według chadeków to „naród o wyrobionej kulturze [Kulturnation], otwarty na świat i zakorzeniony w europejskiej tradycji”, a niemieckie życie społeczne „charakteryzuje się wspaniałą jednością w różnorodności”.

Nie inaczej obraz Niemiec jest przedstawiony w programie wyborczym socjaldemokratów. Partia Martina Schulza pisze: „Nasz kraj jest dzisiaj tak demokratyczny, otwarty, nowoczesny i wolny jak nigdy przedtem”. To „silny kraj z silnymi przedsiębiorstwami oraz innowacyjną klasą średnią”. W ocenie socjaldemokratów „Niemcy są stabilnym krajem”, który jest „kotwicą stabilności dla Europy”.

Ktoś może jednak odpowiedzieć, że w ten sposób czterolecie swoich rządów

zachwala obecna koalicja rządowa złożona – przypomnijmy – z chadeków i socjaldemokratów (tzw. wielka koalicja). Pomijając to, że większość przytoczonych opinii nie odnosi się do czterech lat kadencji rządowej, lecz raczej opisuje kondycję kulturową i społeczną Niemiec w wymiarze „długiego trwania”, warto zwrócić uwagę, że podobny ton obecny jest również w deklaracjach programowych partii opozycyjnych. Na przykład Zieloni w swoim programie wyborczym stwierdzają, że „w ostatnich dziesięcioleciach nasze społeczeństwo stało się bardziej otwarte i bardziej różnorodne”, a Niemcy to „zamożny kraj”. Podobny ton obecny jest w programie liberalnej FDP, która domaga się, by „Niemcy stosownie do swojej gospodarczej siły przejęły

więcej odpowiedzialności w zakresie polityki międzynarodowej”.

ZAKAZANE SŁOWO

„Silny, stabilny kraj”, „kraj zamożny”, „kotwica stabilności dla Europy”, „naród o wyrobionej kulturze” – czy jest wspólny mianownik dla tych wszystkich określeń? Jest takie słowo zakazane w oficjalnym niemieckim dyskursie politycznym. Brzmi ono: „mocarstwo”. O niemieckim mocarstwie mówią programy wyborcze partii politycznych niemieckiego mainstreamu. O mocarstwie, które już jest i ma być jeszcze silniejsze.

Inaczej kwestia ta wygląda w programach wyborczych partii sytuujących się poza głównym nurtem (Die Linke i AfD). Chociaż, gdy czytamy w dokumencie



Mocarstwo chce więcej



W programach wszystkich głównych niemieckich partii pojawia się chęć zdominowania Europy. FOT. POOL/REUTERS/FORUM

dowej pozycji Niemiec. AfD wprost pisze o konieczności zapewnienia Niemcom stałego miejsca w Radzie Bezpieczeństwa ONZ.

CORAZ WIĘCEJ NIEMIEC

Niemieckie mocarstwo ma przed sobą perspektywę dalszego wzrostu jako ważnego gracza w polityce międzynarodowej. Co do tego zgadzają się w swoich programach wyborczych wszystkie partie niemieckiego mainstreamu. Najwięcej i najbardziej dobitnie piszą o tym chadecy. CDU, podkreślając swoją wierność transatlantyckiemu przymierzowi i uczestnictwu Niemiec w NATO, stwierdza jednocześnie, że „czasy, w których mogliśmy w pełni polegać na innych, coraz bardziej się oddalają. My, Europejczycy, musimy konsekwentnie niż dotychczas brać własny los w swoje ręce”, do tego zaś potrzebna jest „silna, pewna siebie i dynamiczna Europa”. A „motorem” takiej Europy ma być jeszcze ściślejsza współpraca niemiecko-francuska.

W podobny sposób przyszłą rolę Niemiec w zjednoczonej Europie widzą socjaldemokraci, którzy również uważają, że to Niemcy i Francja „mają szczególną, wspólną odpowiedzialność za jedność Unii Europejskiej”. Zarówno socjaldemokraci, jak i Zieloni, FDP oraz postkomuniści domagają się w swoich programach dalszego wzmocnienia instytucji europejskich, na czele z Parlamentem Europejskim i Komisją Europejską (o tej ostatniej *expressis verbis* wspominają socjaldemokraci). Od tego wzorca odbiega AfD, która w swoim programie wprost stwierdza, że dalsza integracja europejska będzie tylko ze szkodą dla żywotnych interesów Niemiec. Z tego samego powodu partia ta domaga się jak najszybszego opuszczenia przez RFN strefy euro.

W partiach mainstreamowych dominują głosy domagające się prowadzenia przez UE jednolitej i samodzielnej polityki zagranicznej oraz obronnej (SPD, Zieloni, FDP). Zwiększenia znaczenia UE w tych dziedzinach domaga się również CDU, choć w programie chadeków nie ma deklaracji domagających się walki w ramach UE z „dumpingiem społecznym” (SPD) czy utworzenia Europy „różnych prędkości” (FDP).

POLSKA NA MARGINESIE

A czy któraś z niemieckich partii mówi o Polsce? W kontekście pozytywnym wzmianka o naszym kraju pojawia

się jedynie w programie CDU, gdy mowa o konieczności kontynuowania współpracy niemiecko-francusko-polskiej w ramach Trójkąta Weimarskiego. Warto również odnotować obecny w programie Zielonych postulat, aby przy budowie gazociągu Nord Stream 2 „bardziej uwzględniać potrzeby innych europejskich państw” (I tylko tyle. Nikt nie mówi o całkowitym zarzuceniu projektu). Inne partie o Nord Stream 2 w swoich programach w ogóle nie wspominają. W tym przypadku brak informacji jest istotną informacją.

Z pewnością domaganie się przez SPD zaostrzenia walki z „dumpingiem społecznym” w ramach UE ma zdecydowanie antypolskie ostrze. Podobnie jak płynące ze strony socjaldemokratów postulaty ujednolicenia systemu podatkowego krajów członkowskich Unii. Właściwie we wszystkich partiach mainstreamowych pojawiają się wezwania do „wzmocnienia Europy jako wspólnoty wartości”, rozumianych jako respektowanie demokracji, praworządności i praw człowieka. W tym kontekście co rusz w dokumentach partyjnych pojawiają się utyskiwania na to, że „nie wszystkie państwa członkowskie UE” przestrzegają tych wartości. Jednak jedynie w programie Zielonych wprost wskazano „winnych”. Die Grünen piszą: „Jesteśmy oburzeni, że w środku Europy, na Węgrzech i w Polsce, czyni się zamach na demokrację i państwo prawa”. Inne mainstreamowe partie takie konkretnie nie są, choć wszystkie domagają się „wzmocnienia mechanizmów kontroli praworządności” w ramach UE, bo – jak zapisano w programie SPD – „państwa UE muszą nie tylko przed wejściem do UE, lecz także po nim gwarantować takie wartości jak demokracja, państwo prawa i przestrzeganie praw podstawowych”. Znacznego zaostrzenia kar dla państw, które nie sprostają takim wymaganiom, domaga się w swoim programie liberalna FDP. Zarówno postkomuniści, jak i AfD nie umieścili w swoich programach postulatu dyscyplinowania takich krajów.

NOWA RODZINA

W odniesieniu do nabrzmiewającego w Niemczech problemu integracji społeczności muzułmańskiej (obecnie ok. 6 mln osób) panuje niemal 100-procentowy ponadpartyjny konsensus, wedle którego „islam należy do Niemiec”. Pod tą sentencją wypowiedzianą parę

postkomunistycznej Die Linke o tym, jak to Niemcy przez konstrukcję strefy euro stworzyły dogodne dla rozwoju własnego eksportu warunki makroekonomiczne, z których bezwzględnie korzystają – co lewica, ma się rozumieć, ze szczerego, proletariackiego serca potępia – po raz kolejny mamy do czynienia ze stwierdzeniem faktu istnienia mocarstwowej polityki państwa, mimo że przedstawionej w negatywnym kontekście.

Z kolei czytając program przedstawianej w liberalnych mediach jako antysystemowej Alternatywy dla Niemiec (AfD), można odnieść wrażenie, że dla tego ugrupowania antyeuropejska retoryka (postulat wyjścia Niemiec ze strefy euro) ma jedynie bardziej podkreślić ambitny program wzrostu międzynaro-

lat temu przez kanclerz Angelę Merkel podpisują się wszystkie partie z wyjątkiem AfD. Ta ostatnia w swoim programie stwierdza, że „islam nie należy do Niemiec”, a społeczność muzułmańska w Niemczech jest „wielkim zagrożeniem dla naszego państwa, naszego społeczeństwa i dla naszego systemu wartości”.

Podobny wzorzec, czyli „wszyscy” (mainstream plus postkomuniści) kontra AfD, widoczny jest również w stosunku do rodziny. Z wyjątkiem AfD wszystkie partie w swoich wyborczych programach dystansują się od pojęcia rodziny jako trwałego związku mężczyzny i kobiety.

W programie wyborczym CDU czytamy: „Nie przypisujemy rodzinom żadnych określonych wzorców życia rodzinnego. Respektujemy różnorodne

w którym zapisano, że „rodzina jest tam, gdzie ludzie biorą za siebie nawzajem odpowiedzialność – od małżeństwa między mężczyzną a kobietą, przez matki i ojców samotnie wychowujących dzieci, rodziny patchworkowe, aż do par jednopłciowych”. Nie ma również w tym względzie żadnych różnic między chadekami a Zielonymi, którzy w swoim programie umieścili podobne zapisy.

SPRAWIEDLIWOŚĆ PŁCIOWA

Co ciekawe, najdalej w awangardzie postępu zaszli postkomuniści z Die Linke, którzy – podobnie jak wszystkie partie z wyjątkiem CDU – domagają się dalszego wzmocnienia walki z „dyskryminacją osób transpłciowych”, ale postulat ten rozumieją bardzo szeroko. Przede wszystkim należy skoncentrować wysił-

zawieni poczucia humoru. Na drodze realizacji swojego postulatu „sprawiedliwości płciowej” widzą bowiem ważną rolę w „dialogu” ze wspólnotami wyznaniowymi. Szczególnie zaś chodzi im o „dialog ze zróżnicowanymi muzułmańskimi społecznościami”. Tutaj Die Linke ma nadzieję „na postępy emancypacyjne po obu stronach, jak również na bardziej pozbawione konfliktów współistnienie”.

Program AfD w odniesieniu do rodziny jest na tym tle jakąś alternatywą. Jest tam deklaracja „wsparcia i strzeżenia obrazu małżeństwa i tradycyjnej rodziny, który zawarty jest w konstytucji”, poparta postulatem, by polityka rodzinna na poziomie centralnym oraz w poszczególnych landach „orientowała się na obraz rodziny złożonej z ojca, matki i dzieci”. Jednocześnie AfD deklaruje swój sprzeciw wobec „prób rozciągnięcia znaczenia słowa »rodzina« na inne wspólnoty”, co oznacza „pozbawienie rodziny szczególnej ochrony ze strony państwa”.

Tylko w programie AfD mowa jest o prawie do życia osób nienarodzonych. „Także nienarodzone dzieci mają prawo do życia. O wiele zbyt często prawo to było podporządkowywane prawu do samorealizacji albo społecznym obawom” – pisze w swoim dokumencie AfD – domagając się jednocześnie, by „szacunek dla życia i pozytywny obraz małżeństwa był przekazywany w społeczeństwie, w rodzinach, szkołach i mediach”. Żadna inna partia nie zdobyła się nawet na takie ogólne sformułowania. Żadna nie odważyła się nazwać – jak uczyniła to AfD – ideologii gender „wrogą konstytucji”.

UTRZYMANY KURS

Wszystko wskazuje na to, że wrześniowe wybory do Bundestagu wygra CDU, która będzie dobierać sobie koalicjanta. Czy to będzie SPD czy Zieloni, jest kwestią drugorzędą, bo zasadniczych różnic programowych między mainstreamowymi partiami właściwie nie ma. Każda z nich chce mocarstwowych Niemiec coraz bardziej aktywnych w polityce międzynarodowej, dyscyplinujących państwa, które niedostatecznie respektują „europejskie wartości”. Chcą silnego państwa patronującego dalszej dechrystianizacji życia społecznego w Niemczech. To dla Polski bardzo złe wiadomości.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Między mainstreamowymi partiami, które mają szansę zasiąść w Bundestagu, różnic prawie nie ma FOT. OMER MESSINGER/NURPHOTO/GETTY IMAGES

formy wspólnego życia. Ludzie sami powinni decydować, jak kształtować sposób swojego wspólnego życia i jak będą organizować swoje życie codzienne. Odpowiedzialność jest podejmowana i przeżywana także w innych formach życia wspólnego obliczonych na trwałość, np. przez osoby samotnie wychowujące dzieci, rodziny patchworkowe, pozamałżeńskie wspólnoty życia oraz istniejące, zarejestrowane związki partnerskie”.

Gdzie podziałą się literka C w nazwie partii Angeli Merkel? O tym, że dawno zanikła, przekonują zacytowane przed chwilą słowa, które przecież w niczym nie różnią się od sformułowania obecnego w programie wyborczym SPD,

ki na prewencji i dlatego – jak zapisano w programie Die Linke – „sprawiedliwość płciowa (Geschlechtergerechtigkeit) musi być wspierana już od wieku dziecięcego i już wtedy należy zapewnić przestrzeń dla osobistego rozwoju i różnorodności płciowej”. Konieczna jest – piszą dalej – „zmiana w społecznej świadomości”. A konkretnie chodzi o to, by „w planach nauczania instytucji edukacyjnych znalazła odzwierciedlenie realnie istniejąca różnorodność sposobów życia i tożsamości, zamiast odwoływanie się do stereotypów oraz starych wzorców podziału ról”.

Autorzy programu wyborczego postkomunistycznej formacji nie są po-



SZEWACH WEISS

Racjonalny Trump

Ostatnie przemówienie Donalda Trumpa, w którym amerykański prezydent przedstawił nową, opartą na „pryncypialnym realizmie” strategię dotyczącą wojny w Afganistanie, było niezwykle ważnym politycznym wydarzeniem.

Ważnym tym bardziej, że Trump ma opinię prezydenta „nieprzewidywalnego”. Jego decyzja to kolejny dowód na to, jak bardzo zmienia się punkt widzenia polityków podczas kampanii wyborczej i po objęciu stanowiska. I nie chodzi tylko o gospodarza Białego Domu. Tak naprawdę każdy z liderów jest „nieprzewidywalny”, ponieważ po wyborach zachowuje się inaczej, a często całkowicie odmiennie, niż obiecywał podczas kampanii wyborczej.

Donald Trump jako przywódca demokratycznego świata musi zaś prowadzić bardzo dynamiczną politykę. Tak też jest w przypadku Afganistanu. Siły zachodnie były zmuszone do interwencji w tym kraju, ponieważ brak kontroli

się kapitulacją wroga. Sytuację utrudnia brak granic, a także to, że nawet jeśli akurat władzę sprawuje konkretny lider – choćby Osama bin Laden – to jego likwidacja i tak niewiele daje, ponieważ jeszcze za jego życia ustalona jest długa lista jego następców. Tak też było w przypadku Al-Kaidy.

Ataki terrorystyczne, których jesteśmy świadkami, nie są tylko wynikiem fanatycznej interpretacji islamu. Pokazują one także, że żyjemy w świecie, w którym nadal wiele osób pała żądzą zemsty na dawnych kolonizatorach. Wielu radykałów nadal uważa, że zachodni świat jest o wiele lepiej rozwinięty m.in. ze względu na to, ile zarobił, podbijając inne części świata, i do ataku inspiruje ich poczucie zazdrości. Jako Izraelczyk zwrócę uwagę, że podobny stosunek mają mieszkańcy Bliskiego Wschodu do Izraela. Dla nich Izrael to symbol „współczesnego kolonializmu”.

Donald Trump i jego administracja wiedzą, że w systemie demokratycznym trzeba zawsze brać pod uwagę opinię publiczną. W jej przekonaniu w zmianie strategii pomagają fakty. Analiza sytuacji w Afganistanie i na Bliskim Wschodzie pokazuje zaś, że nie da się narzucić takim krajom systemu demokratycznego. Wszelkie próby zmiany reżimu i kultury politycznej z systemu totalitarnego na demokratyczny zajmują dużo czasu, a często są po prostu niemożliwe.

Nagłe transformacje były łatwiejsze np. wtedy, gdy po II wojnie światowej Niemcy zostały totalnie zniszczone i podpisały kapitulację – wówczas siły alianckie mogły zmusić ich do zmiany systemu. Mówimy jednak o europejskim kraju, w którym wcześniej istniał system demokratyczny albo – tak jak w czasach Bismarcka – mieszananka demokracji z autorytaryzmem.

Taka transformacja mogła się też udać w Hiszpanii, w której po rządach Franco wewnętrzne siły

doprowadziły do powrotu do systemu demokratycznego, istniejącego wcześniej w tym kraju przez wiele dekad. Zmiana reżimu udała się też w prawie wszystkich krajach postkomunistycznych – znów było to jednak możliwe, ponieważ w wielu przypadkach był to po prostu powrót do istniejących tradycji demokratycznych.

Ostatnie przemówienie Trumpa pokazuje, że amerykański prezydent i jego doradcy wyciągnęli wnioski z tych lekcji. Niestety, nie oznacza to, że zmierzamy w kierunku spokojniejszego świata. Powstanie licznych państw ideologicznych, pełnych fanatyków, bez konkretnych granic sprawia, że obrona przed terrorem jest niezwykle trudna. Nawet najlepsi funkcjonariusze wywiadu nie mogą sprawić, aby Bruksela, Paryż, Nicea czy Nowy Jork były w 100 proc. bezpieczne. Nawet w Izraelu, gdzie mamy świetną armię, policję i służby, nie ma tygodnia, by ktoś nie padł ofiarą terroru.

Ichoć w dyskusjach filozoficznych oraz politologicznych używamy pojęcia „niewinni ludzie”, to przecież winni są tylko ci, którzy prowadzą politykę wewnętrzną czy zewnętrzną. Nawet żołnierze – młodzi ludzie – wysyłani na różne misje w dalekie kraje są „ofiarami niewinnymi”. Nikt ich przecież nie pytał, czy chcą ginąć za dany cel polityczny. Tacy żołnierze muszą przecież walczyć nawet wówczas, gdy kompletnie nie zgadzają się z polityką swych przywódców. Czasem „niewinnym człowiekiem” może być też sam oprawca – mógł paść ofiarą religijnej perswazji fanatyków. We współczesnym świecie konieczne jest więc rozwijanie służb wywiadowczych, a także ostrożność, czujność i odpowiedzialność poszczególnych obywateli. Biorąc pod uwagę wszystkie te czynniki, można dojść do wniosku, że polityka „nieprzewidywalnego Trumpa” wygląda coraz bardziej racjonalnie. © © oprac. jap



Prezydent Trump zdecydował o zwiększeniu liczby żołnierzy USA w Afganistanie. FOT. BRIAN HARRIS/ZUMA/FORUM

władz w Kabulu nad stanem bezpieczeństwa wewnętrznego doprowadził do zwycięstwa talibów i rozprzestrzenienia się zagrożenia terrorem, a w konsekwencji do zamachu z 11 września 2001 r.

Niestety, interwencja w Afganistanie pokazuje, jak trudna, a czasem wręcz niemożliwa jest misja mająca doprowadzić do zakończenia tego typu konfliktu. Wojny z terrorem nigdy nie kończą

Przechytrzyć hakerów



Jacek Przybylski

Banki, operatorzy komórkowi, portale internetowe, producenci gier wideo czy studia filmowe. Na siejące spustoszenie cyberataki narażona jest większość przedsiębiorstw

Petya i WannaCry – to najbardziej znane internetowe robaki, za pomocą których hakerzy w ostatnich miesiącach przeprowadzili globalne ataki, w wyniku których w taryfarnych wpały fabryki, banki, operatorzy telefoniczni, producenci motoryzacyjni, agencje reklamowe, firmy spedycyjne, lotniska, ciepłownie, elektrownie, szpitale etc.

Za pomocą wirusa WannaCry cyberprzestępcy zaatakowali w maju obecnego roku. Złośliwym oprogramowaniem,

które blokowało dostęp do komputera z systemem Windows, zainfekowanych zostało ok. 200 tys. komputerów w ponad 150 krajach. Wirus Petya zainfekowane zostały maszyny w co najmniej 65 krajach: od Ukrainy poprzez Polskę aż do Stanów Zjednoczonych, Brazylii czy Australii.

Zarówno Petya, jak i WannaCry to wirusy typu ransomware. Szyfrują one dyski twarde, nie pozwalając otworzyć ani skopiować żadnych plików dopóty, dopóki użytkownik nie zapłaci okupu w bitcoinach – przelew w tej wirtualnej

walucie jest bowiem bardzo trudny do wykrycia. Dopiero po spełnieniu żądania cyberporywaczy właściciel komputera może mieć nadzieję, że otrzyma od kryminalistów kod pozwalający na odszyfrowanie zawartości przejętego dysku. Ekspert ostrzegają, że nie ma żadnej pewności, iż zapłata okupu doprowadzi do odzyskania zaszyfrowanych plików. Również przedstawiciele agencji rządowych w Stanach Zjednoczonych czy w Wielkiej Brytanii zalecają, aby nie płać cyfrowego haraczu.

**PATRONAT
DO
RZECZY**

Petya. W tym przypadku hakerzy zarobili prawdopodobnie niewiele ponad 10 tys. dol., ponieważ niemieccy administratorzy usługi pocztowej Posteo zablokowali atakującym dostęp do konta e-mailowego, na który miały być nadsyłane informacje o wpłatach haraczu. Przyczyną finansowej porażki cyberkryminalistów mogą być też ostrzeżenia ekspertów, którzy alarmowali, że szkodliwe oprogramowanie prowadziło do bezpowrotnej utraty danych – wpłata okupu nie dawała więc możliwości odszyfrowania plików.

HAKERZY DYKTATORA?

Atakującym wcale nie musiało chodzić o pieniądze. Według analiz amerykańskich i brytyjskich ekspertów za majowym atakiem prawdopodobnie stali hakerzy z Korei Północnej. Cyberwłamywacze skorzystali zaś z kodu wykorzystywanego do inwigilacji przez... amerykańskich cyberspiegów. Zarówno pracownicy agencji wywiadowczej NSA, jak i CIA wykorzystują bowiem luki w najpopularniejszych systemach operacyjnych, takich jak Mac OS, Windows czy Android. Mogą więc łatwo czytywać dane z płyt CD/DVD czy też rejestrować wszystkie naciskane w komputerze klawisze. Narzędziami wykorzystywanymi przez Amerykanów posługiwać się mogą również służby w sojusznicznych krajach USA.

Za ujawnieniem danych o operacjach elektronicznych zachodnich wywiadów – w marcu obecnego roku WikiLeaks opublikował zbiór dokumentów o nazwie „Vault 7”, ujawniający działania i narzędzia Centrum Wywiadu Elektronicznego CIA – stali więc prawdopodobnie Rosjanie lub Chińczycy. Wcześniej ofiarą potężnego ataku elektronicznych dywersantów w mundurach padło m.in. Sony Pictures. Hakerzy wykradli m.in. informacje o pracownikach i ich numerach ubezpieczeń społecznych, poufną korespondencję szefów firmy z mocno krytycznymi opiniami o aktorach, a także listy płac. Według FBI za atakiem na studio, które wyprodukowało komedię „The Interview” („Wywiad ze Słońcem Narodu”), stali cyberprzestępcy z Korei Północnej. Gdy hakerzy zagrozili zamachami na kina, które pokażą ten film, szefowie technologicznego giganta zdecydowali, że znacząco ograniczą wyświetlanie tytułu wyśmiewającego koreańskiego dyktatora, za co zostali ostro zganieni przez obrońców prawa do wolności słowa oraz publicznie pochwaleni przez... hakerów. Japońska korporacja

już wielokrotnie padała ofiarą włamań, podczas których cyberkryminalistom udało się np. uzyskać dostęp do numerów kart kredytowych ponad 12 tys. klientów Sony, a także wielokrotnie przejąć inne dane o użytkownikach serwisów tej firmy. Na celownikach hakerów znaleźli się też tacy giganci jak HBO czy serwis Yahoo. Szefowie tego ostatniego przyznali, że cyberprzestępcy wykradli dane dotyczące ponad miliarda kont, w tym imiona i nazwiska użytkowników, ich daty urodzenia, numery telefonów oraz pytania i odpowiedzi pomocnicze, służące do weryfikacji tożsamości. O ataku, do którego doszło w sierpniu 2013 r., Yahoo poinformowało jednak dopiero w grudniu 2016 r. W 2014 r. hakerzy ukradli dane dotyczące 500 mln użytkowników.

POLSKA NA CELOWNIKU

Na mniej lub bardziej wyrafinowane ataki narażone są oczywiście nie tylko globalne firmy. Celem profesjonalnych hakerów, pospolitych internetowych złodziei czy też młodocianych cyberchuliganów mogą się stać również mniejsze przedsiębiorstwa. W bolesny sposób przekonało się o tym wielu szefów polskich firm, które padły ofiarami wirusów Petya oraz WannaCry.

Według tegorocznego raportu PwC w 2016 r. aż 96 proc. średnich i dużych przedsiębiorstw działających w Polsce borykało się z cyberatakami. Większość firm nad Wisłą doświadczyła w ciągu ostatniego roku ponad 50 incydentów naruszających bezpieczeństwo informacji lub systemów IT, a w przypadku 64 proc. liczba takich zdarzeń przekroczyła 500.

Mimo to z ostatniego badania Intela przeprowadzonego w krajach Europy Środkowo-Wschodniej wynika, że aż 40 proc. dużych przedsiębiorstw w Polsce nie ma przygotowanego scenariusza awaryjnego na wypadek cyberataku lub podobnych zdarzeń. Badanie to pokazało również, że polskie firmy troszczą się o bezpieczeństwo IT w mniejszym stopniu niż przedsiębiorstwa z pobliskich Czech czy z Węgier. Z raportu Intela wynika jednocześnie, że w ciągu pół roku przed badaniem co najmniej raz do incydentów takich jak atak złośliwego oprogramowania, dostęp nieuprawnionych osób do danych firmowych, wycieki danych itp. doszło w 27 proc. badanych polskich firm, w 22 proc. – dwu- lub trzykrotnie, a w 5 proc. – co najmniej czterokrotnie.

Dla cyberprzestępców atak tego typu to teoretycznie okazja do wielkiego zarobku. Twórcy robaka WannaCry żądali od ofiar okupu w wysokości 300 dol. (lub 600 dol., jeśli ofiara nie zapłaciła w ciągu pierwszych 72 godzin). Gdyby wszyscy poszkodowani zapłacili okup, hakerzy wzbogaciliby się o kilkadziesiąt milionów dolarów. Według informacji CNBC mimo ogromnej skali ataku cyberprzestępcy zarobili jedynie 50 tys. dol., czyli równowartość 182 tys. zł. 300 dol. od poszkodowanych żądali też twórcy wirusa

FOT. FOTOLIA

– Badacze McAfee Labs dokładnie analizują cyberprzestrzeń i w kwartalnych raportach ostrzegają o nowych zagrożeniach, które pojawiają się w tempie nawet 327 na minutę. Wśród nich za każdym razem odkrywamy coraz bardziej wyrafinowane – cyberprzestępcy obmyślają bowiem wciąż nowe sposoby generowania sprytnie zamaskowanych zagrożeń. Aby ich uniknąć, należy postawić na dwa elementy: zabezpieczenia i edukację. Szefowie firm oraz producenci muszą dbać o stan wiedzy swoich pracowników i klientów – pamiętajmy, że to właśnie dobra intuicja i świadomość zagrożeń pozwalają ustrzec się przed większością najgroźniejszych ataków – mówi Arkadiusz Krawczyk z Intel Security Poland.

Według raportu „Ochrona biznesu w cyfrowej transformacji” PwC aż 41 proc. firm przemysłowych obawia się, że w wyniku ataku hakerskiego może dojść do uszkodzenia infrastruktury, co „pociągnie za sobą znaczące koszty”. Cyberataki mogą przynieść nie tylko wymierne straty finansowe, lecz także – jeśli dojdzie do wycieku danych klientów – poważne szkody wizerunkowe. Wchodzące w życie w maju przyszłego roku unijne rozporządzenie o ochronie danych osobowych (RODO) nakłada zaś na przedsiębiorców nowe wymagania dotyczące zabezpieczenia danych osobowych klientów.

CZŁOWIEK KONTRA CZAJNIK

W ochronie firmowych danych pomóc mogą zabezpieczenia na poziomie sprzętowym, specjalistyczne oprogramowanie oraz szkolenia dla pracowników. Bez tych ostatnich nawet najsilniejsze zapory mogą bowiem okazać się bezużyteczne. – Nie trzeba łamać haseł, wystarczy poprosić ludzi, by sami je podali – przekonywał Kevin Mitnick, jeden z najsłynniejszych hakerów świata.

Z przywołanego raportu PwC wynika, że w 79 proc. przypadków wykrytych incydentów związanych z naruszeniem bezpieczeństwa informacji ich źródłem byli obecni pracownicy firmy, 62 proc. stanowiły zaś ataki hakerskie.

Cyberprzestępcy uderzający w polskie firmy najczęściej wykorzystywali atak phishingowy (39 proc. przypadków), mający na celu zmylenie użytkownika i wyłudzenie danych. W pierwszej trójce najczęściej używanych przez hakerów metod znalazły się też wykorzystanie systemów IT (35 proc.) oraz użycie zewnętrznego nośnika danych (23 proc.).

Po ostatnich głośnych atakach zmieniło się podejście polskich menedżerów do cyberbezpieczeństwa, zwłaszcza jeśli chodzi o duże firmy, gdzie konsekwencje włamania są większe. Szefowie wielu firm zauważyli, że samo oprogramowanie antywirusowe nie wystarczy. Skupili się więc na rozszerzeniu ochrony o tzw. wirtualne łatanie dziur w systemach operacyjnych na serwerach, co zmniejsza ryzyko wykorzystania ewentualnych błędów w oprogramowaniu przez hakerów – mówi „Do Rzeczy” Michał Przygoda, specjalista ds. bezpieczeństwa firmy Trend Micro. – Z bezpieczeństwem w sieci jest jak z cebulą. Im więcej warstw, tym lepiej. Poza oprogramowaniem antywirusowym warto zainstalować też na styku sieci narzędzia typu firewall albo web proxy, czyli programy filtrujące ruch generowany przez użytkowników. Niezwykle przydatne jest także monitorowanie ruchu e-mailowego, aby analizować wiadomości pod kątem

96 proc.

TYLKO ŚREDNICH I DUŻYCH FIRM W POLSCE BORYKAŁO SIĘ Z CYBERATAKAMI W 2016 R.

niebezpiecznych załączników czy też podejrzanych linków. Ponad 90 proc. niebezpiecznego oprogramowania dostaje się bowiem do firmowej sieci za pomocą e-maili, np. za pomocą fałszywych faktur – ostrzega Michał Przygoda.

Niebezpieczne dla firmy mogą się okazać m.in. media społecznościowe – tak lubiane przez pracowników, zwłaszcza z pokolenia millenialsów. I nie chodzi tylko o czas stracony na bezproduktywne przeglądanie wpisów na Facebooku. Nawet najbardziej niewinnie wyglądające linki mogą prowadzić do stron zainfekowanych przez hakerów. W polskich firmach zdarzają się też rażące zaniedbania, takie jak brak hasła do sieci firmowej czy choćby łatwy dostęp do serwerowni.

Groźne z punktu widzenia bezpieczeństwa danych w firmie mogą być też różnego rodzaju nowoczesne urządzenia zaliczane do kategorii „Internetu rzeczy”. Business Insider już kilka lat temu opisywał historię chińskich czajników, które

potrafiły łączyć się z siecią wi-fi, aby na podstawie różnych danych przewidzieć, kiedy przyjdą pracownicy, i odpowiednio wcześniej zagotować wodę. Kłopot w tym, że chip łączący się z wi-fi nie był zabezpieczony. Czajniki służyły więc cyberprzestępcom do ataków na firmowe sieci. Ekspert ostrzega, że podobnie wykorzystywane mogą być też „inteligentne” żelazka i inne pozornie niegroźne urządzenia. Do szpiegowania wykorzystywane są również wyposażone w kamerki firmowe telewizory oraz laptopy. W zeszłym roku ówczesny szef FBI James Comey przyznał publicznie, że zarówno on sam, jak i jego podwładni zasłaniają wszystkie kamery w urządzeniach. W trosce o zachowanie prywatności podobnie postępuje też założyciel Facebooka Mark Zuckerberg. Wielu ekspertów uważa bowiem, że przed ryzykiem szpiegowania przez hakerów nie ma ucieczki.

Dłatego tak ważna jest edukacja członków zarządu firmy, jej pracowników, a także klientów. Najlepszym sposobem na sprawdzenie tego, czy dane przedsiębiorstwo jest gotowe na atak hakerski, jest przeprowadzenie symulacji tego typu incydentu. Cyberprzestępcom wystarczy bowiem choćby jeden komputer w sieci, który ma nieaktualne oprogramowanie.

Wprawdzie wiele polskich firm troskę o cyberbezpieczeństwo ogranicza jedynie do zabezpieczenia firmowej sieci hasłem, raport PwC pokazuje jednak, że średnie i duże przedsiębiorstwa przeznaczają na zabezpieczenie danych i systemów IT ogromne pieniądze. W 48 proc. firm wydatki na te cele przekraczają 1 mln zł rocznie, a w ponad połowie badanych firm mieszczą się w przedziale od 500 tys. do 1 mln zł.

Również na świecie na ochronę przed hakerami firmy wydają coraz więcej. Wartość światowego rynku cyberbezpieczeństwa wzrosła więc w ciągu ostatnich 13 lat aż 34-krotnie. W 2004 r. branża ta była warta zaledwie 3,5 mld dol. W tym roku jej wartość szacuje się już na 120 mld dol. A eksperci przewidują, że w 2022 r. przekroczy ona 231 mld dol., a być może w następnej dekadzie zbliży się do poziomu biliona dolarów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Cyberbezpieczeństwo firm będzie jednym z tematów omawianych podczas XXVII Forum Ekonomicznego w Krynicy-Zdroju (5–7 września).

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

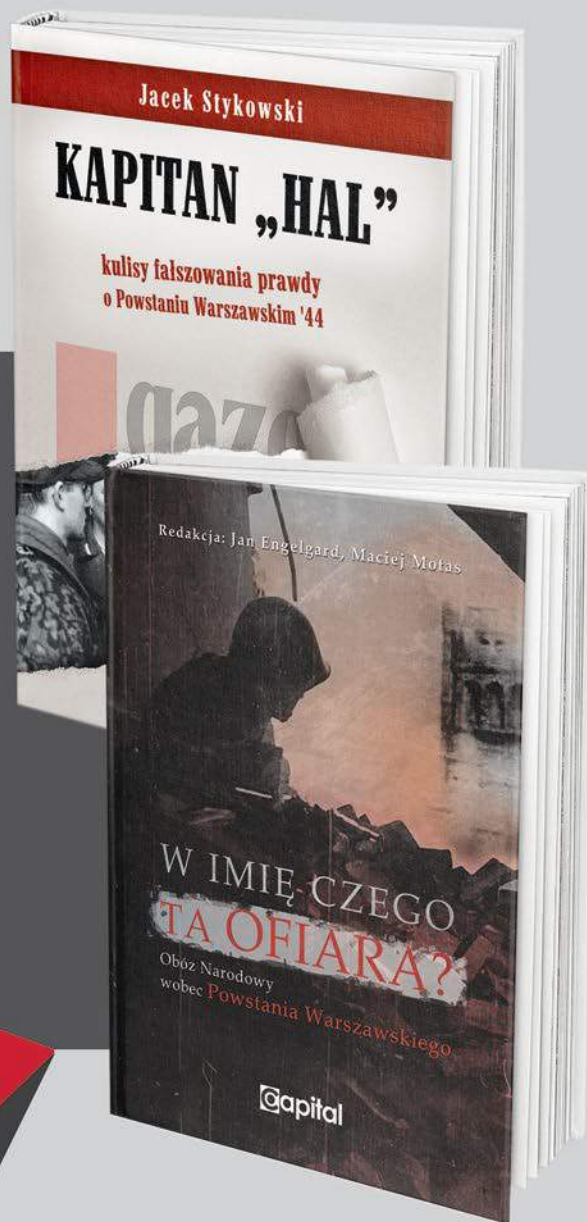
**ZAMÓW PRENUMERATĘ
CZYTAJ CO MIESIĄC
W LEPSZEJ CENIE**

**PRENUMERATA PÓŁROCZNA
TYGODNIKA „DO RZECZY”**

+ KSIĄŻKI J. STYKOWSKI "KAPITAN "HAL".
KULISY FAŁSZOWANIA PRAWDY O POWSTANIU
WARSZAWSKIM '44", J. ENGELGARD, M. MOTAS
"W IMIĘ CZEGO TA OFIARA? OBÓZ NARODOWY
WOBEĆ POWSTANIA WARSZAWSKIEGO"

144 zł

oszczędność 110 zł



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o. Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl dd796f7777

Moskiewski łącznik?



Stefan Sękowski

Gerhard Schröder złamał kolejne tabu, zgadzając się na pracę dla rosyjskiego Rosnieftu. Spotkało się to z potężną krytyką z lewa i prawa. Jednak jego obecność blisko Kremla nie szkodzi zbytnio Niemcom



FOT. SEAN CALLUP/JETTY IMAGES

Gdy 25 czerwca na scenę dortmundzkiej Westfalenhalle wkraczał Gerhard Schröder, witały go huczne oklaski. W tym miejscu Willy Brandt rozpoczynał w 1972 r. kampanię wyborczą, zakończoną historycznie najlepszym dla niemieckiej socjaldemokracji wynikiem. Teraz ostatni dotychczasowy kanclerz Niemiec wywodzący się z SPD miał wesprzeć lewicowego kandydata na to stanowisko, Martina Schulza. – Nie zapominajcie o polityce odprężenia. Ona należy do socjaldemokracji, a wy, drodzy towarzysze i towarzyszki, jesteście spadkobiercami tej polityki. Pokój i stabilność na naszym kontynencie mogą istnieć tylko, jeśli mamy rozsądne i dobre stosunki z naszym wielkim sąsiadem Rosją – mówił, co spotkało się z gromkim aplauzem. Są jednak pewne granice w prorosyjskości, których nawet były niemiecki kanclerz przekroczyć nie może. A Schröder

właśnie to zrobił, przez co poparcie wyrażone dla Schulza przez i tak budzącego spore kontrowersje byłego polityka może się okazać pocałunkiem śmierci.

Schröder został w połowie sierpnia nominowany na stanowisko jednego z dyrektorów rosyjskiego koncernu petrochemicznego Rosneft, co spotkało się z krytyką z lewa i z prawa. – Gerhard Schröder staje się rosyjskim najemnikiem – nazwał to podejście sekretarz generalny Unii Chrześcijańsko-Społecznej (CSU) Andreas Scheuer. Także europoseł Zielonych Reinhard Bütikofer nie zostawił na byłym szefie niemieckiego rządu suchej nitki, stwierdzając, że „ostatecznie zniżył się do roli opłacanego sługi polityki Putina” i nawet liderka postkomunistycznej partii Die Linke Sahra Wagenknecht określiła jego decyzję jako „perwersyjną”. Sam były kanclerz nie widzi w swojej decyzji oczywiście niczego złego, natomiast Schulz zach-

wał się w tej sprawie jak słoń w składzie porcelany. Najpierw uznał, że to prywatna sprawa byłego kanclerza, a gdy okazało się, że mało kto jest tego samego zdania, obiecał, że po odejściu z polityki nie będzie szukał pracy w prywatnym biznesie.

TO NIE JEST ZWYKŁY BIZNES

Pokazuje to tylko, że Martin Schulz po latach spędzonych w Parlamencie Europejskim jest zupełnie odklejony od rzeczywistości i nie wie, czym jest prywatny biznes. Nie jest nim na pewno to, co uprawia Rosneft. Oczywiście zarabia on też pieniądze. Przykładowo na początku roku firma założyła spółkę Rosneft Deutschland zatrudniającą 5 tys. osób, w ramach której funkcjonują jej dotychczasowe zasoby na terenie RFN. W maju tego roku jej szef Igor Sieczin zapowiedział, że w ciągu pięciu lat zainwestuje na terenie naszego zachodniego

sąsiada 600 mln euro, głównie w modernizację czterech rafinerii, w których ma udziały, a także, być może, w sieć stacji benzynowych. W tym kontekście zatrudnienie byłego kanclerza z potężnym notesem z kontaktami i polityczno-prawniczym know-how to nie lada gratka. Jednak ta firma to w większości własność rosyjskiego państwa, które nie należy do najbardziej demokratycznych i transparentnych na świecie. Kandydatury Schrödera nie wystawił żaden przedsiębiorca, tylko rosyjski rząd, który wykorzystuje firmę jako swoje narzędzie wpływu. Szefem firmy jest były kagebiści i od wielu lat bliski współpracownik Władimira Putina. Dodatkowo koncern jest od trzech lat – czyli od aneksji Krymu przez Rosję – na liście firm objętych unijnymi sankcjami. Rosnieftowi nie wolno pozyskiwać ropy ani sprzedawać technologii dotyczących jej pozyskiwania na terenie Unii, europejskie banki nie mogą także współpracować z koncernem przez czas dłuższy niż 30 dni.

Obecność Schrödera w Rosniefcie nie ma więc wymiaru stricte biznesowego. Jako były kanclerz, bez względu na to, jak bardzo jest poza bieżącą polityką (wspierając kandydata na kanclerza chyba jednak nie bardzo), musi liczyć się z tym, że jego działalność zawsze będzie postrzegana jako polityczna. Reakcje polityków na jego decyzję pokazują, że wzbudza ona kontrowersje. Tak zresztą było w przypadku podjęcia pierwszej pracy Schrödera dla Moskwy, od końca 2005 r. jest bowiem przewodniczącym rady nadzorczej należącej do Gazpromu spółki Nord Stream. Już wtedy tę decyzję określano jako „afery”, w końcu sam jako kanclerz zrobił wiele dla sukcesu tego gazociągu. Na ten temat odbyła się nawet pod koniec 2005 r. specjalna debata w Bundestagu, w ciągu której Schrödera krytykowali wszyscy oprócz socjaldemokratów. A ich nowy lider, Franz Müntefering, stwierdził, że jest zadowolony z decyzji Schrödera, który „na tym stanowisku może także w przyszłości wykonywać dobrą robotę na rzecz naszego kraju i Europy”.

BUDOWNICZY MOSTÓW

I do tej pory byłemu politykowi za jego zaangażowanie farbowany włos nie spadł z głowy. Bo i wiąże się ono ze stratą wizerunkową dla opcji politycznej, z którą jest związany. Nie jest to jednak zbytnio szkodliwe dla samych Niemiec. Sześć lat

później Angela Merkel wspólnie ze swoim poprzednikiem wzięła udział w otwarciu gazociągu. Obecnie wspiera także budowę jego drugiej nitki, a Schröder w międzyczasie został także przewodniczącym rady zarządzającej spółki mającej budować gazociąg Nord Stream 2. Obie inwestycje są korzystne gospodarczo dla RFN. Były kanclerz nadal bierze udział w życiu politycznym. Ledwie 2 czerwca tego roku zjadł kolację z Władimirem Putinem i szefem niemieckiej dyplomacji Sigmarem Gabrielem, która miała trwać około dwóch godzin. Nie bez powodu niektórzy nazywają go budowniczym mostów między Rosją a Niemcami. Mogą na jego głowę lecieć gromy, niektórzy mogą domagać się nawet odebrania mu uposażenia, jakim cieszy się jako były kanclerz, ostatecznie nic mu się nie stanie, bo po pierwsze „wolnościowo-demokratyczne państwo prawa”, jakim jest RFN, nie dysponuje silnymi narzędziami do zdyscyplinowania go, a po drugie, tak naprawdę posiadanie takiego Schrödera przy uchu Putina jest dla Niemiec całkiem wygodne.

Tak naprawdę posiadanie takiego Schrödera przy uchu Putina jest dla Niemiec całkiem wygodne

Nie chcę przez to powiedzieć, że mamy do czynienia ze spiskiem, w ramach którego w podziemiach urzędu kanclerskiego powstają tajne plany współpracy między Berlinem a Moskwą, których Schröder jest emisariuszem. To bardziej skomplikowane, zwłaszcza że za utrzymywanie „swojego człowieka” w rosyjskich państwowych spółkach RFN płaciłyby wysoką cenę. Schröder jest bowiem znaczącym orędownikiem postawy Rosji na arenie międzynarodowej, często zachęca europejskich polityków i opinię publiczną do tego, by próbować rozumieć postawę Moskwy w takich sprawach jak np. wojna na Ukrainie. W swoim przemówieniu w Dortmundzie zachęcał do przeciwstawiania się amerykańskiemu prezydentowi Donaldowi Trumpowi, co samo w sobie nie byłoby niczym zdrożnym (niby dlaczego Niemcy jako niepodległe państwo miałyby być a priori podległe swemu większemu sojusznikowi?), gdyby nie to, że jednym

z wyrazów oporu miałyby być sprzeciw wobec podniesienia wydatków na armię do 2 proc. PKB. Co, biorąc pod uwagę katastrofalny stan sprzętowy Bundeswehry po latach oszczędzania na niej, jest dla naszych zachodnich sąsiadów wręcz koniecznością.

OPCJA ROSYJSKA ROŚNIE W SIŁĘ

Jednak punkt widzenia Schrödera na Rosję podziela coraz więcej niemieckich polityków. Kwestia sankcji i stosunku do okupacji Krymu jest jednym z istotnych tematów trwającej właśnie kampanii wyborczej. Empatię wobec Moskwy wyrażają głównie postkomunistyczna partia Die Linke i eurosceptyczna Alternatywa dla Niemiec, jednak zaskakujące stanowisko zajęli ostatnio przedstawiciele partii tradycyjnie proatlantyckich. Przewodniczący bawarskiej CSU Horst Seehofer stwierdził w styczniu, że nałożone na Rosję sankcje należy zdjąć do końca tego roku i jak najszybciej przyjąć ją z powrotem do grona państw G-8. Opinię publiczną zaskoczył także przewodniczący liberalnej Wolnej Partii Demokratycznej (FDP) Christian Lindner, który stwierdził, że aneksję Krymu należy uznać za „trwałe prowizorium”, a Putinowi „pozwolić wyjść z konfliktu z twarzą”. Jest to o tyle intrygujące, że w programie wyborczym mającej duże szanse na powrót do Bundestagu i niemieckiego rządu FDP można znaleźć apel do rządu Rosji, by zakończyła „sprzeczną z prawem międzynarodowym okupację Krymu oraz wojnę we wschodniej Ukrainie”, a gdyby konflikt miał eskalować, należy wręcz zaostrzyć sankcje wobec Moskwy. Co więcej, jeśli po wrześniowych wyborach miałyby powstać w Berlinie koalicja chadecko-liberalna, to Lindner mógłby zostać ministrem spraw zagranicznych RFN (był nimi jego poprzednicy, np. Hans-Dietrich Genscher czy Guido Westerwelle).

Na razie niemiecki rząd krytykuje takie propozycje, ale niewykluczone, że prędzej czy później pani kanclerz (jej pozostanie na stanowisku jest niemal pewne) zacznie mówić o konieczności zawieszenia sankcji – na ich negatywny wpływ na niemiecką gospodarkę narzekają choćby firmy z branży maszynowej czy samochodowej. Tak się stanie, gdy tylko uzna to za zgodne z niemiecką racją stanu. Nawet jeśli wtedy krytykowany dziś Gerhard Schröder powie: „A nie mówiłem?”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji”.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Giełda Prezesa Wypatruje

Gdyby spółki nie potrzebowały prezesów na czele swych zarządów, ale do sprawnego kierowania nimi wystarczaliby wiceprezesi, raz po raz wspierani zmieniającymi się jak w kalejdoskopie „pełniającymi obowiązki prezesami”, to właściciele spółek z pewnością kierowaliby swymi firmami właśnie zgodnie z tą regułą – choćby dlatego, że mogliby dzięki temu zaoszczędzić na pensjach dla stałych prezesów. A skoro tak nie postępują, to pewnie taki stan – firm pozbawionych przez dłuższy czas stałego szefa zarządu – spółkom nie służy.

Dlaczego zatem większościowy współwłaściciel jednego z najważniejszych przedsiębiorstw w Polsce – warszawskiej Giełdy Papierów Wartościowych SA – tak lekceważy dobro tej perły w koronie polskich, narodowych firm? A owym większościowym współwłaścicielem jest Skarb Państwa Rzeczypospolitej Polskiej, w którego imieniu od wielu miesięcy działa Mateusz Morawiecki – w jednej osobie wicepremier oraz minister rozwoju i finansów. Nie umiem bowiem inaczej ocenić tego, że od niemal trzech kwartałów uosabiany przez Morawieckiego Skarb Państwa, dominujący akcjonariusz GPW SA, nie potrafi skutecznie wskazać kandydata, który mógłby bez przeszkód, zgodnie z polskim porządkiem prawnym, objąć fotel prezesa giełdy.

Najnowsza historia wyboru szefa GPW nadaje się w sam raz na ilustrację czegoś, co da się określić wyłącznie mianem złej zmiany na giełdzie, choć – to prawda – nie ma ona szczęścia do szefów od nieco dłuższego czasu. Prehistorię z okresu rządów przesławnej ekipy Platformy i PSL zostawmy jednak historykom, a sami zajmijmy się współczesnością.

Otóż wskutek bezceremonialnego przeciągania liny przez frakcje w rządzącej partii, Prawie i Sprawie, dłużej – przeciągania tejże liny ponad głowami pozostałych akcjonariuszy GPW SA i wszystkich notowanych na giełdzie spółek – pracami naszego narodowego parkietu kierowały tylko w tym roku już aż cztery osoby. Najpierw Małgorzata Zaleska – jako pełnoprawna prezes. Potem Rafał Antczak – jako prezes-nieprezes, który co prawda został wybrany na tę posadę, lecz nie doczekał się akceptacji Komisji Nadzoru Finansowego. Jeszcze później Jarosław Grzywiński – jako pełniący obowiązki prezesa. No i teraz Marek Dietl, który w czerwcu uzyskał akceptację walnego zgromadzenia (ponad 50 proc. ma na nim, jak wspominałem, Skarb Państwa), ale do tej pory nie może się pochwalić zgodą KNF. Komedia trwa więc w najlepsze (a raczej tragedia w najgorsze) dla polskiego parkietu. Co głównym bohaterom tego dramatu – o czym łatwo się przekonać – nawet w najmniejszym stopniu nie psuje znakomitego samopoczucia. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Na naukę nigdy za późno

Po przekroczeniu pięćdziesiątki rzuciłem zawód ekonomisty, w którym pracowałem przez ćwierć wieku, zająłem się nową dziedziną określaną jako data science lub machine learning. W ciągu roku, dzięki kursom on-line oraz kilku szkoleniom, nauczyłem się większości ważnych modeli, programowania w językach R i Python, wdrożyłem kilka projektów w języku R na mojej uczelni oraz napisałem dwa artykuły z zastosowaniem modeli data science. Oba zostały przyjęte na prestiżową międzynarodową konferencję. To wszystko w mniej niż rok, w wieku 50 lat.

Zacznijcie się uczyć zupełnie nowych rzeczy – takich, które was zainteresują

Opanowałem też modele maszynowego rozpoznawania tekstu i zaczynam projekt, którego celem jest nauczanie komputera, żeby czytał teksty projektów ustaw i oceniał, jaki mają wpływ na finanse publiczne oraz wolność gospodarczą. W 2011 r. mój kilkunastoosobowy zespół badawczy przeanalizował ponad 1,3 tys. tekstów ustaw uchwalonych od 1990 r. Projekt trwał ponad rok i był bardzo pracochłonny. Teraz podobną pracę wykona komputer w kilka godzin.

Ten tekst nie jest jednak o dyscyplinie data science, która jest pasjonująca

i którą powinno się wykładać w szkołach średnich oraz na większości wyższych uczelni. Ten tekst jest o tym, że mężczyzna po pięćdziesiątce może porzucić swój poprzedni zawód i korzystając z – w większości – darmowych materiałów oraz kursów internetowych, jest w stanie w krótkim czasie nauczyć się zupełnie nowych, bardzo pożytecznych i ciekawych rzeczy.

Uczenie się po pięćdziesiątce sprawia olbrzymią frajdę. Nie jest tak łatwo jak kiedyś. Za młodu studiowałem równoległe informatykę i ekonomię, na obu kierunkach miałem średnią bliską 5.0. A ostatnio test z sieci neuronowych zdałem dopiero za trzecim razem. Zmuszenie szarych komórek do intensywniej pracy w nowej dziedzinie to jednak tworzenie nowych połączeń neuronowych mózgu, to takie „intelektualne endorfiny”.

Polecam wszystkim 50-latkom. Zacznijcie się uczyć, ale nie poszerzając wiedzy w swojej dziedzinie, lecz zupełnie nowych rzeczy – takich, które was zainteresują. Które spowodują, że zaczniecie czytać zupełnie inne gazety, magazyny i blogi. Kiedyś nie wyobrażałem sobie dnia bez lektury „Financial Timesa”. Dzisiaj czytam blogi technologiczne. Nie mam pojęcia, co powiedział wczoraj dany polityk ani jaki był wzrost produkcji przemysłowej w lipcu. I jestem bardzo zadowolony z tej zmiany. ©©

Autorem jest rektorem Narxoz University w Alma Ate w Kazachstanie.

TEST „DO RZECZY”: MYSZ LOGITECH MX ANYWHERE 2S

Testowany gadżet może uratować system nerwowy tych użytkowników, którzy mają już serdecznie dość touchpadów w laptopach, a muszą dużo podróżować lub często pracować poza biurem.

Główną zaletą modelu MX Anywhere 2 jest możliwość działania praktycznie na każdej powierzchni – na szklanym stole na zebraniu zarządu, błyszczącym stoliku u dziewczyny w domu czy na dżinsowych spodniach podczas podróży samolotem.

Gadżet wygląda elegancko i ma siedem przycisków, które za pomocą oprogramowania Logitecha można łatwo zaprogramować. Popularny scroll ma dwa tryby pracy. Tryb „swobodnego obrotu” ułatwia błyskawiczne przeglądanie długich dokumentów lub szybką nawigację po portalach internetowych. Tryb „kliknięcie po kliknięciu” umożliwia precyzyjną nawigację. Niewielka mysz dobrze leży w ręku, a jednocześnie jest na tyle lekka (106 g) i mała (ma 10 cm długości, 6,2 cm szerokości



i 3,5 cm wysokości), że łatwo się ją przenosi. Można ją choćby wrzucić do kieszeni marynarki czy spodni. Mimo to szkoda, że w komplecie nie ma żadnego etui. Poza tym dla użytkowników o dużych dłoniach mysz może się okazać zbyt mała, co pod koniec dnia może

skutkować niewielkim bólem nadgarstka. Wadą mogą być również stosunkowo głośno działające przyciski.

Minimalna wartość czujnika wynosi 400 dpi, a maksymalna – 4000 dpi. Dzięki temu mysz może sprawdzić się również jako awaryjny gryzoń dla podróżujących graczy.

Bezprzewodową mysz można sparować jednocześnie z trzema urządzeniami. Połączenie odbywa się za pomocą wkładanego do portu USB miniaturowego odbiornika lub po prostu poprzez Bluetooth. Oprogramowanie Flow umożliwia np. wycięcie fragmentu tekstu na jednym komputerze i wklejenie go na drugim (przenosić można też zdjęcia lub całe katalogi).

Nowoczesny, mobilny gryzoń potrafi działać zarówno na pecetach, jak i na macach. Ma też bardzo dobrą baterię. Trzy minuty ładowania wystarczają na cały dzień pracy. Pełne naładowanie pozwala zaś bawić się gryzoniem mniej więcej przez ponad dwa miesiące.

Cena: 349 zł. ©©

Jacek Przybylski

ODCHUDZANIE MYŚLAMI

Był sobie kiedyś taki gość, nazywał się Modius Fabidius. Facet, żyjący w czasach mocno antycznych, a więc jeszcze przed rządami koalicji PO-PSL, ba – nawet długo przed pierwszym PiS, zebrał grupę koleśków i wślawił się czynami mocno bohaterскими. Jednak oprócz tego, że temu i owemu spuścił łomot, znany był też, jak to starożytni herosi, ze świetnej budowy ciała, przynajmniej do momentu, gdy założył miasto Kures, gdzie osiadł, roztopiając dawną mołojęcką sławę w wygodnym, coraz bardziej tłustym życiu. A każdy grubasek doskonale wie, że spuszczenie rzeczonego łomotu to w sumie pikus w porównaniu z prawdziwym bohaterstwem, jakim są walka z własnym mózgiem i zmuszenie go do zmiany sposobu odżywiania. No i właśnie temu ma służyć, tak przynajmniej przekonuje producent gadżetu o nazwie Neurovalens Modius, neurostymulator wspomagający spalanie tłuszczu. Brzmi dziwnie? A jednak. Urządzenie przypomina nieco



noszone na głowie słuchawki, wyposażone w zestaw czujników stymulujących obszary mózgu pobudzone w trakcie aktywności fizycznej. Najprościej mówiąc – noszone codziennie przez kilkadziesiąt minut „słuchawki” emitując impulsy elektryczne, pobudzają podwzgórze i mają oszukiwać mózg, sprawiając wrażenie wysiłku fizycznego, a to z kolei ma skutkować odpowiedzią metaboliczną mózgu przyspieszającą spalanie tłuszczu nawet wtedy, gdy zamiast katować mięśnie na

siłowni, siedzimy sobie wygodnie w fotelu i czytamy „Do Rzeczy”. Twórcy Modiusa przekonują, że ich urządzenie przyczynia się także do zmniejszenia apetytu, a badania przeprowadzone przez nich wskazały ośmioprocentową zmniejszenia tkanki tłuszczowej podczas 16 tygodni używania urządzenia. Gadżet w sprzedaży pojawi się na jesieni, można zamawiać go już na portalu Indiegogo, a cena będzie wynosić ok. 900 zł.

ZIMNO NIESTRASZNE

Tym, którzy wolą jednak aktywnie spędzić wolny czas, nawet teraz, gdy wieczory robią się coraz chłodniejsze, możemy zaproponować PolarSeal, czyli bluzy ze sferycznym ogrzewaniem, która niedawno zadebiutowała na startupowym portalu Kickstarter i która – nie ukrywam – robi całkiem interesujące wrażenie. PolarSeal Heated Tops, w której możemy nie tylko biegać czy uprawiać mimo chłodnej aury nordic walking, lecz także pokusić się o zimowe narty, działa na zasadzie ogrzewania pleców do temperatury od 40 do 50 st. C. Wszystko dzięki specjalnym akumulatorom ukrytym w grubej kieszeni – niestety, aby zadziałały, musimy podłączyć własny powerbank. Ogrzewanie włączamy małymi, estetycznymi przyciskami na mankietach bluzy, a standardowe zasilanie ma wystarczyć nawet na osiem godzin wyprawy. Ważne, że materiał jest oddychający, elastyczny, można go też spokojnie prać. W sprzedaży będzie od listopada, a wdzianko zamawiać można na Kickstarterze. Cena: od ok. 400 zł. ©©



FOT. MATERIAŁY PRACOWNE (3)

Wojciech Wybranowski



Katarzyna Pinkosz

Reforma szpitali spowodowała dyskusję na temat publicznych i prywatnych placówek. Czy prywatna służba zdrowia jest nam potrzebna?

Chciałabym być tak leczona, jak jest leczony... mój pies! Gdy umawiam wizytę u weterynarza, to na nią nie czekam, lekarz jest życzliwy, zleca badania, szybko mam ich wyniki, w każdej chwili mogę przyjść, jeśli coś złego się wydarzy – mówi Katarzyna Korpołewska, psycholog społeczny. Wiele w tych słowach goryczy pod adresem publicznej służby zdrowia, gdzie na wizytę u specjalisty trzeba czekać wiele miesięcy, a gdy już uda się na nią dostać, lekarz spieszy się, ma kolejkę pacjentów i brakuje mu czasu, by wnikliwie spojrzeć na chorego. Czeką się też na diagnostykę, zabiegi, rehabilitację, co zwykle powoduje pogorszenie stanu zdrowia.

Nic dziwnego, że poziom zadowolenia Polaków z opieki zdrowotnej jest niski. Według badania CBOS z czerwca ubiegłego roku tylko 23 proc. z nas jest zadowolonych z opieki medycznej. Ponieważ publiczna służba zdrowia jest taka, jak każdy widzi, częściej decydujemy się na leczenie prywatne. Powody? Zwykle krótszy czas oczekiwania na wizytę do specjalistów i możliwość załatwienia od ręki wszystkich spraw (badania, skierowania na konsultacje). Ważna jest też możliwość wyboru specjalisty.

– W prywatnej placówce mogę iść do lekarza, który cieszy się dobrą opinią. Jeśli nie potraktuje mnie sympatycznie, to do niego nie wrócę. W publicznej placówce to trudniejsze, bo jeśli czekam kilka miesięcy na wizytę i zostanę źle potraktowana, to co mam zrobić? Czekać kolejnych kilka miesięcy? – pyta Katarzyna Korpołewska.

WIĘCEJ EMPATII

Z badania „Polacy o prywatnej opiece medycznej” przeprowadzonego we wrześniu 2016 r. wynika, że coraz częściej korzystamy z prywatnych placówek opieki medycznej i cieszą się one coraz lepszą opinią. 77 proc. ankieterów



Chcemy być lepiej

osób jest przekonanych, że prywatna ochrona zdrowia wyróżnia się wysokim poziomem świadczonych usług medycznych. Kojarzy się przede wszystkim z szybszym dostępem do specjalisty, kompetencją oraz fachowością.

– Bardzo często to właśnie w prywatnej placówce pacjenci dowiadują się np., że mogą skorzystać z nowoczesnej diagnostyki, o czym nie byli poinformowani w publicznej placówce. Gdy ktoś ma problem z kolanem, w prywatnej przychodni od razu dostanie propozycję zrobienia USG. W publicznej, gdy w końcu dostanie się do ortopedy, otrzyma skierowanie na

RTG. A na USG to może następnym razem – dodaje psycholog.

Zauważalną różnicą jest też organizacja opieki, co widać choćby po sposobie umawiania się na wizyty i kontaktowania z lekarzem. Do publicznej przychodni trudno się dodzwonić nawet w godz. 8–16, prywatne często mają dostępną infolinię, można się też zapisać przez Internet. O wizycie przypominają SMS-em. – Dzięki temu mamy znacznie lepszą zgłaszalność. W publicznych przychodniach średnio 20–30 proc. pacjentów nie zgłasza się na umówione wcześniej wizyty. Zapomnieli albo poszli gdzieś wcześniej, żeby nie cze-



FOT. FOTOLIA

leczeni

kać kilku miesięcy. Gdyby wyeliminować problem braku zgłaszalności w publicznych placówkach, bardzo skróciłyby się kolejki. Jednak sektor publiczny słabo o to dba, prywatny jest bardziej pod tym względem efektywny – mówi Grzegorz Byszewski, ekspert Związku Pracodawców Medycyny Prywatnej.

Różnice widać też w podejściu do pacjentów. – Recepcjonistka chętnie umawia na wizyty, pielęgniarki są uśmiechnięte, lekarz na powitanie często wstaje i podaje pacjentowi rękę. Prywatna sfera ochrony zdrowia stara się kreować tego typu zachowania, wtedy cała wizyta ma

inny przebieg – mówi ekspert. Pacjenci szybko przyzwyczaili się też do takich udogodnień jak możliwość podejrzenia wyników badań przez Internet, poproszenia lekarza o poradę drogą e-mailową lub poprzez chat. Tego typu ułatwień na razie nie ma w placówkach publicznych.

– Zdrowie jest najwyższą wartością, nie można go kupić. Można jednak kupić wizytę u dobrego lekarza, dlatego ci, których na to stać, idą do prywatnych placówek. Ci, których na to nie stać, muszą czekać na wizytę u specjalisty, co często odbija się na ich stanie zdrowia. Słyszymy, że jeśli dzieje się coś niepokojącego, to trzeba reagować. Jak jednak to robić, skoro na wizytę u specjalisty czy na badania trzeba czekać prawie rok? – pyta Katarzyna Korpołewska.

Prywatne placówki cieszą się też dobrą opinią z powodu wysokiej jakości usług. Aż 69 proc. ankietowanych pacjentów jest przekonanych, że to właśnie tu uzyskują dokładniejsze informacje o stanie zdrowia oraz o możliwościach leczenia. Uważają też, że w prywatnych placówkach lekarz lepiej koordynuje ich terapię z innymi specjalistami. A aż 73 proc. badanych twierdzi, że prywatna służba zdrowia dysponuje bardziej nowoczesnym sprzętem medycznym niż publiczna.

MOTOR ZMIAN

Opinie pacjentów nie zawsze są sprawiedliwe i uzasadnione. Bez publicznych placówek nie sposób wyobrazić sobie opieki zdrowotnej. Dysponują one najnowocześniejszym sprzętem, wykonywane są w nich najbardziej skomplikowane operacje przez znakomitych specjalistów. Bolączką jest jednak brak czasu na rozmowę z pacjentem, a niestety często też po prostu brak empatii. – W prywatnej przychodni wszyscy będą się starać, żeby pacjent przyszedł, bo zostawia pieniądze. W NFZ-owskiej, jeśli ktoś zrezygnuje z leczenia, to nie problem. Przecież przyjdą inni, najwyżej czas oczekiwania w kolejce skróci się z 14 do 9 miesięcy – mówi Katarzyna Korpołewska.

Motorem zmian w ochronie zdrowia mogą być właśnie placówki prywatne. To one już spowodowały zmianę oczekiwań pacjentów co do opieki medycznej.

– Prawdziwa rewolucja w usługach zdrowotnych zaczęła się w połowie lat 90. i trwa do dziś. Obecnie trudno wyobrazić sobie 20-latkę pobierającego o godz. 6 rano numerka w kolejce na wizytę u lekarza pierwszego kontaktu,

jak to było kiedyś. Analitycy rynku medycznego podkreślają, że jesteśmy coraz bardziej wymagającymi i świadomymi pacjentami – wskazuje ekspert Związku Pracodawców Medycyny Prywatnej.

ZDROWIE NAJWAŻNIEJSZE

Kolejki do specjalistów, oczekiwanie na zabieg, brak czasu lekarza w gabinecie to efekt przeznaczenia od wielu lat zbyt małej ilości pieniędzy na ochronę zdrowia. Pacjentom nie wystarcza już jednak tłumaczenie, że jesteśmy biedniejszym krajem, który małą część PKB przeznacza na zdrowie. – Zdrowie to jest nasze „być albo nie być”, żyć normalnie albo być skazanym na innych, przeżywając cierpienie. Ludzie mają poczucie niesprawiedliwości. Pytają, dlaczego Czesi mają dostęp do leku, a Polacy nie. Dlaczego operację zaćmy można wykonać w Czechach bez kolejki, a u nas trzeba czekać? Trochę tak, jakby nasze zdrowie było mniej ważne. Bo przecież jeśli kogoś nie leczymy, to zgadzamy się, że będzie chorował i krócej żył – mówi Katarzyna Korpołewska.

Z badania przeprowadzonego w lipcu 2017 r. na zlecenie Pracodawców RP wynika, że coraz więcej osób zdaje sobie sprawę z tego, iż opieka medyczna musi kosztować. Dlatego płacą z własnej kieszeni za wizyty, badania czy niektóre zabiegi w prywatnych placówkach. Aż 39 proc. respondentów zgodziłoby się na obniżenie wynagrodzenia, a 18 proc. na zwiększenie podatków, by mieć pewność, że ich zdrowie będzie lepiej chronione. – Polacy są skłonni więcej zapłacić za opiekę medyczną, ale oczekują, że coś będą za to mieć, np. skróci się czas oczekiwania do specjalisty. Chcą zobaczyć realną poprawę w funkcjonowaniu służby zdrowia – dodaje Byszewski.

Zmieniają się oczekiwania pacjentów, powoli zmienia się też opieka zdrowotna – oby tylko nie straciła z pola widzenia nas, pacjentów. Chociaż prywatna ochrona zdrowia nigdy nie zastąpi publicznej, to jednak dobra opinia, jaką z reguły się cieszy, pokazuje, że jest dla niej miejsce w systemie. Trzy czwarte Polaków uważa, że potrzebna jest zarówno publiczna, jak i prywatna opieka medyczna. Każdy z nas lepiej się czuje, jeśli nie musi czekać kilka miesięcy na wizytę (a potem kilka godzin na korytarzu), lekarz zaś potrafi po partnersku, odpowie na wszystkie pytania, znajdzie czas, by wyjaśnić wszystkie metody terapii i zaproponuje najlepszą z nich.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Semka

Ta wędrowka rozpoczynająca się od praskich teatrzyków poprowadzi nas do pałacu prezydenckiego na Hradczanach

Praga śladami Václava Havla

Twardogłowi marksistowsky propagandziści próbując zdyskredytować w latach komunizmu Václava Havla – śmiałka, który rzucił wyzwanie reżimowi – mieli ułatwione zadanie. Havel pochodził z jednej z najbogatszych rodzin przedwojennych praskich „burżujów”. Przyszły prezydent Czech urodził się w metropolii nad Wełtawą w 1936 r. Urok oraz inteligencki duch praskiego smaku i przekory odziedziczył po ojcu, także Václavie, który łączył zmysł do biznesu z zainteresowaniem sztuką. Wszystko to wpłynęło na coś, co stało się znakiem rozpoznawczym

Havla – „klasą” intelektualną połączoną z cywilną odwagą i szacunkiem dla ducha przedwojennej Czechosłowacji Tomasza Masaryka.

1. Aby wczuć się w klimat bogatej praskiej burżuazji, w jakiej wyrósł Havel, zaczniemy naszą wędrowkę po Pradze od dawnego centrum rozrywkowo-restauracyjnego Pałacu Lucerna (ul. Štěpánská 61), niedaleko słynnego placu Václavské náměstí.

Innym przykładem rozmachu Havlów – tym razem ojca, przedwojennego dewelopera, a prywatnie miłośnika sceny jazzowej Pragi lat 30. – były Tarasy

Barrandow – kompleks restauracyjny położony niedaleko czeskiego odpowiednika Hollywood – wytwórni filmowej na przedmieściach Pragi (ul. K Barrandovu). To wyprawa dla najbardziej zapalonych amatorów architektury modernizmu z epoki Masaryka.

Dzisiaj ten niegdyś olśniewający kompleks rozrywkowy nad brzegiem Wełtawy to niszcząca budowla. Cóż z tego, że oddano ją rodzinie Havlów, gdy ta nie ma pieniędzy na jej remont i dalsze inwestycje?

2. Wracamy do Pragi i kierujemy się na Stare Miasto do teatru „za balustradą” (Divadlo Na zábradlí, Anenské nám. 209/5, 115 33 Staré Město), który powstał w 1958 r. To tutaj Havel pracował i wystawiał swoje sztuki. Wtedy, w latach 60., było to centrum teatralnej awangardy. Dzisiaj nadal zachowuje dobry poziom, ale ma już wielu konkurentów.

3. Innym teatrem, z którym kojarzy się Václav Havel jest Laterna magika (ul. Národní 4). W 1989 r. stał się on siedzibą Občanského fórum – głównej siły przemian. Sam bywałem na konferencjach prasowych w czasie rewolucji 1989 r., w trakcie których ubrany w lichy sweter Havel odpowiadał cierpliwie nawet na najgłupsze pytania zachodnich reporterów.

4. Z teatru Laterna magika Havel w ciągu dwóch miesięcy 1989 r. wywędrował na Hradczany jako kandydat wybrany na prezydenta Czechosłowacji. Wędrowkę „na hrad” najlepiej zacząć od obejrzenia w południe ceremonii zmiany warty gwardii prezydenckiej. W zaczarowanym okresie przełomu lat 1989 i 1990 grono undergroundowych artystów nagle zostało kolegami głowy państwa. Nic dziwnego, że mundury hradczńskiej gwardii zaprojektował jeden ze znanych teatralnych kostiumologów, a hejnał gwardzistów – znajomy jazzman.

Gdy już jesteśmy na Hradczanach, sięgnijmy myślą do ostatniej drogi prezydenta 21 grudnia 2011 r. Takiego spontanicznego i masowego konduktu żałobnego nie widziała Praga od pogrzebu Jana Palacha w 1969 r. 21 grudnia 2011 r. dziesiątki tysięcy mieszkańców stolicy Czech odprowadzały trumnę prezydenta Václava Havla w drodze z kościoła św. Anny na Starym Mieście do katedry św. Wita na Hradczanach. Polacy z ogromnym szacunkiem oglądali migawki z pożegnania „prezydenta myśliciela”. Trumnę wieziono na tej samej lawecie, na której w 1937 r. spoczywała trumna

prezydenta Tomasza Masaryka, poprzedniego czeskiego „filozofa na tronie”.

5. Jeśli chcecie złożyć wiązanekę kwiatów na grobie Havla, to musicie pojechać metrem na Vinohrady. Tutejszy cmentarz to panteon najwybitniejszych Czechów. Urna z prochami Havla spoczywa w rodzinnym grobie. Każdy wskaże wam miejsce jego pochówku. Dobry to

przykład skromności i braku zadęcia autora „Siły bezsilnych”.

6. A na pożegnanie z Pragą Havlowską, koło Teatru Narodowego na wybrzeżu Masaryka (Náměstí Václava Havla, Nové Město), gdzie o byłym twórcy dysydencje Karty 77 przypominają płyta z jego podpisem i duże czerwone serce – aluzja

do zwyczaju dodawania przez autora tego znaku miłości na podpisanych książkach.

Jeśli chcecie, by pobyt śladami Havla miał efektowny finał, to wróćcie z Pragi do Warszawy samolotem z Václav Havel Airport Prague (Letiště Praha-Ruzyně), czyli podpraskiego lotniska. Na shelađanou, czyli do zobaczenia! © Wszelkie prawa zastrzeżone



Václav Havel (1936–2011) – był najśłynniejszym czeskim dysydem antykomunistycznym, pisarzem i dramaturgiem. W grudniu 1989 r. został wybrany na prezydenta Czechosłowacji, a po 1993 aż do 2003 r.

piastował urząd prezydenta Republiki Czeskiej.

W latach 60. zaczął zdobywać sławę jako autor pełnych niezależnych idei sztuk teatralnych. W czasie Praskiej Wiosny 1968 r. był jednym z liderów akcji na rzecz wolnościowych przemian w środowisku intelektualnym. Po zdławieniu wolnościowej fali stał się liderem artystycznego undergroundu.

Najlepiej i najsilniej trafił Havel do wyobraźni Polaków w latach 70. i 80. Wówczas powszechnie porównywano KOR z Kartą 77, a Havla z Jackiem Kuroniem i Adamem Michnikiem. Szacunek dla odwagi czeskiego pisarza był duży, zwłaszcza że Polacy dobrze wyczuli ogromną różnicę między represyjnością reżimu Gustáva Husáka a stosunkowo liberalnym PRL Edwarda Gierka. Już wtedy polscy dysydenci wiedzieli, jak brutalny potrafi być czechosłowacki system komunistyczny. Podczas gdy w 1979 r. nasi opozycjoniści zazwyczaj byli zamykani na 48 godzin, Havel otrzymał surowy czteroletni wyrok. Zanim jednak zatrzasnęły się za nim bramy więzienia, on i jego przyjaciele z Karty potrafili spotkać się z polskimi działaczami opozycji na ścieżkach turystycznych granicy polsko-czechosłowackiej. Trudno było o lepszą demonstrację woli wolności ludzi, którzy potrafili wznieść się ponad terror po obu stronach Tatr. Tak samo symboliczne było wystawienie w listopadzie 1981 r. – jeszcze w trakcie karnawału Solidarności – trzech jednoaktówek Havla „Audiencja”, „Wernisaż” i „Protest” w warszawskim Teatrze Powszechnym. I znów trudno było o lepszą manifestację wolnościowych dążeń, gdy w wybijającej się na niepodległość Warszawie grano sztuki autora, który siedział w czechosłowackim więzieniu. I wreszcie esej „Siła bezsilnych” Havla, który – przedrukowywany w licznych wydaniach w stanie wojennym – był dla polskich działaczy Solidarności swego rodzaju ideowym wyznaniem wiary.

W listopadzie 1989 r. Havel stanął na czele aksamitnej rewolucji – pokojowej zmiany władzy. Dwa miesiące potem był już prezydentem. Nie zdołał zapobiec rozpadowi Czechosłowacji, ale na stanowisku głowy państwa czeskiego dotrwał do 2003 r.

Coś do smaku po prasku

Dzisiaj co drugi właściciel praskiej piwiarni wmawia zagranicznym turystom, że piwo pijał u niego sam Václav Havel.

A najważniejsze „piwne” miejsca związane z Havlem są trzy. Pierwsze to dawny teatralny barek teatru Na zábradlí. Dzisiaj to już banalna knajpa, jakich wiele, ale w latach 60. bawili się tu i podważali święte komunistyczne dogmaty najlepsi prascy pisarze, filmowcy oraz inne niezależne duchy Pragi podnoszące głowę po stalinowskiej zimie. Kolejne ulubione miejsce Havla to knajpa Rybárna, czyli Rybacka (ul. Gorazdova 1963), która znajdowała się pięć minut od mieszkania Havla. I wreszcie kawiarnia Slavia (ul. Smetanovo nábřeží 1012/2), gdzie Havel spotykał się raz w tygodniu z przyjaciółmi w ostatnim etapie życia.

Aby zasmakować przyjemności parogodzinnej biesiady w czeskiej piwiarni, trzeba jednak mieć praskich przyjaciół. Tylko wtedy docenimy urok opowieści, żartów i plotek, które smakują najlepiej przy kotlikowym gulaszu z knedlikami czy nieśmiertelną pieczenią wieprzową z zasmażaną kapustką. Nie szukajcie w tych daniach wyjątkowych doznań – służą głównie temu, aby nie czuć ssania w żołądku, gdy kolejne kufle piwa znikają ze stołu.



JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Bitwa o śledzie

Był zimowy, szary dzień 12 lutego, kiedy sir John Fastolf, wierny sługa małoletniego Henryka VI, króla Anglii i Francji, a także rządzącego w jego imieniu regenta Jana, księcia Bedford, niespodziewanie zobaczył wokół siebie szeregi francuskiej jazdy i szkockiej piechoty. Wpadł w zasadzkę na równinie pod Rouvray, prowadząc wielki konwój składający się z 300 wozów z zaopatrzeniem dla oblegających Orlean angielskich wojsk. Był rok Pański 1429, we Francji szalała wojna pomiędzy Anglikami chcącymi utrzymać kraj dla Henryka VI a stronnictwem armaniaków popierającym prawowitego według nich następcę na francuskim tronie – Karola VII. Wydziedziczono go przez matkę, królową Izabelę, która uznała go za nieślubnego syna, spłodzonego nie z mężem, szalonym królem Karolem VI, ale z mężczyzną „zdrowym na umyśle”.

Fastolf prowadzący powolny konwój, zaskoczony przez kilka tysięcy wrogów, dowodzonych przez Karola, hrabiego Clermont, miał

małe szanse na zwycięstwo. W rozpaczy uchwycił się desperackiego pomysłu – nakazał wyprząć konie i ustawić z wozów umocniony obóz przypominający polskie, krzyżackie i husyckie tabor. Burty pojazdów wzmocniono zatkniętymi włóczniami i pikami, aby trzymać z daleka wroga jazdę.

Bitwę rozpoczął ostrzał artylerii francuskiej, który zadał straty Anglikom – doprowadził do uszkodzenia przynajmniej kilku wozów. Zaraz po nim do ataku na znienawidzonych wrogów ruszyła bez rozkazu szkocka piechota na służbie delfina Francji. Jednak słabo opancerzeni żołnierze zostali powitani strzałami z kusz i łuków, ponieśli duże straty. Widząc, co się dzieje, Karol, hrabia Clermont, zarządził szarżę jazdy, ta jednak z kolei została zatrzymana na pikach i ostrzach zatkniętych w wozach – nie była w stanie złamać zacieklego oporu Anglików.

Widząc, co się dzieje, sir Fastolf zarządził kontratak – Anglicy wypadli z obozu, dziesiątkując wykrwawionego przeciwnika, którego morale załamało się tak bardzo,

że hrabia Clermont, a wraz z nim reszta jego armii, wziął nogi za pąs. Przeciwnicy triumfowali, zebrali wozy w tabor i bezpiecznie dotarli do Orleanu.

Cóż jednak transportowali ludzie Fastolfa, że jego konwój stał się obiektem tak zacieklego ataku Francuzów? Cóż, przede wszystkim zaopatrzenie dla oblegającej armii. A zatem działa, kule, bełty do kusz i... beczki śledzi, jako że przypadał wówczas wielki post, a bogobojni Anglicy nie śmieli obrażać Pana, jedząc mięso. Dlatego starcie zyskało miano bitwy o śledzie, gdyż w średniowieczu ryba ta była podstawowym pożywieniem szerokich warstw ludności – od szlachetnie urodzonych do plebsu. I nie tylko w okresie postów. Śledź nie zdomowił się jednak w kuchniach dawnych przeciwników. We francuskiej występuje lokalnie, w angielskiej podaje się czasami wędzone śledzie na śniadanie. Ryby te jednak przechowywały się w kuchni szkockiej, a także w słowiańskiej, z której przepis podaję za książką Hanny i Pawła Lisów. ©



Śledzie marynowane w oleju

Kilka solonych śledzi – najlepiej gotowych filetów w zalewie solnej – moczymy w wodzie, aby usunąć sól, następnie kroimy na małe kawałki i układamy w glinianym garnku płasko, przekładając krążkami krojonej w talarki cebuli. Posypujemy przyprawą z rozartej kolendry i gorczycy. Kiedy mamy już kilka warstw, dociskamy je i zalewamy dużą ilością oleju lnianego, potem odstawiamy na jeden dzień w chłodne miejsce. I gotowe.

Śledzie w płatkach owsianych

Kilka świeżych śledzi patroszymy i przecinamy wzdłuż, wyjmujemy ości, aby otrzymać filety. Mieszmą trzy duże łyżki musztardy i trzy majonezu, smarujemy tym nasze śledzie. Odstawiamy na pół godziny w chłodne miejsce. W tym czasie bierzemy 100 g płatków owsianych. Jeśli chcemy być poprawni historycznie, to rozbijamy je w moździerz i rozcieramy, aby powstała panierka. Możemy też zmielić je w dzisiejszym rozdrabniaczu. Filety obtaczamy w rozartych płatkach. Smażymy na oleju roślinnym na patelni – przekładając, aby z obu stron nabrały złocistego koloru. Podajemy z cytryną albo z majonezem zmieszany z musztardą. Można też podać do nich kartofle z masłem.

MODELOWY ŁOSOŚ RAFAŁA MAŚLAKA

Gotowanie to dla mnie nie tylko świetny sposób na relaks, lecz także dobry pomysł na niespodziankę dla najbliższych. Przy wspólnym obiedzie możemy trochę zwolnić tempo i spędzić czas z rodziną, przyjaciółmi. Przygotowując dania, nie zapominam o tym, by były smaczne i zdrowe. Lubię też dania, które można przyrządzić w kilkanaście minut. Jeśli więc chcecie zabłysnąć i sprawić smakowitą przyjemność bliskim, to polecam przepis na grillowanego łososia z pomidorkami i rozmarynem. Smacznego!

w piekarniku rozgrzanym do 220 st. C. Łososia można serwować z pieczonymi ziemniakami bądź ryżem. ©©

oprac. raw

Rafał Maślak jest Misterem Polski 2014, od września będzie jurorem programu „#Supermodelka Plus Size” w telewizji Polsat.

Łosoś dietetyczny i smaczny

Składniki:

filet z łososia
300 g
30 g pomidorków
koktajlowych
1 cytryna
1 szalotka
2 ząbki czosnku
mała papryczka chilli
rozmaryn

Sposób przygotowania:

Łososia dokładnie umyć. Po osuszeniu położyć na folii aluminiowej. Oprószyć solą i pieprzem według uznania, a na koniec dodać rozmaryn. Filet obłożyć pokrojoną w plasterki cytryną ze skórką oraz papryczką chilli. Zgnieć ząbki czosnku, przekroić szalotkę na połowę i dodaj do łososia.

Na folii położyć także pomidorki koktajlowe. Całość zamknij w folii aluminiowej i piecz przez ok. 15 min



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Czy można ściszyć?

Moja rodzina wstydzi się ze mną chodzić do restauracji, bo mówię, że zaraz na początku robię awanturę o muzykę. Jeśli chodzi o ścisłość, to nie jest to awantura: po prostu na ogół uprzejmie proszę o ściszenie muzyki. Reakcje są różne: kelnerka, patrząc na mnie jak na kosmitkę, grzecznie przykręca głośnik (za pół godziny poprzednia głośność wraca); obsługa mówi, że musi spytać menedżera; obsługa stanowczo odmawia, twierdząc, że się nie da, bo system jest centralny...

Znalezienie miejsca z daleka od głośnika nie jest wcale proste, bo na ogół nagłośnienie jest tak pomyślane, żeby równomiernie objęło całą salę. Jednak czasem udaje się znaleźć miejsce trochę dalej od źródła dźwięku i pojawia się szansa, żeby półtorej godziny czy dwie spędzić przy rozmowie, a nie tylko na przeglądaniu Facebooka.

Nie tylko ja mam problem z tym, że przy kolacji nie mogę porozmawiać. Problem wydaje się powszechny, właśnie pisze o tym „Guardian”, choć obojętnie mam wrażenie, że w Polsce jest z tym najgorzej. We Francji trochę lepsza restauracja zaraz by musiała się zwinąć, gdyby zaczęli gościom puszczać disco. Muzyka może być głośna w tanich fast foodach, nie w porządnej knajpie. A jeżeli to cichy jazz czy tzw. muzyka tła, zwana przez niektórych pościelową? Można tego nie lubić, ale przynajmniej nie przeszkadza. W końcu nie przychodzimy do knajpy na koncert. We Włoszech, wydaje mi się, jest

podobnie – rodzinne tawerny czy pizzerie coś tam grają, ale bez przesady, na prośbę klienta chętnie wyłączą. I tak większa włoska rodzina by muzykę zakrzyczała.

Nie bywałam w najdroższych knajpach Nowego Jorku – tam podobno jest OK. Za to trochę tańsze restauracje, a zwłaszcza bary w Soho, mogą człowieka wykończyć.



Krytycy kulinarni twierdzą, że są trzy powody tego zanieczyszczenia. Po pierwsze, kiedyś w eleganckich lokalach były tapicerskie meble, dywany lub wykładziny, które pochłaniały dźwięk. Dzisiaj moda jest minimalistyczna: gołe ściany i surowe meble. Takie pomieszczenie jest doskonałym pudłem rezonansowym. Po drugie, głośna muzyka ma pobudzać konsumpcję, przynajmniej drinków. Fale dźwiękowe dodają energii i apetytu – to podobno dowiedzione naukowo. Powód trzeci: głośne restauracje mają opinię lepszych. Gwar sprawia wrażenie, że tu jest fajna atmosfera. W głośnych miejscach jest zatem więcej klientów. Ludzie nie chcą przebywać w cichych lokalach.

W tej sytuacji jestem bez szans. Chyba że naukowcy dowiodą, że niektórzy ludzie lubią jednak przebywać w cichych miejscach. ©©

NASZ TEST: VW ARTEON

Dynamiczna sylwetka będąca połączeniem klasycznej limuzyny z seksownym coupé, przestronne praktyczne wnętrze i nowoczesne systemy dbające o bezpieczeństwo – to największe zalety nowego flagowego auta producenta z Wolfsburga. Dłuższy, szerszy i niżej zawieszony od Passata luksusowy model Volkswagena ma przyciągnąć do tej marki miłośników samochodów klasy premium.

W KABINIE

Wnętrze jest eleganckie, a jednocześnie obszerne i praktyczne. Miejsca z przodu jest wyjątkowo dużo. Również z tyłu Arteon oferuje sporo miejsca na nogi. Wrażenie przestrzeni potęguje szyberdach – dziwne jest jednak to, że nawet w wersji za niemal 200 tys. zł jego wewnętrzną osłonę trzeba przesuwac ręcznie.



Głównym elementem deski rozdzielczej jest bardzo wyraźny ekran dotykowy o przekątnej 9,2 cala.

Dobrze wygląda też umieszczony za kierownicą 12,3-calowy wirtualny kokpit, którego wskazania można łatwo dostosować do swoich indywidualnych upodobań (może np. poza prędkością i spalaniem wyświetlać mapę lub listę stacji radiowych).

Fotele są bardzo wygodne, choć mogłyby nieco lepiej podpieierać ciało na zakrętach. Na pochwałę zasługuje natomiast olbrzymi kufer, który może pomieścić 563 l bagażu

(1557 l przy złożonych tylnych siedzeniach). Do bagażnika Arteona można więc włożyć więcej walizek niż do Audi A5 lub BMW serii 4.

JAZDA

Najmocniejsza wersja Arteona z silnikiem o mocy 280 KM przyspiesza od 0 do 100 km/godz. w zaledwie 5,6 s. Egzemplarz z jednostką benzynową o mocy 240 KM na osiągnięcie pierwszej setki potrzebuje 6,5 s.

Szeroki rozstaw osi, precyzyjny układ kierowniczy oraz napęd na cztery koła sprawiają zaś, że Arteon dobrze się prowadzi i świetnie trzyma się drogi. Ustawienia zawieszenia można zmieniać w zależności od potrzeby (do dyspozycji są tryby Eco, Normal, Comfort, Sport i Individual). Nawet w trybie komfortowym zawieszenie jest jednak wystarczająco sztywne, by dynamicznie pokonywać ostre zakręty. Automatyczna skrzynia biegów DSG pracuje bez zastrzeżeń. Auto jest też świetnie wyciszone. Bezpośredni konkurenci z klasy premium, Audi czy BMW, dają jednak nieco więcej frajdy ze sportowej jazdy.

Średnie spalanie podczas testów wyniosło ok. 8,5 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP VW Arteon zdobył komplet pięciu gwiazdek i aż 96 proc. punktów w kategorii ochrony dorosłych podróżujących.

Auto jest wyposażone w wielu elektronicznych asystentów wspierających kierowcę podczas jazdy. Jeden z nich potrafi wykryć, że kierowca stracił przytomność – wówczas komputer samodzielnie wyhamuje auto i zatrzyma je na prawym pasie.



W zakorkowanych miastach przydać się może też funkcja awaryjnego hamowania, a na trasie – system Lane Assist, dzięki któremu auto samo trzyma się pasa ruchu. Dobrze sprawdza się też aktywny tempomat ACC, który potrafi rozpoznać zakręty, rondo czy skrzyżowania i odpowiednio dostosować prędkość. Samochód potrafi też samodzielnie poruszać się w korkach, automatycznie hamować i ruszać. W nocy mocne wrażenie robi z kolei system sterowania reflektorami, który wykorzystując dane z nawigacji, doświetla lewą lub prawą stronę, jeszcze zanim zaczniemy pokonywać zakręt.

Wadą jest mocno ograniczona widoczność do tyłu – kamera cofania jest więc niezbędnym dodatkiem.

CENA

Nawet najtańszy Arteon nie jest „autem dla ludu”. Za podstawową wersję Essence z dwulitrowym silnikiem benzynowym o mocy 190 KM trzeba zapłacić 145 tys. zł. Wersja Elegance kosztuje co najmniej 157 tys., a z silnikiem Diesla o mocy 240 KM i napędem na cztery łapy – już 198 tys. zł.

Geny Arteona w sportowej odmianie R-Line zaczynają się od 159 tys. zł, przy czym najmocniejsza wersja z benzynowym silnikiem o mocy 280 KM kosztuje 205 tys. zł.

KONKURENCI

Audi A5 Sportback, BMW serii 4 Gran Coupé ☹☹

JACEK PRZYBYLSKI





NOWY CYKL

PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH

BOHATEROWIE

JUŻ WE WRZEŚNIU PIERWSZA SERIA POŚWIĘCONA

ŻOŁNIERZOM WYKLĘTYM

**OGLĄDAJ NA
BOHATEROWIE.DORZECZY.PL**

**SUPER
HISTORIA.pl**

TYGODNIK CIEKAWOSTEK
**DO
RZECZY**

PARTNER CYKLU:





MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Bannon wraca do gry?

MARCIN MAKOWSKI: Główny strateg Donalda Trumpa – Stephen Bannon – zrezygnował z pełnionej funkcji. Czy to początek erozji ideowej Białego Domu?

MATTHEW TYRMAND: Z pewnością to nie jest dobry sygnał. Bannon przez ostatnią część kampanii był osobą, która przyczyniła się do masowego poparcia populistycznego elektoratu, w większości głosującego na Trumpa. To on tych ludzi zmobilizował, razem z portalem Breitbart, którym zarządzał. Ronald Reagan powiedział kiedyś, że dobór personelu to polityka. Znajomi, którzy pracują w Białym Domu, donoszą, że coraz mniej przypomina on miejsce, o które walczyliśmy, a zaczyna wyglądać jak konwent nowojorskich demokratów i magnatów finansowych. Nie tymi osobami Trump wygrał wybory, a odejście Bannona tylko to wrażenie pogłębia. Jednakże otwarte pozostaje pytanie: Czy fighterzy, którzy sterują kampanią, potrafią być później skutecznymi politykami, pragmatycznie i metodycznie forsującymi swoją agendę? Czasami tak, czasami nie – szczerze mówiąc, Bannon zaczął się po pewnym czasie dusić w tym gorsecie. Nadal ufam jego ogłodo-

wi strategicznemu i motywacjom, wierzę w idee, o które walczy, ale z biegiem czasu okazało się jasne, że człowiek o jego osobowości – indywidualista i radykał – nie wytrzyma w administracji do końca kadencji. Sądzę, że talenty Bannona można wykorzystać lepiej właśnie na polu komunikacji i walki medialnej niż w powolnej oraz zakulisowej grze w politycznej i personalne szachy.

Czy to prawda, że do jego rezygnacji przyczyniła się krytykowana przez media reakcja Trumpa po zamachu w Charlottesville? Ponoć zwłokę z komentowaniem całej sprawy zalecał właśnie Stephen Bannon.

Według moich informacji nie – decyzja była podjęta już wcześniej i złożyło się na nią wiele czynników. Tak jak wspominałem, napięta atmosfera w Białym Domu zupełnie nie grała z jego wybuchowym charakterem. Zamiast robić to, w czym jest najlepszy, Bannon musiał trzymać język za zębami, jednocześnie obserwując powstawanie konkurujących ze sobą centrów władzy. Teraz wraca do domeny publicznej, na nowo chwytając stery Breitbart, aby

bić się o to samo co przed wyborami, tj. zwycięstwo prawicy nad lewicowymi hipokrytami. Intuicja podpowiada mi jednak, że jeśli w Białym Domu będzie się działo tak jak obecnie, to Bannon pójdzie na wojnę również z Trumpem. I wtedy dopiero zrobi się naprawdę ciekawie.

To dlatego masz na sobie koszulkę z plakatem „Bannon 2020”? To będzie nowy prezydent USA? Lepsza wersja Trumpa?

Nie, to akurat żart – Bannon nie nadaje się na prezydenta i frontmana. Jest o wiele lepszy jako zakulisowy strateg, ale to forma przypomnienia Trumpowi, że nic nie jest dane za darmo, a Breitbart i ludzie, którzy się wokół niego gromadzą, będą rozliczać każdą władzę z danych obietnic. Nie ma taryfy ulgowej.

W Polsce przetasowania i wewnętrzne spory na prawicy, w Ameryce właściwie to samo. Sytuacja coraz bardziej przypomina pejzaż polityczny w Westeros.

Prawdziwe schody zawsze zaczynają się po zwycięstwie. Wyobraź sobie jednak, w jakiej byłibyśmy sytuacji, gdyby prawica przegrała. Zarówno Trump, jak i PiS nie stracili jeszcze swojej bazy twardego elektoratu, dlatego wszystkie straty można jeszcze odrobić. W Ameryce sytuacja nie wygląda jednak za różowo, ponieważ oprócz prezydenta traci również coraz bardziej dystansujący się od Białego Domu republikański establishment, który opóźnia obiecane reformy. Możliwe również, że po tym wszystkim Trump nie będzie się nawet starał o drugą kadencję. Taki scenariusz może się sprawdzić bez jedności w obozie prawicowo-konserwatywnym. To samo tyczy się również Polski. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



KONIEC systemu

Wtorek 21:30



Dorota Kania

Teraz Telewizja Republika NA ŻYWO i ZA DARMO on-line  www.telewizjarepublika.pl



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Ułaskawić Wałęsę

PAWEŁ RABIEJ: *Muszę powiedzieć, że mam bardzo duży żal do Lecha Wałęsy, że on nie mówił otwarcie o swoim epizodzie współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa, bo taki epizod był i wielu jego znajomych z czasów Solidarności było o tym informowanych i o tym wiedziało.*

I zaraz po tej deklaracji polityk Nowoczesnej przeszedł do ataku na obecny rząd za krzywdę, jaką rzekomo Lechowi Wałęsie wyrządza, traktując go tak, jak potraktowano by zwykłego Kowalskiego, gdyby mu się zachciało składać pod przysięgą fałszywe zeznania. Podobną do Rabejki postawę

przepisy o krzywoprzysięstwie nie powinny mieć do niego zastosowania. To jest ten moment, kiedy etatowi obrońcy konstytucji zawieszają na chwilę jej najważniejsze zapisy – ten o równości wszystkich wobec prawa – Wałęsę spod niego po prostu wyjmując. Kolejny raz.

Nie wiem, jakie ostatecznie będą rozstrzygnięcia w tej konkretnej sprawie Wałęsy, być może prokurator powinien ją po prostu umorzyć z uwagi na znikomą szkodliwość społeczną czynu, bo rzeczywiście po tych wszystkich latach, kiedy kłamstwa Wałęsy realnie szkodziły innym – by wspomnieć choćby losy Adama Hodysza, który zacieranie śladów po „Bolku” przez Wałęsę i jego otoczenie przypłacił karierą, a mało brakowało, żeby przypłacił je życiem – dzisiaj szkodzą już tylko jemu samemu i temu, co pozostało z jego legendy, oraz ludziom, którzy często w dobrej wierze muszą brać udział w największym kłamstwie III RP.

Umorzenie ze względu na znikomą szkodliwość społeczną czynu byłoby rozwiązaniem

całkiem niezłym i pozwoliłoby wreszcie odpocząć – przynajmniej na chwilę – od zajmowania się przykrym w odbiorze miotaniem się dawnego bohatera. Niestety, trudno sobie wyobrazić, że znajdzie się prokurator, którego będzie stać na taką decyzję, bo nikt sobie na ochotnika kariery nie złamie. Czeką nas raczej wielomiesięczny serial, w którym coraz starszy Wałęsa będzie opowiadał coraz większe głupoty, rozmieniając na jeszcze drobniejsze to, co mu z dawnej sławy zostało. Tak będziemy świętować tegoroczną rocznicę powstania Solidarności, najlepszego, co nam się w ostatnim stuleciu przytrafiło. Gratulacje dla wszystkich, których kolejna odsłona (de)bolki zacji Wałęsy rajcuje, bo mogą ją wykorzystać w partyjnych zapasach w błocie.

Z okazji rocznicy Solidarności, która z roku na rok jest coraz smutniejsza, mam już tylko jedno małe marzenie. Jeśli prezydent nadal stoi na stanowisku, że ułaskawić może na każdym etapie postępowania, to może uczynić taki gest wobec Wałęsy? ©©

Czeka nas wielomiesięczny serial, w którym coraz starszy Wałęsa będzie opowiadał coraz większe głupoty

prezentuje większość obrońców Wałęsy, z których już chyba nikt – poza samym Wałęsą – nie zaprzecza, że Wałęsa „Bolkiem” był i pieniądze za donosy brał, ale wszyscy zgodnie uważają, że z uwagi na przeszłe zasługi

PODSŁUCHANE

Czas ofensywy

Muszę panu powiedzieć, panie ministrze, że nie jestem w pełni zadowolony z pańskich działań.

Panie prezesie, ja się naprawdę staram. Od samego początku się staram.

Najwyraźniej za mało, za mało. Na przykład ta wizyta Macrona w Europie Środkowej.

Panie prezesie, Macron nie chciał przyjechać do Polski, nie mamy na to wpływu. Zrobiłem, co mogłem,

żeby nas Czesi i Słowacy dobrze reprezentowali.

Właśnie. A trzeba było zrobić tak, żeby w ogóle nie przyjechał! Ale... jak to?

Normalnie: rozpocząć wielką, śmiałą ofensywę dyplomatyczną pod hasłem, że zniewieściliśmy bawidamek z kraju, którego mieszkańców dopiero Polska nauczyła jeść widelcem, nie ma czego szukać w Europie Środkowej! I zmusić Czechów i Słowaków, żeby się z nim nie spotykali. Jak ja mam ich zmusić?

Nie wiem, to przecież pan jest ministrem. Ja się na tym nie znam,

niech pan coś wymyśli. Czechom możemy np. zagrozić, że im znowu zabierzemy Zaolzie. Tak tylko rzucam, to już od pana zależy.

Czy z czegoś jeszcze jest pan niezadowolony?

Niech pomyślę... Niemcy, Litwa, Ukraina, wciąż się nas czeplą ten pijaczyna Juncker, o Francji już mówiłem, Trump mógłby nas znowu jakoś poprzeć... Poza tym chyba wszystko w porządku. Co pan taki błady? Panie ministrze, słabo panu? No, naprawdę nie wiem, czy pan się do tej roboty nadaje. Tu twardym trzeba być, nie mięt-kim. ©© *Łukasz Warzecha*

OD RZECZY

„Wezmą się za gazety, telewizję i Internet, bo Kaczyński i jego pomagierzy nie cierpią wolności. Obronimy ją, jeśli postawimy się twardo”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

Rozstrzeliwania

Przed 150 laty (z końcem sierpnia 1867) Édouard Manet ukończył duże „*płótno*” „**Rozstrzelanie cesarza Maksymiliana w Meksyku**”, jedno z trzech (obok dzieł Goyi i Picassa) najwybitniejszych malarskich „*rozstrzeliwań*”. Ten rodzaj kary śmierci cieszył się wzięciem u mistrzów pędzla w XIX i XX w., wcześniej preferowano inne egzekucje (wieszanie, ścięcie, itp.). Za „*ojca gatunku*” uważa się Amerykanina Paula Revere’a, którego sztych „**Krwawa łaźnia bostońska**” (1770) stworzył schemat kompozycyjny (sytuowanie plutonu egzekucyjnego po prawej, ofiar po lewej) wykorzystywany później często.

Samo rozstrzeliwanie jest stare jak strzelniczy proch. Moja generacja pamięta, że bolszewicy i hitlerowcy rozstrzeliwali masowo, ale takie hekatomby, zwane we Francji „*les fusillades*”, miały już miejsce dużo wcześniej („*władze wersalskie*” rozstrzelały bez sądu 30 tys. „*komunardów*”, dzięki czemu dowodzący rozstrzeliwaniami gen. Gallifet został potem nazwany przez znanego literata, Alfonsa Daudeta, „*krwawym katem*”). Zazwyczaj rozstrzeliwano skazanych stojących, rzadziej klęczących, jeszcze rzadziej siedzących (przywiązanych do fotela — tak zginął przywódca kontrewolucji wandejskiej, gen. d’Elbée, w styczniu roku 1794, lub do krzesła — tak zginął w styczniu roku 1944 zięć Mussoliniego, hrabia Ciano).

Każdy kraj ma swoje graficzne przedstawienia rozstrzeliwań. U nas sztandarowym jest cykl Andrzeja Wróblewskiego „**Rozstrzelanie**” (1949), ukazujący represje hitlerowskie generalizująco, bez wskazywania konkretnej egzekucji, ale zazwyczaj malarze prezentowali konkretne wydarzenia, zwłaszcza wówczas, gdy malowidła pełniły rolę fotografii. Dwieście lat temu były to dla społeczeństw dramatyczne ilustracje kaźni bieżących, wstrząsające opinią publiczną. Np. francuską (choćby sztych Bertauxa „**Rozstrzelanie gen. Maleta w r. 1812**”, czy obraz Gérôme’a „**Egzekucja marszałka Ney’a w r. 1815**”). Co zaś do wzmiankowanej wielkiej trójki malarskich „*rozstrzeliwań*” (Goya–Manet–Picasso) — bez wątpienia Kreml wniósłby protest, uważając, że „*pudło medalowe*” winno pomieścić dzieło Wierieszczagina, kosztem któregoś z „*zapaadnych chudożników*”.

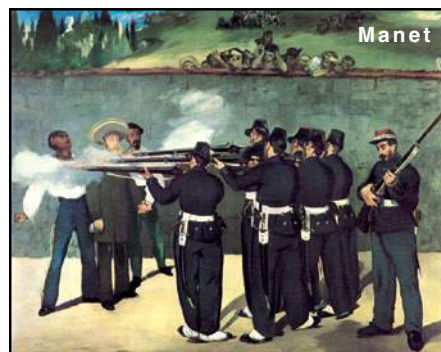
Dzisiejszy rocznicowy jubilat, monsieur Manet, zobrazował „*egzotyczny dramat*” ważny w XIX wieku. Hiszpańska małżonka Napoleona III, cesarzowa Eugenia, przekonała męża, by silną granicą państwa łacińskiego, Meksyku, zahamował imperializm amerykański. Francuzi wysłali więc na drugą półkulę wojsko (1863) i Maksymiliana Habsburga (brata cesarza Austrii, Franciszka Józefa) jako cesarza Meksyku. Amerykanie mogli skontrolować te francuskie poczynania dopiero gdy ukończyli swą Woj-

nę Secesyjną (1865), ale gdy już się za to wzięli — Maksymilian coraz bardziej tracił pod nogami grunt (m.in. zmusili Paryż do wycofania francuskich wojsk). Pokolenie moich rodziców знаło tę meksykańską awanturę dzięki wspomnieniowej książce jej polskiego uczestnika, oficera Stanisława Wodzickiego („**Z ulanami cesarza Maksymiliana w Meksyku**”, 1931), zaś pokolenia późniejsze dzięki filmowi Richarda Aldricha „**Vera Cruz**” (1954). W maju 1867 partyzanci Juareza aresztowali Maksymiliana i 19 czerwca rozstrzelali go wraz z generałami Mejją i Miramónem. Dla „*cywilizowanego świata*” był to szokujący „*news*”.

Manet od razu zabrał się do roboty. Bezwzględnie wykonał olejny szkic (dziś bostońskie Museum of Fine Arts) i wkrótce wersję finalną (kopenhaska Carlsberg Glyptotek) oraz dwie repliki, z czego jedna (wrzesień) jest w Mannheim (Kunsthalle), natomiast druga, dużo większa, została uszkodzona przez samego mistrza (wskutek niefortunnego zrolowania płótna) i podzielona na mniejsze kawałki. Twarz rozstrzeliwanego cesarza artysta malował wedle fotografii, a do figur rozstrzeliwanych generałów pozowali skrzypek Damourette i zawodowy model. Pluton egzekucyjny Manet sfalszował, dając mu uniformy francuskie (czym symbolicznie oskarżył Napoleona III jako głównego winowajcę tragedii). Ale przy megafalszach innych głośnych malarskich „*rozstrzeliwań*” — ten trik Maneta był pestką:

Goya płótnem „**Tres de Mayo**” (1814) przedstawił rzekomo (wedle lewicowej propagandy) rozstrzeliwanie bohaterów powstańców, gdy w istocie było to rozstrzelanie mętów madryckich dokonujących pospolitych zbrodni. Identycznie fałszuje rzeczywistość obraz Wierieszczagina (1898): rozstrzelanie (przez Francuzów i Polaków) kryminalistów, których gubernator Roztopczyn wypuścił z więzienia, by podpalił Moskwę (1812), zostało ukazane jako egzekucja partyzantów. Zaś szczytem manipulacji jest „**Masakra w Korei**” (1951) komunisty Pabla Picassa, pokazująca jak amerykańskie roboty rozstrzeliwują dzieci i ciężarne kobiety azjatyckie. Co razem przypomina nam, że pędzle potrafią łągać nie gorzej od piór. Zaś aparaty fotograficzne łągać nie gorzej od pędzli. Exemplum sławne zdjęcie Eddiego Adamsa z 1968 r., które międzynarodowy Salon uczynił symbolem „*okrucieństwa prawicowej soldateski*”, twierdząc, że pokazuje ono rozstrzelanie wietnamskiego cywila, gdy tymczasem było to ukaranie komunistycznego oficera, który dzień wcześniej wymordował bestialsko kilkadziesiąt osób (połowę stanowiły kobiety oraz dzieci). Salon zawsze umiał robić zbrodniarzy i zwyrodniałych bandytów niewiniątkami, bohaterami, aniołami — to tradycyjna salonna specjalność. ©

Waldemar Łysiak





SWISS MILITARY
HANOWA



TOUCHDOWN CHRONO

butiki **SWISS**

swiss.com.pl     

eprasa.pl dd796f7777